Sczytane: Mirosława Sienkiewicz;
Weryfikacja: Jan Sienkiewicz.

Dziennik
Rok 1916 (lipiec-wrzesień)
Michał Römer
17 lipca roku 1916
Warszawa
Tom XVI

17 lipca, rok 1916, poniedziałek
Wczoraj z panią Minkiewiczową, jeszcze jakąś panienką i oficerem I Brygady Skwarczyńskim (pseudonim: Stary) spędziliśmy razem wieczór. Porucznik Stary przyjechał przed dwoma dniami wprost z Brygady, toteż wreszcie przywiózł autentyczne wieści o ostatnich krwawych walkach Legionów przy odwrocie na linię Stochodu. Potwierdził on wieści o śmierci Wyrwy-Furgalskiego, Sława, Tunguza i wielu innych oficerów Brygady, o ciężkiej ranie Berbeckiego, który ma przestrzelone płuca, ale ani myśli umierać, itd. Z wielką przyjemnością dowiedziałem się od niego, że pogłoska o zabiciu Dęba jest fałszywa. Dąb żyje i obecnie czasowo dowodzi batalionem w zastępstwie Bukackiego, który zastępuje rannego Berbeckiego w dowództwie V pułku. Epizody kilkodniowej walki na pozycjach, a następnie odwrotu były bardzo krwawe i w głównych rysach zgodne z tym, jak je pierwsze wieści opisywały. Ogień działowy rosyjski na pozycje legionowe był tak wielki, jak jeszcze nigdy takiego Brygada nie doświadczała. Przeszkody na przedpolu, rowy strzeleckie i ziemianki zostały tym ogniem zburzone. Prawdą też są owe epizody o osaczeniu poszczególnych oddziałów, zwłaszcza z pułku Berbeckiego, o ich przebijaniu się na bagnety, wreszcie o trudnościach odwrotu przez lasy, napełnione już Moskalami. Straty w zabitych i zaginionych także, są bardzo ciężkie; wielka ilość zaginionych, którzy dostali się do niewoli, tłumaczy się tym oczywiście, że w tych warunkach ciężko ranni – a musiało ich być wielu – z konieczności wpadali w ręce rosyjskie. Zresztą ilość zaginionych zapewne znacznie się zmniejszy, bo okazało się, że wielu, którzy się w pierwszych marszach pod ogniem i wśród starć na bagnety rozproszyli, ściągnęli później grupkami przez lasy do stacji Maniewicz; w chwili, gdy już Maniewicze były przez Austriaków forsownie opróżnione i już z kilku stron oskrzydlone; Austriacy zawagonowali tych rozbitków i odwieźli ich wprost aż do Lublina, skąd naturalnie zostaną zwróceni na linię; partia ta wynosi coś do 200 legionistów z różnych brygad. Oni to byli pierwszymi zwiastunami walk i strat legionowych, tymi, którzy roznieśli po hinterlandzie przesądny alarm pogłosek, jako że zawsze największymi alarmistami są ci, którzy zostali rozproszeni. Wielu zwłaszcza zaginionych dostarczyła nasza I kompania I baonu I pułku, która należała do tych dwóch kompanii, z którymi Dąb poszedł na odsiecz osaczonym oddziałom pułku Berbeckiego; ponieważ musiały one iść pod ogniem i przebijać się przez Moskali, więc dużo ludzi się pogubiło i nie wiedzieć, co się z nimi stało. Do ich liczby należy też Szarski, nasz sierżant kompanijny, człowiek, którego bardzo cenię, rzetelny żołnierz, dobry kolega, prawdziwy wierny wiarus, który od początku wojny, z szeregowca do sierżanta, wytrwał niewzruszenie w kompanii i stał się już takim jej poniekąd symbolem, jak sztandar, nie mniej, niż sam Dąb; był to jeden z najpopularniejszych w naszej kompanii, a popularny był też i w pułku całym; on to był redaktorem świetnej „Konferencji Pokojowej“ I pułku, perły dziennikarstwa żołnierskiego w Legionach. Dziś w biurze prasowym CKN-u oglądałem listę strat I

Brygady, przywiezioną przez tegoż porucznika Starego. Oprócz Szarskiego, znalazłem na liście strat następujących moich znajomych: zaginieni z naszej kompanii (z tych tylko, którzy byli za moich czasów, bo ilość zaginionych z kompanii, których nazwiska są mi nieznane, jest wielka) – Józef Partyka z mego plutonu, kapral Kram z I plutonu, szeregowiec Dyduch z tegoż I plutonu, Rusin z pochodzenia, znany w kompanii alarmista, podporucznik Rybasiewicz, Królewiak, który za moich czasów dowodził plutonem Radomiaków i wkrótce po moim odejściu był bardzo ciężko kontuzjowany zegarem szrapnelowym; ranny jest z mego plutonu Guc, zaginął chorąży Jacek Cekiera-Bolesławski, beliniak, którego poznałem w maju i czerwcu w Piotrkowie, gdy tam przyjeżdżał na urlop do matki; ranni są Marek Różycki i Seweryn Druksberg, obaj Żydzi z pochodzenia, jeden z Łodzi, drugi ze Lwowa, z którymi się poznałem w Kamieńsku na Sali chorych, mili i inteligentni chłopcy; wreszcie zabity jest Muś, starszy żołnierz pułku Berbeckiego, góral bardzo miły i prosty, jak szczerą jest bezpośrednia ludowa natura góralska, znakomity okaz typu ludowego, którego także na sali chorych w Kamieńsku poznałem. Chwała Bogu, że nie ma więcej moich bliższych znajomych na tej liście strat. Szukałem pilnie nazwiska Grzmota-Goliszka, ale chwała Bogu nie znalazłem. Porucznik Stary powiada, że jednak nastrój wśród żołnierzy w Legionach jest obecnie po odwrocie znakomity; żołnierz nie został zdemoralizowany ani odwrotem, ani stratami, bo walki te i odwrót zostały dokonane w tak znakomity sposób przez legionistów, zadając tak krwawe ciosy Moskalom i tak wspaniałe tworząc czyny bojowe żołnierzy, że jest świadomość dobrze spełnionego dzieła i nawet raczej podniecenie, niż przygnębienie. Dotyczy to oczywiście tych tylko żołnierzy, którzy pozostali w szeregach czynnych, nie zaś tych, co się porozpraszali. Obecnie chwilowo Legiony są na lekkim wypoczynku w rezerwie, o kilka kilometrów za linią, w znanej mi wielkiej wsi Czeremosznie. Są tam wszystkie brygady razem.
Słówko teraz o „Widnokręgu". Widziałem się dziś przy obiedzie z Wincentym Rzymowskim, który powiadał, że cenzura robi trudności z puszczeniem artykułów do pierwszego numeru. Wszystkie artykuły przez cenzurę zakwestionowane. Rzymowski jednak stawia wobec cenzury rzecz otwarcie i radykalnie. Na ich propozycje, aby „Widnokrąg" upodobnił się do „Tygodnika Polskiego", organu LPP, który przecie też jest antyrosyjski i „niepodległościowy", a jednak zastosowuje się do cenzury i wychodzi, Rzymowski odpowiada im, że pisma bezbarwnego wydawać nie życzy i że „Widnokrąg" zajmuje stanowisko wojny z Rosją i budowania państwa polskiego i temu, programowi wyraźnie chce służyć, a jeżeli cenzura ma to uniemożliwić, to wcale pisma wydawać nie będzie. Rzymowski stawia tę rzecz ostro, bo wie, że władzom niemieckim o „istnienie" pisma niepodległościowego i to właśnie „Widnokręgu" chodzi, toteż chce to wyzyskać, a metodę bierności i ustępliwości nie uznaje za wskazaną. W urzędzie cenzuralnym, po świeżym ustąpieniu Cleinowa, którego dymisja jest polityczną dezawuacją przez władze niemieckie poprzednich metod Hindenberga, formujących aneksyjne tendencje, niema na razie głowy, a drobne pieski funkcjonariuszy, będących kreaturami Cleinowa, są skonsternowane i same nie wiedzą, czego się trzymać i jakie metody należy obecnie stosować. Rzecz więc co do zakwestionowanych artykułów „Widnokręgu" jest jeszcze w zawieszeniu, ale jeżeli będzie w cenzurze rozstrzygnięta ujemnie, Rzymowski ma się odwołać do wyższego politycznego urzędnika, który tu jest z ramienia Berkmanna-Holberga.
Wczoraj napisałem artykuł o rocznicy 6 sierpnia 1914, który jako nie nadający się do wymogów cenzury, dałem do ewentualnego zużytkowania w Biurze Prasowym CKN-u.

18 lipca, rok 1916, wtorek

Cofnę się o kilka dni i pomówię o piątkowym zebraniu CKN-u. Właściwie może nie tyle o samym zebraniu, ile z okazji jego. A przede wszystkim muszę stwierdzić, że coraz mniej jestem zadowolony z tego, że moi przyjaciele CKN-owi wpakowali mię, nie zasięgając wcale mojej opinii, na członka do CKN-u. Ta przynależność jest dla mnie bardzo krępująca, bo poniekąd klasyfikuje mię z góry do pewnego obozu, omalże nie koterii, utrudniając mi przez to swobodę poruszania się wśród rozmaitych prądów i czynników Sprawy Polskiej w zakresie tego, co mi najbardziej na sercu leży i co za moje szczególne zadanie uważam – Sprawy Litewskiej. Poza tym, chociaż rozumowo linię polityczną CKN-u uważam w dzisiejszych warunkach międzynarodowych za najrozumniejszą dla spełnienia postulatów Sprawy Polskiej, jednak w bardzo wielu szczegółach nie wyczuwam bynajmniej ideowego pokrewieństwa między poszczególnymi wnioskami i tendencjami CKN-u a moim. W CKN-ie razi mię nieraz nie tylko pewna krańcowość i talmudyczna jednostronność oraz zacietrzewienie w forsowaniu pewnych swoich tendencji oraz zwłaszcza sympatii i antypatii, pewna, że tak powiem, studencka metoda polityczna, ale też duch koteryjności i omalże nie sekciarstwa, właściwy znacznemu gronu jego członków. Te rzeczy rażą mię i poniekąd zniechęcają do współpracy. Nie lubię sekciarstwa i nieodłącznej od niego koteryjnej ciasnoty, zasklepiającej pole obserwacji pewnymi uprzedzeniami i talmudycznym rezonerstwem kołowrotka. A to mają w dużym stopniu niektórzy członkowie CKN-u, że wymienię tylko Tadeusza Szpotańskiego, Dunina, starego i skądinąd poczciwego Dębskiego i wielu innych. Wprawdzie na CKN składają się rozmaite grupy polityczne, jednak rdzeń jego i podstawę pierwotną stanowią PPS-owcy-fraki i Konfederacja. Konfederacja jest wybitnie koteryjną grupą, a PPS-owcy tworzą od dawna rodzaj sekty, zjednoczonej nie tylko programem i ideologią, ale też wspólną historią, tradycją pewnych ludzi i faktów, pewnych środowisk klikowych czy to z czasów Bojówki, czy z emigracji. Są to ludzie, zwłaszcza pośród starych działaczy i firmowych przywódców, którzy już nie umieją swobodnie i krytycznie myśleć i mają więcej politycznych nałogów, niż pojęć i postulatów. Ta ciasnota wielu ludzi w CKN-ie bardzo mi się nie podoba. Jest stanowczo za daleko idąca przesada we wrogim bezwzględnie traktowaniu LPP, jest nadmiar zacietrzewienia, które nie wychodzi na dobre Sprawie. Z osób w CKN-ie szczególnie mię razi Jodko, figura moralnie skompromitowana, chociaż głowa niewątpliwie dobra; jego tupet, jego nienawiść, którą dyszy do LPP i Departamentu, a pod którą ukrywa się, jak to posądzam, jakiś żal i złość osobistych zawodów ambicji, jego metoda insynuacyjna w polityce, tak umiejętnie w koteryjnych nastrojach rozpalająca uprzedzenia i namiętność – robią zeń, moim zdaniem, pomimo jego rozumu, człowieka szkodliwego w CKN-ie. Zresztą jest to człowiek, który nie posiadając etyki prywatnej, wnosi też cynizm amoralności do sfery publicznej, opierając politykę na samych tylko pierwiastkach siły i „interesów"; jest on wyznawcą pogańskiej, dzikiej i bezprawnej sztuki politycznej. Skoro już wszedłem na tory osób w CKN-ie, to zaznaczę, że nie zbyt wierzę w szczerość ideową w duchu radykalnie CKN-owym redaktora Kempnera, spryciarza, ale zawsze w najgłębszej głębi zarazem geszefciarza „robiącego", po asymilatorsku i neoficku „czystego" niepodległościowca. Zbyt wielomówny, acz szczery i niegłupi Kunowski trąci także koteryjnością pps-owego nałogu i działa mi trochę na nerwy. Nawet w samym wytrawnym Arturze Śliwińskim wyczuwam z przykrością pewną zajadłość namiętności, ukrywającej, jak się zdaje, osobiste porachunki względem Departamentu ponad rzeczową miarę, co mię przykro razi. Natomiast podoba mi się bardzo Stanisław Śliwiński. Najbardziej mię zniechęcają takie osoby, jak Jodko i Szpotański, choć to są dwa różne typy, z których jeden – to szczwany lis, któremu za grosz osobiście nie ufam, drugi – to ciasny

nałogowy fanatyk koteryjny, piastujący tak odpowiedzialne stanowisko, jak szefa wydziału prasowego CKN-u.
Na zebraniu piątkowym przyjęto zaproponowaną przez Artura Śliwińskiego niezwykle ostrą rezolucję przeciwko Departamentowi Wojskowemu. Daleki jestem od sprzyjania Departamentowi, którego politykę za szkodliwą uważam. Nie to mię też razi, że przyjęto rezolucję przeciw niemu, ale to, w jaki sposób rzecz stawiano: zamiast rzeczowych argumentów, które by się dały tak znakomicie i plastycznie dobrać, wybrano metodę namiętnej napaści, znać było w całym stawianiu rzeczy, zarówno jak w brzmieniu rezolucji więcej nienawiści i chęci pognębienia znienawidzonego Departamentu, niż istotnej troski o samą istotę rzeczy, miało się wrażenie, że to nie politycznych dwóch linii wzajemnie przeciwstawienie, ale jakiś akt zemsty, rozkosz pastwienia się i wyrok spiskowców.
Długo była omawiana sprawa deklaracji radnych CKN-owych w Radzie Miejskiej i kwestia perspektyw pewnych aktów w stanowczych w Sprawie Polskiej ze strony władz niemieckich. W związku z tymi sprawami napiszę coś o tym pod datą jutrzejszą, jeżeli nic mi nie przeszkodzi.

19 lipca, rok 1916, środa
Otrzymałem wezwanie z niemieckiego urzędu przepustek przy ul. Królewskiej do stawienia się; w jakim celu – nie wskazano; wątpię, aby to już miała być odpowiedź decydująca – pozwolenie na wyjazd lub odmowa. Przypuszczam, że nadeszło podanie Maryni o pozwolenie mi wyjazdu do Wilna i że to w tej sprawie jestem wyzwany. Marynia bowiem, niezależnie od mego podania, wniosła również podanie o to samo ze swej strony, motywując potrzebę mego przyjazdu tym, że nie może sobie sama dać rady i że potrzebuje mojej pomocy rodzinnej w interesach. Zrobiła to z porady jakiegoś wyższego urzędnika w niemieckim urzędzie przepustek w Wilnie, aby tą drogą poprzeć moje starania. Wiem o tym z jej listów. Będzie to dobrym atutem dla uzyskania pozwolenia, tym bardziej, że w samym urzędzie wileńskim, do którego stąd wysłano moje podanie dla orzeczenia opinii, mam dzięki Maryni zapewnione poparcie. Urząd przepustek w Wilnie mieści się przy ul. Ofiarnej (dawnej Sądowej) w domu Stasia Wołodkowicza, którym zarządza Marynia. Wskutek tego zna ona tam wszystkich urzędników do najwyższych włącznie, a że jest zaradna, prawdomówna, towarzysko miła, więc ma u nich mir. Jednego się tylko obawiam co do owego wezwania, które dziś otrzymałem, żeby to nie było to, że Niemcy, sprawdzając potrzebę mego wyjazdu do Wilna, wpadli na trop moich poprzednich starań jako legionisty. Jutro się udam na Królewską.
Wieczorem dziś Ludwik Abramowicz obchodził w gronie kilku przyjaciół rocznicę swoich urodzin. Zaproszeni byliśmy przez niego do Fukiera na Rynku Starego Miasta na „lampkę" węgrzyna. „Lampka" ta jednak wyrosła do dobrej libacji; był Ludwik Abramowicz, Hela Ochenkowska, p. Grabowski, Edward Słański, Benedykt Hertz i jeszcze jakiś pan, którego znam, ale nazwiska nie wiem. Mile czas upłynął przy winie, a na dokończenie festynu poszliśmy się jeszcze posilić do „Gastronomii" na rogu Nowego Świata i Alei Jerozolimskich.
Wracam znowu do rzeczy publicznych. „Konsolidacja", zapoczątkowana przy wyborach do Rady Miejskiej, jak to było do przewidzenia, przedstawia się bardzo słabo. Elementy prawicy usiłują w wytworzonej „Delegacji" zbagatelizować polityczny czynnik konsolidacji i odebrać mu aktywność. Delegacja ta jest formą konsolidacji. Składa się ona z 21 delegatów „Koła Międzypartyjnego", będącego blokiem prawicy, 15 delegatów LPP i 18 delegatów CKN-u. Prawica szczególnie przeciwdziała temu, aby nie zaznaczyć frontu antyrosyjskiego, a ponieważ wie, że wszelka akcja polityczna,

wychodząca z założeń naczelnego hasła konsolidacji – Niepodległości – z konieczności w dzisiejszych zwłaszcza warunkach zwróciłaby się przeciwko Rosji, więc usiłuje mnożyć ostrza polityczne w roztrząsaniu takich spraw, jak stosunek do rekwizycji władz niemieckich itp., co oczywiście nie naraża jej w oczach Rosji. Wobec tego elementy CKN-u i bodaj LPP zamierzają znów przenieść ostrze politycznego wystąpienia do Rady Miejskiej, stojąc na stanowisku *aut-aut*: albo konsolidacja polityczna jest dokonana i Delegacja ma być politycznie aktywną w kierunku wyciągania czynnych wniosków z hasła Niepodległości, a wtedy zgoda na to, żeby z Rady Miejskiej nie robić specjalnego terenu wystąpień politycznych, albo Delegacja do wypowiadania się i akcji na zewnątrz nie jest zdatna i wtedy elementy niepodległościowe wracają do swego poprzedniego postulatu traktowania Rady Miejskiej za narzędzie nie tylko gospodarcze, ale i wyrażające polityczną wolę stolicy w obecnych przełomowych czasach. Na pierwszym posiedzeniu Rady Miejskiej zgłoszone będą polityczne deklaracje. Już obecnie toczy się akcja między radnymi w sprawie owej czy owych deklaracji. Tendencją ckn-owców jest uwydatnianie na gruncie frontu antyrosyjskiego elementarnych postulatów państwowych Polski: rządu i wojska narodowego. Z tym samym ostrzem postulatów ma CKN kategorycznie w Delegacji wystąpić, a to tym bardziej, że moment jest dziś zupełnie wyjątkowy i że, jak jest na to bardzo wiele wskazówek i niemal już pewników, Berlin jest bliski wyraźnych postanowień w sprawie polskiej i szuka, na kim i jak się w Polsce oprzeć. Sama prawica czuje to i wie o tym i jest przez to skonsternowana, pragnąc oczywiście z jednej strony *maximum* wpływów dla siebie zagarnąć i rzeczy z rąk nie upuścić, z drugiej – mieć coś niekompromitującego i nie zanadto przesądzającego sprawę, aby zawsze we wszystkich kierunkach pozostawały pootwierane furtki – zarówno odwrotowe, jak postępowe. Zadaniem zaś elementów radykalnie niepodległościowych jest kuć żelazo, póki gorące, by właśnie już *maximum* przesądzić i siłę faktów dokonanych możliwości wydobyć. Są pewne konszachty władz niemieckich z politykami Stronnictwa Narodowego i Rady Głównej Opiekuńczej. Rzecz by polegała na tym, aby atrybucję Rady Głównej Opiekuńczej w kierunku politycznym rozszerzyć i zbliżyć ją do formy rządu narodowego, zamiast zaś armii narodowej, użytej już wyraźnie do wojny Polski z Rosją, byłaby utworzona milicja do służby wewnętrznej; tą drogą byłoby zbliżenie się do państwowości i zarazem zachowana zasada formalnej neutralności Polski przy utworzeniu już pewnych widomych pozorów wojska narodowego w milicyjnej formacji; albowiem na niepodległość z wojną z Rosją R.G.O. i Stronnictwo Narodowe by się nie decydowały. Byłby już w tym z pewnością pewien atut faktu dokonanego, posiadającego własną logikę, który już przy wszelkich ewentualnościach wojny trudno byłoby zniszczyć; przełamać coś dokonanego i wrócić wstecz jest zawsze trudniej, niż zachować *status quo*, gdy niczego nie dokonano. Dlatego też elementy ideowo-moskalofilske są niechętne wszelkim krokom, cośkolwiek bądź przesądzającym, podczas gdy oportunistyczne Stron. Narodowe chce faktów dokonanych i chce się na nich oprzeć, ale tylko takich, które na wypadek zmiany sytuacji nie będą zbytnio narażać i dadzą się utrzymać, względnie będą miały furtki odwrotowe. Są jeszcze szkopuły między Wiedniem i Berlinem, są też ze strony Niemców chęci ewentualnie pogłębienia antyrosyjskiego frontu w tych zapoczątkowaniach państwowych w sprawie polskiej. Interwencja niepodległościowców jest tu b. ważna i aktualna.

20 lipca, rok 1916, czwartek
Okazało się, że istotnie wzywany byłem do urzędu przepustek z powodu podania Maryni, które tu przysłane zostało. Gdy po zgłoszeniu się moim sprawdzono, że już ja także ze swej strony podanie o przepustkę do Wilna wniosłem, o nic mię już nie pytano

i tylko podanie Maryni załączono do aktów mojego podania. Co zaś do samego mego podania, to stwierdzono, że zostało już ono przesłane do Wilna dla zaopiniowania władz tamecznych i że odpowiedź stamtąd jeszcze nie nadeszła.
Nic szczególnego nie mam do zanotowania dziś w dzienniku z rzeczy aktualnych. Deszcz padał przez dzień cały bez przerwy, toteż z domu prawie się nie wychylałem. Ten deszcz – to już prawie klęska, a jeżeli potrwa jeszcze przez czas jakiś, to może się stać powodem prawdziwej katastrofy. Żniwa już rozpoczęte, a kwestia zbiorów – to cała podstawa i wojny dla państwa centralnych, i wegetacji ludzkiej na terytoriach, przez te państwa okupowanych; powiadam „wegetacji", bo przy tej nędzy środków żywnościowych i w ogóle wszelkich produktów materialnych, służących do zaspakajania elementarnych potrzeb, stopa życiowa zaledwie na liche wegetowanie pozwala. Oczywiście, znalazłbym dużo do pisania ze stosunków warszawskich, ale skorzystam z tego, że nic gwałtownie aktualnego nie ma, aby wrócić do innych zaległych tematów – notatek i wspomnień legionowych. Mam właśnie już taki niedokończony jeszcze sprzed miesiąca temat – o zaklęciach żołnierskich. Dokończę więc to nareszcie. To, co mi pozostaje w tej materii, to już nie są właściwie zaklęcia, jeno pewne charakterystyczne wyrażenia. Do takich więc należy np.: „Dać mu rumu!" Rum, który czasem żołnierze „fasują", wcale dobry i przede wszystkim mocny, należy zawsze w życiu żołnierskim do upragnionych „fasunków". To też okrzyk „dać mu rumu" jest rodzajem uznania ze strony żołnierza dla kogoś. Jednocześnie wszakże tenże okrzyk bywa wyrazem pewnego zlekceważenia. Gdy komuś uda się coś takiego powiedzieć, co się żołnierzom podoba, lub jakiś dobry kalambur czy dowcip palnąć, wnet mu wołają: „Dać mu rumu!". Zarówno jednak, gdy ktoś żołnierzy przemową swą znudzi lub podrażni, przerwą mu wołaniem: „Dać mu rumu!"; jest to pewnego rodzaju przypieczętowanie i zamknięcie czegoś przez słuchaczy, jak „amen". Wołanie to używa się nie tylko w poufnej rozmowie, ale jeszcze częściej w szeregu, zbiorowo. Okrzykiem tym odpowiadają nieraz żołnierze komendantom lub w ogóle osobom, przemawiającym do nich przed frontem, okrzykiem tym gonią kogoś przechodzącego nie tylko z kolegów, ale i z przełożonych, w ogóle tych, którzy czymkolwiek zaabsorbują ich uwagę lub ich podrażnią, względnie komu chcą oni trochę dokuczyć. Nieraz okrzyk ten mąci ceremonialność jakiejś sytuacji, wywołując zgorszenie władz, odpowiadających na to pogardliwym określeniem: „cywil-banda". Kogo jednak żołnierze bardzo szanują, jak np. Piłsudskiego, temu nigdy okrzyku tego nie rzucą; nie rzucą go też w takiej chwili, gdy są istotnie uroczyście nastrojeni. Zdaje się, że okrzyk ten wywodzi się od Durskiego, który lubił wypić i któremu to zawsze krzyczano, na co się on gniewał. Bo młody żołnierz Legionów lubi podrażnić i podokuczać; gdy wie, że kogoś ten okrzyk drażni, to nie może się powstrzymać od satysfakcji rzucenia go. Inną formą, bardziej osobistą, dokuczenia komuś z wytknięciem mu jego winy, jest wołanie: „oddaj ....!" Co „oddaj" – to zależy od osoby, do której się woła i od tego, co się jej chce wytknąć. Gdy na przykład ktoś się ukaże wśród żołnierzy liniowych z odznakami (gwiazdkami lub paskami), o których wiadomo lub co do których jest podejrzenie, że je zdobył na tyłach lub przez protekcję, a nie dosłużył się pracą liniową i istotną zasługą, będą wołać: „Oddaj gwiazdki!", „Oddaj paski!", „Oddaj szablę!" itd. Gdy ktoś się ukaże szczególnie czysto lub tym bardziej elegancko ubrany, gdy żołnierze chodzą w strzępach i brudzie, wołają mu: „Oddaj mundur!", „Oddaj Jabłonków!" (Jabłonków, miejscowość na Śląsku austriackim, gdzie przebywał przez czas jakiś Departament Wojskowy, będący w oczach żołnierzy liniowych gniazdem „dekowania się", próżniactwa, wszelkich wygód i zaszczytów oraz źródłem tytułów, szarż i honorów bez zasług, stał się w ich języku symbolem tych wszystkich znienawidzonych na linii cech i wyrazem pogardliwym). Gdy zobaczą kucharza lub sierżanta kuchennego, a są bez obiadu, wołają: „Oddaj

obiad!", „Oddaj mięso!". Gdy ujrzą sierżanta dowożącego „fasunek", wołają: „Oddaj rum!", „Oddaj papierosy!", „Oddaj cukier!" itd., robiąc aluzje do tego, że sobie coś z należnego im przywłaszczył. Bywa to żartobliwe i wesołe, to znów czasem złośliwe, zależnie od okoliczności i humoru. Do sanitariuszy wołają: „Oddaj duch!", „Oddaj nogę!" itd., robiąc aluzję do „wykradania" przez nich (amputowania) nóg lub innych części ciała u rannych, względnie do uśmiercania tychże rannych. Czasem do niektórych osób są przywiązane szczególne grzechy z jakichś wypadków z przeszłości, które im potem stale wytykają wołaniem „Oddaj!" z dodatkiem tego, o co chodzi. Zastosowanie tego „oddaj" jest niewyczerpane.

21 lipca, rok 1916, piątek
Napisałem artykulik, który spróbuję dać do „Kuriera Polskiego". Zatytułowałem go: „Ewolucja postulatu niepodległości". Nie wiem tylko, czy cenzura niemiecka go puści i zresztą czy sama redakcja „Kuriera" go zaaprobuje. W artykuliku tym wyrażam tę myśl, że okres utwierdzania postulatu niepodległości w idei i woli powinien być już zakończony i że obecnie postulat ten powinien przejść w stadium czynne w kierunku tworzenia i zdobywania faktów dokonanych. Jako wnioski stąd wyciągam: postulaty konkretne rzędu i wojska narodowego, oraz na zewnątrz potrzebę określenia stosunku do mocarstw centralnych oraz do krajów i ludów ościennych, wyjarzmionych również od Rosji (Litwa z Białą Rusią Zachodnią i część Łotwy). „Kurier Polski" jest pismem szczerze niepodległościowym, ale, jako organ Grupy Pracy Narodowej, zachowuje rezerwę w politycznej ocenie Legionów. Wyznaje postulat niepodległości z frontem antyrosyjskim, ale politycznej wartości ruchu zbrojnego, dopóki nie jest on dziełem niepodległego państwa polskiego, a więc w szczególności Legionów, jak również pierwotnego wystąpienia strzelców Piłsudskiego – nie decyduje się uznać za akcję wskazaną. W moim zaś artykuliku jest właśnie wskazówka na czyn Piłsudskiego z d. 6 sierpnia r. 1914 jako na ten moment, który od razu stawiał niepodległość Polski na grunt faktu, co zwichnięte zostało tylko przez nieudzielenie mu poparcia przez Królestwo, a co dziś przez to samo Królestwo jest mozolnie tworzone. Nie wiem też, czy cenzura niemiecka to puści. Z jednej strony, Niemcy dość chętnie popierają wszystko to, co niepodległościową tendencję Polski wyraża i gotowi są nawet do forsowania odpowiedniego prądu, z drugiej wszakże – usiłują przestrzegać, aby to budownictwo państwowe polskie miało wyraźne oparcie się o mocarstwa centralne i w szczególności o Niemcy. Otóż czy dość tego w moim artykule dostrzegą – nie wiem. Wprawdzie taki „Widnokrąg", którego numer 1 już wyszedł, zdołał wywalczyć sobie w całej pełni swobodę wyrażania kategorycznego programu niepodległościowego, jednak dla innych pism, zwłaszcza gdy w nich wyczuwają tendencję budowania niepodległości zupełnie wolnej na wszystkie fronty, cenzura niemiecka ma więcej rezerwy. A „Kurier Polski" należy właśnie do tych tzw. „trójfrontowych" niepodległościowców, w większym nawet stopniu, niż CKN. Front antyrosyjski nie łączy się u niego konsekwentnie z oparciem się o mocarstwa centralne.
Wieczorem poszedłem dziś na inauguracyjne zebranie nowej organizacji politycznej – „Klubu Państwowców Polskich". Jest to nowa organizacja, powstająca w Warszawie, wyrażająca w obozie niepodległościowym i antyrosyjskim odrębny kierunek, różniący się i od austrofilskiej LPP, i od radykalnie niepodległościowego CKN-u. Nową jest tylko organizacja tego kierunku, bo sam on nowym nie jest. Jest to kierunek Władysława Studnickiego, popierany przez „Goniec", liczący w swoich szeregach takich publicystów i konsekwentnych od dawna rzeczników państwowości polskiej, jak Zygmunt Makowiecki i Tadeusz Grużewski. Jest to grupka tych ludzi, którzy uchodzą za „germanofilów", a przynajmniej są o to podejrzewani. Ich wszakże programem jest

nie jakiś państwowy związek Polski z Niemcami, ale niepodległe polskie państwo, budowane realnie na oparciu się o mocarstwa centralne i konkretnie o Niemcy. W zasadniczej swojej idei są oni bliżsi CKN-u o tyle, że, jak CKN, są niepodległościowcami; to ich różni od LPP, która stawia na czele zjednoczenie Królestwa z Galicją w państwowym związku z monarchią habsburską, co państwowcy z grupy Stunickiego uważają, *primo*, za mało realne i grożące nawet podziałem Królestwa, *secundo* – za niebezpieczne dla aktywizmu, bo, ich zdaniem, postulat związku z Austrią polegać może w obecnych warunkach politycznych tylko na pobożnym wzdychaniu. Wszakże od CKN-u dzieli tych „państwowców" wyraźnie stawiana zasada sojuszu z mocarstwami centralnymi; solidarność państwa polskiego z państwowym interesem mocarstw centralnych, a zwłaszcza Niemiec, jest to realną podstawą, na której, w pojęciu „państwowców", można budować konkretnie fakt niepodległości; poza tym, budować go należy tak, aby państwo polskie istotnie pełniło funkcje, płynące z tej solidarności, mianowicie w pierwszym rzędzie służyło przedmurzem Europy Środkowej na wschodzie, by na tej funkcji swojej, odpowiadającej trwałemu interesowi Niemiec, byt swój na realnych oparło czynnikach. A że ten trwały antyrosyjski front państwa polskiego odpowiada również własnemu Polski interesowi, więc solidarność państwowa polsko-niemiecka jest dziejowo uzasadniona, głębsza od motywów uczuciowych, dzielących Polskę od Niemiec. Polska powinna nie tylko w powstaniu swoim oprzeć się o mocarstwa centralne, ale powinna być w tej solidarności nadal lojalna, albowiem w niej wyłącznie mieści się gwarancja powstania i dalszego bytu państwa polskiego. Otóż koncepcja CKN-owa, która, wprawdzie front antyrosyjski uwydatnia, jednak usiłuje oprzeć państwo polskie nade wszystko na własnej woli i sile narodowej, przeciwstawiając je również mocarstwom centralnym, jest, zdaniem „państwowców", nierealna – „studencka", jak ją oni nazywają. W przeciwstawianiu się mocarstwom centralnym upatrują oni tę „trójfrontowość", która zawiesza sprawę polską w próżni. Studnicki ze swymi „państwowcami" nie wierzy w wolę i moc wewnętrzną niezorganizowanego państwowo narodu i w tych czynnikach materiału twórczego do budownictwa nie dostrzega. Wszędzie i zawsze decyduje tylko mniejszość, która, o ile ma w ręku władzę i środki organizacyjne, kieruje większością. Otóż środki te mogą być pozyskane tylko z ramienia państwa obcego, w danym razie państw centralnych, nie zaś z niezorganizowanej masy narodowej wyłonione. Pastwo polskie musi być wytworzone przez Niemców. Nie wolno też, opierając się dziś w tworzeniu państwa na mocarstwa centralne, żywić w sercu nadzieję i zamiary niewykonania względem nich zobowiązań, bo państwa centralne, o ile dostrzegą nieszczerość Polaków, nie zechcą państwa polskiego tworzyć, a dostrzec potrafią zawsze.

22 lipca, rok 1916, sobota
Wiadomo, jak niepopularni są w Polsce Niemcy i jak daleka jest opinia publiczna od germanofilstwa. Ta uczuciowa i poniekąd żywiołowa niechęć do Niemców, ten „strach przed Prusakiem", ta głęboka nieufność do wszystkiego, co Niemcem trąci, historycznie płynąca może jeszcze z rasowych walk świata germańskiego ze słowiańskim, z głębokich podań o Wandzie, z dziejów krzyżactwa, z zawodów przymierza polsko-pruskiego w ostatnich latach Rzeczypospolitej, z roli Prus w rozbiorach Polski, ze wspomnień o Bismarcku i z najświeższych ran, zadanych Polsce przez hakatyzm w Poznańskiem; Września, polityka kolonizacyjna w Poznańskiem, ustawa o wywłaszczeniu itd. – przyczyniły się z pewnością w dużym stopniu do popularnego odruchu moskalofilskiego w Królestwie na początku wojny i do dziś dnia pętają obóz niepodległościowy i antyrosyjski, który z konieczności zmuszony jest do pewnego

przynajmniej umiarkowania, jeżeli nie jawnego przymierza w stosunku do Niemców. Gdyby Niemcy byli w Polsce mniej niepopularni, mniej żywiołowo znienawidzeni, prąd niepodległościowy, z konieczności zwrócony frontem przeciwko Rosji, a przez to do pewnej solidarności z Niemcami, przynajmniej na gruncie tej wojny, obowiązany, z pewnością byłby mocniejszy i zwłaszcza wyrazistszy, konkretniejszy, niż jest obecnie. Rzecznicy jego mogliby wejść na grunt układów z Niemcami i realnego w jawnym z nimi zespole budownictwa państwowego. Tymczasem teraz, zmuszeni do liczenia się z popularnymi nastrojami, podnieconymi jeszcze przez głód, przez rekwizycje wojenne Niemców, przez ich bezwzględność w roli okupantów kraju, bezwzględność zwłaszcza w sferze najboleśniej przez tłum odczuwanej – gospodarczej – elementy najbardziej w kierunku niepodległościowym aktywne muszą wciąż lawirować, starannie odseparowując swój front antyrosyjski i swoją rolę niepodległościową wraz ze wszelkimi zapoczątkowaniami budownictwa państwowego – od pozorów związku z Niemcami i „germanofilstwa". Zarzut „germanofilstwa" – to najstraszniejsza broń demagogiczna w ręku moskalofilów i endeków przeciwko aktywistom niepodległości. Sam CKN, jaskrawie niepodległościowy antyrosyjski, kieruje się w swojej ewolucji programowej w lwiej części względami na te właśnie antygermanofilskie nastroje popularne. LPP w austrofilstwie swoim wyzyskuje atuty germanofilskich obaw. Oportuniści ze Stronnictwa Narodowego, gotowi w gruncie rzeczy do konszachtów z Niemcami, ukrywają starannie wszelkie pozory germanofilstwa (zresztą bynajmniej germanofilami nie są, bo zasadą ich jest tylko przystosowywanie się do wszelkich możliwości w celu ich wyzyskania i zapanowania nad nimi). Jeden Studnicki z grupą swoich przyjaciół ośmiela się wystawiać otwarcie polityczną dyrektywę budowania państwa polskiego w oparciu się o Niemcy, zastrzegając jednak słusznie, że dalekie to jest od tego, co się w Polsce przywykło chrzcić mianem „ugody", albowiem ta nowa forma przymierza nie na wyrzekaniu się przez Polaków czegoś, jeno właśnie na pozyskaniu i wytworzeniu własnego państwa polega. Ten kierunek Władysława Studnickiego tworzy wyłom w tym dotychczasowym lawirującym w stosunku do Niemców niepodległości programie. Ale obawa germanofilstwa jest tak wielka, że gdy się stało wiadomym, iż grupa Studnickiego organizuje się w „Klub Państwowców Polskich" i występuje na arenę politycznego działania w postaci nie luźnej grupy jednostek, jak dotąd, ale zorganizowanego kierunku, i że Klub Państwowców Polskich uzyskał już legalizację władz niemieckich, powstało wielkie zaniepokojenie. Oba wielkie ugrupowania polityczne o wyraźnym froncie antyrosyjskim, które są przez ten kierunek frontu faktycznie spokrewnione z obozem Studnickiego – LPP i CKN – uznały za konieczne zachowanie rezerwy co najmniej wyczekującej w stosunku do nowego Klubu. Oba się po prostu bały tego Klubu, bały się skompromitowania „ohydą" germanofilską, mogącą Klub ten w popularnej opinii zabić. Czuły, że w osobie tego Klubu rodzi się w istocie ich sprzymierzeniec, ale sprzymierzeniec ten jest z urodzenia „*enfant terrible*". Po mieście poszły szepty. Już w samym fakcie legalizacji Klubu przez władze niemieckie upatrywano niebezpieczny znak germanofilstwa. Istotnie bowiem Klub Państwowców jest pierwszą jawną i legalną organizacją polityczną, powstającą w Warszawie. I LPP, i CKN jawności dotąd nie mają. W jawności Klubu jest jego siła działania politycznego, ale zarazem słabość tych kompromitujących go w opinii pozorów. Zaczęły krążyć legendy o jakimś osobliwym faworyzowaniu przez Niemców nowej organizacji. W statucie Klubu miejsca, z konieczności warunków okupacyjnych zredagowane kompromisowo, zaczęto komentować w kierunku posądzeń germanofilskich i to właśnie w sensie germanofilsko-„ugodowym", co w istocie nie odpowiada prawdzie kierunku. Pogłoski te, posądzania i obawy kolportowano nie mniej w obozach przyjaciół antyrosyjskich, niż nieprzyjaciół moskalofilskich. W LPP zaczęto

gwałtownie forsować ostrożność i nawet niechęć względem Klubu. Simon, Ludwik Abramowicz, Zieliński, Grotowski – stali się w LPP rzecznikami niechętnego stosunku do Klubu, podczas gdy pewne grono członków skłania się do życzliwego stosunku. W CKN-ie sprawa stosowna była też podniesiona i rozstrzygnięta w kierunku rezerwy.

23 lipca, rok 1916, niedziela
Wiedziałem, że na środowym posiedzeniu CKN-u omawiana była sprawa stosunku do „Klubu Państwowców Polskich", którego zebranie inauguracyjne wyznaczone było na piątek, i że postanowiono zachować się na razie wobec niego z rezerwą, do czasu przynajmniej, aż się oblicze tej nowej organizacji dokładnie wyjaśni. Działała tu z jednej strony obawa przed „ohydą" germanofilstwa, którego samo posądzanie może depopularyzować wszystkich i wszystko, kto się tego dotknie, z drugiej – uzasadniona rezerwa co do osoby niejakiego Zawadzkiego, czyli tzw. „ojca Prokopa", osobnika dobrze znanego na bruku warszawskim. Jest to człowiek stary, z sędziwą wielką białą brodą, postać charakterystyczna, człowiek, pomimo wieku, ruchliwy, ciągle czynny, ale z jakimiś plamami na przeszłości swojej; nikt dobrze nie wie, jaka to wina na nim ciąży; wiadomo tylko tyle, że przed kilkunastu laty kręcił się on na bruku wileńskim i że to tam coś takiego zaszło, co go skompromitowało i zmusiło do ucieczki z Wilna; są ludzie w Wilnie, którzy coś wiedzą o tym, bo był tam swego czasu jakiś sąd nad nim czy coś podobnego. Tu „ojciec Prokop" gra wielkiego patriotę; wszędzie go pełno, gdzie jakaś nowa organizacja powstaje, zwłaszcza zaś lubi sam tworzyć coś nowego i odrębnego, ale zawsze tak, aby się samemu wypchać na czoło i rej wodzić. W poważnych organizacjach unikają go, a już samo to, że on gdzieś figuruje, kompromituje i co najmniej ośmiesza oraz cień warcholstwa rzuca na samą rzecz. Były poszlaki, że do organizatorów „Klubu Państwowców" i on także wespół ze Studnickim i Makowieckim należy. Co do mnie jednak, to ponieważ powstanie „Klubu Państwowców" o takim programie budownictwa państwowego z wyraźnym oparciem się o mocarstwa centralne, a właściwie o Niemcy, uważam za dodatnie i za uzupełnienie potrzebne do dwóch innych kierunków istniejących, jakimi są Liga Państwowości Polskiej i Centralny Komitet Narodowy, więc nie uważałem dla siebie za wskazane zachowywać zbyt wielkiej rezerwy, tym bardziej że na zaproszeniach na inauguracyjne zebranie podpisani byli, a przeto urzędowo za organizatorów się podali, tylko Studnicki i Makowiecki. Skądinąd uważam za niewykluczone, że Klub ten może się przydać do postawienia sprawy litewskiej. Ponieważ przy omawianiu stosunku do Klubu Państwowców na środkowym posiedzeniu CKN-u nie byłem, więc mogłem mieć zawsze i formalną wobec krępującego mię CKN-u wymówkę, żem o postanowieniu rezerwy nie wiedział. Zresztą szedłem na zebranie bez jakiegoś specjalnego zamiaru angażowania się, ale i bez rezerwy. Wybrałem się z Helą Ochenkowską. Przyszliśmy już po otwarciu zebrania i zagajeniu Makowieckiego, w chwili, gdy się właśnie konstytuowało prezydium. Na przewodniczącego był powołany p. Kobyłecki, radny miejski z ramienia Komitetu Mieszczańskiego, ściśle zespolonego z niepodległościowym Demokratycznym Komitetem Wyborczym. Zaledwie wszedłem na salę i usiadłem, usłyszałem moje nazwisko, powoływane do prezydium. Kobyłecki powołał do prezydium na asesorów Parczewskiego, Libickiego, Wincentego Rzymowskiego i Neymana, mnie zaś na sekretarza. Parczewski i Libicki, pod wpływem z pewnością tych obaw posądzenia o germanofilstwo i wynikającej z nich rezerwy, uchylili się od wejścia do prezydium pod pretekstem, że będą musieli opuścić zebranie przed jego końcem. Ja przyjąłem powołanie bez wahania, choć wiedziałem, że udział w prezydium jest sam przez się manifestacją przychylnego stosunku do Klubu i że przeto wykracza przeciwko rezerwie. Może CKN weźmie mi to za złe, ale ostatecznie zbyt

wielkiej wagi do tego nie przywiązuję, bo uważam siebie, pomimo wszystko, za luźnie tylko z CKN-em związanego i w ostateczności nie miałbym nic bardzo przeciwko temu, żeby nawet formalną moją przynależność do niego zerwać, zachowując tylko stosunek kontaktu w sprawie litewskiej. Dziwiło mię tylko to, że organizatorowie Klubu mnie, osobiście tak mało znanego w Warszawie, do prezydium powołali: przypuszczam, że chcieli przez moją osobę zamanifestować wiązanie swoich tendencji z Litwą, ponieważ w mojej osobie symbolizuje się sprawa litewska w jej stosunku do państwowej sprawy polskiej. Samo zebranie inauguracyjne odbyło się uroczyście i bardzo rzeczowo. Wypowiedziane zostały przede wszystkim dwie wielkie mowy programowe – przez Tadeusza Grużewskiego i Władysława Studnickiego. Zwłaszcza mowa Studnickiego była znakomita pod względem ścisłości logicznej. Można się spierać o to, czy samo podstawowe założenie Studnickiego – to znaczy możność takiego zwycięstwa mocarstw centralnych, które by Niemcom dało do rąk siłę do samodzielnego rozwiązania sprawy polskiej, jest w tej wojnie rzeczą realną i prawdopodobną. Ale jeżeli to się dopuszcza, a Studnicki na tym właśnie stanowisku *aut-aut* stoi – albo zwycięstwo, albo porażka – to w takim razie istotnie jedynym programem realnym jest budownictwo państwowe polskie, oparte o mocarstwa centralne i w szczególności o Niemcy. Wszelkie pobożne wzdychanie do szlachetności wolnościowej Anglii i Francji, związanych z Rosją, jest próżne, jak też niewiele jest warte łudzenie się co do możności budowania na samych tylko wewnętrznych pierwiastkach woli narodowej bez oparcia się o żadną siłę państwową walczących mocarstw. A bądź co bądź, gdyby nawet zwycięstwo Niemiec nie było ich dyktaturą, to kapitalną wagę będą miały w chwili likwidowania wojny i przesądzania losów sprawy polskiej wszelkie fakty dokonane w ciągu wojny, a fakty mogą być dokonane w kierunku państwowości polskiej obecnie li tylko na zasadzie układu z Niemcami, z ich ramienia i z oparciem się o nie. Toteż dziś coraz bardziej aktualnym i politycznym jest stanowisko opierania się o Niemcy, gdy zwłaszcza państwo polskie może być tylko z frontem antyrosyjskim budowane i gdy Niemcy są do tegoż frontu zmuszone oraz gdy cały kierunek ich wysiłków w stosunku do Polski polega na forsowaniu i uwydatnianiu oblicza niepodległościowego Polaków z coraz wyraźniejszymi tendencjami do wytwarzania odpowiednich faktów, a już bodaj i form. Po mowach programowych Studnickiego i Grużewskiego oraz po odczytaniu przez przewodniczącego statutu z udzieleniem co do niego wyjaśnień, niezbędnych dla sprostowania różnych legend i komentarzy o rzekomym jakimś specjalnym ugodowym i rezygnacyjnym „germanofilstwie” nowej organizacji, wypowiedziało się jeszcze kilku mówców, witających nową organizację i stwierdzających głębokie niepodległościowe zasady, realizowane w oparciu się o mocarstwa centralne. Piękną zwłaszcza i gorącą mowę wypowiedział jako gość Józef Waserang, członek LPP, który tam zresztą do opozycji należy. W szczególności Waserang oddał hołd jaskrawy Legionom, nawiązując do ich ostatnich krwawych, ale świetnych walk. Po zebraniu zdecydowałem się zrobić jeszcze krok dalej w kierunku nowego Klubu i podpisałem deklarację na jego członka. Wincenty Rzymowski i Hołówko, tu znani redaktorzy „Widnokręgu”, wpisali się także. Mam wrażenie, że „Widnokrąg” będzie miał tendencję iść po linii zbliżonej do linii tego Klubu.

24 lipca, rok 1916, poniedziałek
Dziś nastąpiło otwarcie Rady Miejskiej miasta stołecznego Warszawy. Nie byłem ani na posiedzeniu, ani na uroczystych nabożeństwach w Katedrze i Synagodze. Niemniej znam dobrze cały przebieg uroczystości nie tylko z opisów, ale i z opowiadania widzów i radnych. Wspólna deklaracja, o którą toczono tak długie spory w ostatnich dniach, doszła do skutku. Wprawdzie na początku tej deklaracji są wyrażone zadania

gospodarcze i kulturalne Rady Miejskiej, co zresztą samo przez się jest zupełnie naturalne i o co chodziło głównie elementom prawicy, pragnącym nadać Radzie Miejskiej wyłącznie gospodarczy rzeczowy charakter, tłumiąc nim starannie wszelkie zarzewie polityczne sprawy polskiej tendencji, mogących być przez Radę reprezentowanych; ale w dalszym ciągu deklaracji moment polityczny jest wyraźnie zaakcentowany, a choć nie ma w nim pewnych zasadniczych elementów, określających kierunek, mianowicie nie ma frontu antyrosyjskiego i nie ma wyraźnej o Legionach wzmianki, to jednak zasada Niepodległości jako ogólnego postulatu narodowego, stanowiącego konkretny cel sprawy polskiej, wyrażona w całej pełni; co więcej – wyrażony w niej w końcowym zdaniu hołd dla tych, którzy półtora wieku przelewali i przelewają krew o spełnienie tejże Niepodległości. Choć nie przyznano wyraźnie, że tymi, co przelewają dziś krew o to, są Legiony, i choć endecy mogą się po jezuicku wykrętnie pocieszać tym, że to mogą być równie dobrze drużyny Kainowe Gorczyńskiego, jak Legiony, i że oni właśnie pierwsze mogli mieć na myśli, jednak wobec historii i wobec opinii publicznej oraz na zewnątrz może to się tylko do Legionów stosować; gdy zaś po odczytaniu deklaracji cała niepodległościowa lewica Rady Miejskiej, poparta przez liczną publiczność, głośnym okrzykiem i owacją na cześć Legionów Polskich postawiła w tym miejscu kropkę nad i, to już sens o przelewających krew nabrał konkretnego wyrazu. Ta deklaracja – to najważniejszy moment uroczystości. Chodziło o nią bardzo, bo na zewnątrz była ona wyrazem jedności, spójni i konsolidacji sprawy polskiej w jej naczelnym postulacie Niepodległości. Wspólna niepodległościowa deklaracja – to na zewnątrz czynnik siły sprawy polskiej. Wprawdzie deklaracje poszczególnych grup lewicy niepodległościowej byłyby wyrazistsze od wspólnej i konkretniejsze w określeniu kierunku i dróg spełnienia zasadniczego postulatu, jednak na zewnątrz tego efektu, co ma deklaracja wspólna, by nie miały. Przez kilka dni sytuacja w ciągłych naradach grup radnych wahała się między tą kompromisową deklaracją wspólną a jaskrawymi deklaracjami lewicy przy równoległej apolityczności prawicy. Sprawa już stanęła na wspólnej deklaracji, gdy przed dwoma dniami dr Rząd, występujący w charakterze *leadera* grupki endeckiej, oświadczył kategorycznie, że jego grupa „na żądanie swoich wyborców" i „licząc się z opinią kraju" (endecy usiłują na apolitycznych bezwładnych nastrojach mas, znających jeden tylko nakaz – żołądka i fizycznego bytu – konstruować podstawę polityczną dla swych moskalofilskich tendencji), uchyla się od podpisania wspólnej (niepodległościowej) deklaracji. Zdawało się, że to pogrzebie całą sprawę, bo inne grupy prawicy, nie wyłączając nawet oportunistów ze Stronnictwa Narodowego, którzy stanowią dziś najpoważniejszą polityczną formację i którzy idą chętnie w kierunku niepodległościowym, bałyby się w to angażować *contra* endencji, aby to nie wyglądało na jawne germanofilstwo, a skądinąd efekt jedności – główny motyw wspólnej deklaracji – byłby ubity. Na uzupełniających pertraktacjach, które jeszcze po tym były toczone, gdy lewica niepodległościowa projekt swojej własnej deklaracji przedstawiła, deklaracji, w której już kategorycznie i ostro był wystawiony front antyrosyjski i hołd dla Legionów, i gdy książę prezydent Lubomirski przeczytał ten projekt i aż się za głowę chwycił na myśl, że „taka rzecz" może być na inauguracyjnym posiedzeniu odczytana, zaraz zarządził przerwę i zdołał namówić endeków do zgodzenia się na wspólną kompromisową deklarację, by ostrze antyrosyjskie i Legionów stępić. Prawica musi wychodzić z bezwładu, aby paraliżować efekt zbytniej jaskrawości lewicy, który nie tylko że sam przez się ją przestrasza, ale też uwydatnia kontrastem głąb jej bezwładu i przeto ją kompromituje. Prawica chce bowiem mieć pozory patriotyzmu i chce uchodzić za pełną troski i głębokiej czynnej miłości dla sprawy polskiej; ponieważ niepodległość może się jednak stać faktem, nie chce ona się pozbywać uczestnictwa w

zasługach nad jej osiągnięciem i pragnie się pod tym względem zaasekurować, aby na wszelką okoliczność atuty w ręku posiadać i wpływy móc nadal zachować. Ostatecznie uważam, że otwarcie Rady Miejskiej odbyło się dobrze. Jest to moment podobny do otwarcia uniwersytetu i politechniki w jesieni i do 3 Maja. Jest to jeden nowy na zewnątrz akt woli, który będzie miał ciągłość w Radzie Miejskiej, akt woli, który przysparza faktów dokonanych w sferze zasadniczej tendencji sprawy polskiej. Nie tylko uroczystość otwarcia, ale sama Rada Miejska z jej konstrukcją składu osobistego, z dokonanym kompromisem wyborczym o politycznym charakterze, z przesądzeniem sprawy żydowskiej na kategorycznym gruncie państwowości polskiej, co znakomicie potęgę czynnika państwowego w zagadnieniach wewnętrznych wzmocniło, przyszłość cała i akcja Rady, której przewodniczącym został symboliczny Brudziński, a drugim burmistrzem członek i jeden z *leaderów* LPP Zygmunt Chmielewski – wszystko to jest wielce dodatnim atutem dla sprawy.
Opracowałem dziś dla CKN-u projekt rezolucji w sprawie litewskiej, której miało być dziś poświęcone jego posiedzenie. Ponieważ, ze względu na zmęczenie polityków CKN-u sprawami Rady Miejskiej, mało się członków zebrało, odłożono szerszą dyskusję nad moim projektem rezolucji do innego razu. Jednak mój projekt rezolucji wzbudził wielkie zainteresowanie. Na posiedzeniu Wacław Sieroszewski zdawał sprawę z kongresu uciśnionych narodowości w Lozannie i z obrad z politykami niemieckimi w Berlinie, które miał on i Łempicki w drodze powrotnej z Lozanny. Są to rzeczy bardzo ciekawe. Niestety – nie jestem w stanie wszystkiego w dzienniku zreferować. Nie ma miejsca.

25 lipca, rok 1916, wtorek
Z Wilna przyszła wiadomość o aresztowaniu przez Niemców Wacława Studnickiego, którego osadzono w więzieniu łukiskim. Podobno aresztowany został za „*Grosspolnische Agitation*”; czy ona się wyrażała w jakiejś akcji politycznej na rzecz uwydatnienia polskości kraju lub Wilna albo też na rzecz łączności państwowej z Polską, czy też w jakichś podobno legionowych sprawach, związanych może z jego niedawnym pobytem w Warszawie – dobrze nie wiem. Przykra to jest w każdym razie rzecz, szczególnie zaś ze względu na to, że dyskredytuje na gruncie wileńskim samą zasadę opierania jakiejś akcji na łączeniu się z interesem państw centralnych, co tylko na korzyść moskalofilstwa wypada. Niemcy w Wilnie, w przeciwstawieniu do Warszawy, nie podniecają bynajmniej samorzutności społeczeństwa miejscowego i jego politycznych dążeń, zwłaszcza zaś w kierunku państwowotwórczym i w szczególności polskim; tam o wiele bardziej, niż tutaj, chcą sami ciążyć swoimi tendencjami na społeczeństwie oraz popierają wszystko, co uwydatnia różnonarodowy charakter kraju. Gra polityczna Niemców w stosunku do Litwy nie jest dotąd przejrzysta i, zdaje się, nie opiera się na jakichś tezach określonych. Z jednej strony jest polityka Hindenburga, która polega na zasadzie ścisłego panowania nad krajem z umniejszaniem jego dążeń indywidualistycznych, co ma przygotowywać grunt bądź do zwrotu kraju Rosji, bądź do aneksji i germanizacji, z drugiej – są pewne zakusy przeciwstawiania jednych narodowości innym, wreszcie z trzeciej – robią się pewne aluzje i półsłówkowe obietnice, raczej nadzieje, rozciągnięcia sprawy państwowej polskiej na Białoruś Zachodnią z Wilnem. Te wszakże ostatnie tendencje zdają się być jeszcze bardzo nieustalone i wypływają tylko w pewnych oświadczeniach polityków niemieckich, w pewnych zakulisowych konszachtach w sprawie coraz żywotniejszych perspektyw przesądzenia sprawy polskiej, ale nie bezpośrednio na terenie Litwy, nie w zarządzeniach politycznych miejscowych. Stąd jeszcze chwiejność i brak wyraźnej linii w polityce niemieckiej w Wilnie, stan dość podobny do początków okupacji

niemieckiej w Warszawie. Z tego punktu widzenia aresztowanie Wacława Studnickiego, który od początku wojny stał konsekwentnie na stanowisku antyrosyjskim z oparciem się wyraźnym o mocarstwa centralne, ale w myśl haseł niepodległościowych i łączenia Litwy z Polską nie może dziwić, jak nie mogło swego czasu dziwić aresztowanie w Warszawie i wywiezienie do obozu jeńców Wincentego Rzymowskiego i Tadeusza Hołówki.
Kilka słów o sprawozdaniu, które wczoraj na CKN-ie zdawał Wacław Sieroszewski z kongresu uciśnionych narodów i z całej swojej na ogół podróży. Liczne były tam czynniki, które usiłowały sfałszować kierunek tego kongresu i pchnąć go na tory koalicyjne. Czynniki te działały przeważnie z zewnątrz, usiłując jednak wewnątrz kongresu bądź intrygą, bądź przez podstawione jednostki presję wywrzeć. Jednak to się im zrobić nie udało. Postawa zwłaszcza przedstawicieli narodowości, ujarzmionych przez Rosję, była bardzo poprawna i zwróciła się ostrzem całą siłą przeciwko jarzmu rosyjskiemu. Tylko Łotysze nie zrobili akcesu do antyrosyjskiego frontu, a nawet jakoś jedna obecna delegatka Łotyszów próbowała wystąpić z namiętną ekspozycją filorosyjskiego programu, co jednak udaremnione zostało. Brakło też delegacji estońskiej. Za to Litwini, Białorusini, Ukraińcy, Bałtowie (Niemcy nadbałtyccy), Finlandczycy oraz delegacje różnych ludów z głębi Rosji lub Kaukazu, jak Kirgizów, Tatarów, Dagestańczyków itp. okazały się zupełnie w antyrosyjskim stanowisku solidarne. W szczególności zarysowały się dwie grupy w tym komplecie narodów, ujarzmionych przez Rosję. Grupa ludów zachodnich (Polacy, Litwini, Bałtowie, Białorusini, Ukraińcy i Finlandczycy) przeciwstawiała jarzmu rosyjskiemu już nie tylko żale i krzywdy oraz ideę walki o zdobycie lepszego bytu, ale wyraźnie własną państwowość wolną i narodową, podczas gdy grupa ludów z głębi Rosji i Kaukazu do państwowych koncepcji nie sięgała; poniekąd było to wyrazem logiki wypadków, które w tej wojnie tylko na zachodzie państwa rosyjskiego wyłaniają zagadnienia państwowe, ale w przeważnym też stopniu – różnicy poziomu i kierunku narodowych formacji i zagadnień u ludów kultury zachodniej a ludów wnętrza rosyjskiego, pierwotniejszych i z ideałami czynnej wolności, z tym, co się nazywa zmysłem obywatelskim – nieobytych. Wszystkie ludy zachodnie (mówię o tych zachodnich Rosji kresach) ujawniały zmysł państwowy, kategorycznie do niepodległościowych form skierowany. Pomimo, że znać było na razie pewną rękę intrygi, chcącej nastroić te różne delegacje niechętnie do Polaków i co oczywiście musiało chodzić pokątnym agentom Rosji, ze względu, że Polska reprezentuje najgłębszą niepodległościową ideę i że jej delegacja z wybitnie niepodległościowych się składała elementów (Wład. Studnicki, Łempicki i Sieroszewski), doszło do zupełnej harmonii między Polakami a delegacjami innych ludów z Rosji, a nawet na ściślejszych wzajemnych naradach doszło do aktu braterstwa i zamanifestowanej solidarności Polski niepodległej z niepodległością innych krajów b. Rzeczypospolitej, nie wyłączając oświadczenia Bałtów o ich pragnieniu ustosunkowania się lennego do Polski, jak było ongi. Dużo się do tej harmonii przyczyniło taktowne zachowanie się delegatów polskich (zwłaszcza Łempicki zdołał ująć i nawet chwilami entuzjazm budzić). W szczególności Litwini i Białorusini stanęli na stanowisku całości wolnej Litwy (historycznej), uważając ich wzajemne ustosunkowanie się za rzecz wewnętrzną litewskiego państwa. Poza ogólnymi obradami i rezolucjami kongresu utworzyła się jako organizacja stała – Liga Narodów Uciśnionych w Rosji (kongres), który, prócz narodów, ujarzmionych przez Rosję, obejmował też inne ujarzmione narody (Irlandczycy, Belgowie, Katalończycy itd.). Oczywiście wielkich rzeczy pozytywnych z takiego „kongresu” być nie może, ale pewne znaczenie manifestacyjne to ma i w szczególności nowo powstała „Liga” może być jeszcze wyzyskana do antyrosyjskich wolnościowych celów jako środek

demonstracyjny. Zaznaczyć trzeba, że nawet jakiś delegat żydowski, syjonista, wystąpił bardzo pięknie i gorąco z akcesem do państwowości polskiej jako organizatorki sprawiedliwości ludów. Delegaci Polacy na kongres mieli duże trudności i ze strony własnych rodaków, zwłaszcza od licznych kolonii polskich polityków w Szwajcarii, którzy, usposobieni przeważnie bądź koalicyjnie, bądź nawet moskalofilsko, obawiali się, żeby wystąpienie Polaków nie nabrało pozoru germanofilskiego czy też narzędzia niemieckiej intrygi. Starali się odwieść naszych delegatów od udziału, straszyli ich kompromitacją i skandalem, że inicjatywa „kongresu" wyszła od niepewnych elementów, wśród których jest znany wróg Polaków Litwin Gabrys i różne figury wątpliwe, że będą się tam agenci rosyjscy kręcili, że może wybuchnąć jakiś antypolski hecowy kawał, że wreszcie kompromituje się sprawę polską w zestawianiu jej z kwestiami jakichś Buriatów, Kirgizów itp. Aby odwieść naszych delegatów od udziału, polityczne kolonie polskie w Szwajcarii, nie wyłączając nawet moskalofilskiego Piltza, ułożyły deklarację polską niepodległościową do złożenia na piśmie kongresowi zamiast osobistego udziału. Nawet NKN, po porozumieniu się z nim zapewne kół polsko-szwajcarskich, zajął stanowisko niebrania udziału w kongresie i zabronił udziału swojej ekspozyturze. Jednak nasi warszawscy delegaci nie dali się odwieść i nie żałują, bo zdołali moralny efekt sprawy polskiej podnieść. Łempicki, choć jest z LPP, bliskiej NKN-owi, nie poszedł tu za NKN-em.

26 lipca, rok 1916, środa
Dziś odbyła się wielka dyskusja litewska na plenarnym posiedzeniu CKN-u, wywołana projektem rezolucji. Nim opiszę tę dyskusję, powiem nieco o samym moim projekcie rezolucji. Chodziło oczywiście o przedstawienie konkretnego projektu, aby dyskusja od razu miała swoją kość pacierzową, swoją oś realną. W budowie tego projektu rezolucji postąpiłem jeszcze krok dalej w kierunku kompromisu, aby ułatwić i zrobić bardziej konkretną, bliższą życia i ponętniejszą ideę łączenia sprawy litewskiej z polską w obecnym budownictwie państwowym. W tym celu odstąpiłem od mego zasadniczego dotąd stanowiska federacyjnego, stanowiska Rzeczypospolitej, jako czegoś *à la* nowa Austria, jako związkowego bloku wolnych państwowych ludów Polski, Litwy historycznej i Łotwy, stanowiska, które by najbardziej odpowiadało mojej koncepcji dziejowej i które jednocześnie, gdyby mogło być zrealizowane, spełniłoby to, ku czemu rozwój z pewnością się kierować będzie. Z jednej strony, odpowiadałoby to całkowicie niepodległości państwowej każdego z krajów i ludów tego bloku ziem, ku czemu ludowe formacje narodowe Litwinów, Łotyszów i Białorusinów będą zawsze dążyły, aż dopóki się to nie spełni, z drugiej – usuwając znakomitą część tarć wewnętrznych, dałoby zespół sił, potrzebny dla wspólnej obrony od wschodu. Rozumiejąc wszakże, że taki ideał jest dotąd jeszcze mało uświadomiony w opinii, zwłaszcza polskiej, przynajmniej w tym jego pierwszym wyrazie, dotyczącym równorzędnej niepodległości takich krajów, jak Litwa, Łotwa i Białoruś z Polską, i że zapału oraz gorących pragnień w tym kierunku, mogących zapłodnić jakieś czynne dążenie, to nie wywoła, a o wywołanie tego mi najbardziej chodzi, musiałem przyjąć węższą formę – państwa polskiego, rozciągniętego na Litwę, Białoruś i Łotwę. To będzie popularniejsze i łatwiejsze do uzasadnienia, a jednocześnie w pewnej mierze odpowiada bardziej, niż ideał federacyjny, temu, co już dojrzało, bo nie ulega kwestii, że zagadnienie państwowości polskiej jest tak wewnątrz, jak na zewnątrz wobec świata czymś o wiele wyraźniejszym, aktualniejszym i dojrzalszym od zagadnień państwowości litewskiej, łotewskiej i zwłaszcza białoruskiej, a więc i od zagadnienia państwa blokowego, owej Rzeczypospolitej, budowanej na wolnym związku tych poszczególnych państwowości. Wychodząc więc z założeń państwa polskiego, uzasadniłem potrzebę jego rozszerzenia

w kierunku północno-wschodnich ziem b. Rzeczypospolitej, to znaczy Litwy, Łotwy i Białej Rusi (w tych ramach, w jakich faktycznie ziemie te są i będą wyjarzmione od Rosji), zarówno względami na potrzebę siły i spoistości dla pełnienia przez to państwo funkcji straży Europy na wschodzie, co wiąże ten program ściśle z interesem mocarstw centralnych i polityczną koncepcję Europy Środkowej, jak względami na wolność samej Polski oraz ludów Litwy, z których pierwsza tylko przez oderwanie Litwy od Rosji i przez ich istotną wolność zostanie zabezpieczona od ekspansji rosyjskiej i znajdzie w nich współpracowników obrony od wschodu, drugie zaś znajdą wyjście z jarzma rosyjskiego, grożącego im bezpośrednią zagładą, oraz, czego w moim projekcie rezolucji wprost nie wyraziłem, aby uniknąć ostrza antyniemieckiego, ratunek od niebezpiecznej dla nich aneksji niemieckiej. Ten wzgląd ostatni – na interes ludów Litwy, Łotwy i Białej Rusi – jest dla mnie w istocie najżywotniejszy, który mi nie tylko pozwala, ale nawet nakazuje w danej chwili dziejowej, gdy się ważą losy naszej przyszłości, odstąpić nawet od tego kardynalnego dla mnie dogmatu, jakim jest słuszność postulatu niepodległościowego każdego z tych ludów. Gdyby chodziło o samo tylko stawianie ideału, bez liczenia się z warunkami miejsca i czasu, to bym ani chwili się nie wahał co do postulatu zupełnej niepodległości, z którego dopiero bym do federacyjnych dochodził kombinacji. Ale na spełnienie tego nie dostrzegam dziś szans. Natomiast zupełnie realnie, jak amen w pacierzu, wyrasta wobec Litwy alternatywa: powrót do Rosji albo aneksja do Niemiec. I jedno, i drugie ma w sobie głębokie niebezpieczeństwo. Jedynym wyjściem konkretnym jest budująca się państwowość polska. Szukane są więc w niej możliwości, które by zaasekurowały Litwę od tamtych dwóch najgroźniejszych wyjść. Stawiając więc zasadę państwa polskiego, rozszerzonego na wyjarzmione od Rosji ziemie Litwy, i szukając w tym dla Litwy ratunku, nie zadowalam się naturalnie taką uproszczoną tezą, jeno wewnątrz niej szukam takich form, które by możliwie były najdogodniejsze dla ludów Litwy i odpowiadały w jak największej, w ramach możliwych obustronnie do przyjęcia, mierze, tym procesom dziejowym, w których się iści formacja i wolność tych ludów naszych. Powołując się na świadomość procesów wewnętrznych (narodowych, kulturalnych, społecznych i politycznych) na tych ziemiach, wytwarzanych przez postęp demokracji, stawiam tezę, że państwo polskie powinno być budowane w kierunku północno-wschodnim na zasadach związkowych, wobec czego konkretne formy stosunku muszą być wyrazem porozumienia wzajemnego. Aby jednak dać do tego porozumienia i do wezwania ludów Litwy do stwierdzenia swojej woli oraz wniosków układu – konkretny impuls, uważałem, że ze strony polskiej powinny być zapoczątkowane pewne konkretne propozycje tej budowy. Te konkretne propozycje zawierają się u mnie w punkcie IV mojego projektu rezolucji. Są one tylko zarysowane w konturach, których wypełnienie treścią ma być już dziełem układu i które zresztą nawet same mogą być przez stronę litewską zakwestionowane i zastąpione innymi wnioskami. Otóż tu był punkt najodpowiedzialniejszy do sformułowania. Można było postawić prostą zasadę całości niepodzielnej Litwy historycznej (w ramach naturalnie faktycznego wyjarzmienia). Pozornie było to najprostsze i najsprawiedliwsze, a zarazem najbardziej odpowiadające tym hasłom, które są głoszone dziś przez Litwinów i Białorusinów. W istocie jednak tak nie jest. Z jednej strony, takie postawienie rzeczy jest niebezpieczne ze względu na Polaków. Wprawdzie CKN, złożony z demokratycznych elementów, byłby może, jak się to dziś z dyskusji przekonałem, przyjął w większości taką zasadę całości Wielkiego Księstwa Litewskiego, związanego bodaj nawet tylko unią z Polską, jednak chodzi mi nie tylko o to, co CKN przez pewne ustępstwo dla demokratycznego frazesu by przyjął, ale o to, aby postulat przyjęty przez CKN był istotnie żywotny i odpowiadający pewnym popularnym tendencjom polskim względem Litwy.

27 lipca, rok 1916, czwartek
W dalszym ciągu rozwijam i uzasadniam tezy mego projektu rezolucji litewskiej dla CKN-u. Wspomniałem, że w punkcie czwartym rezolucji streściłem wnioski konkretnej formacji ziem litewskich wewnątrz państwa polskiego, wnioski, mające dopiero, po ewentualnym uchwaleniu ich przez CKN, służyć za propozycje do układu z Litwą. Wspomniałem też wczoraj, że stanowiska całości W. K. Litewskiego jako jednostki, wiążącej się z Polską, do projektu mego nie przyjąłem, a zdecydowałem się na to tak ze względu na spopularyzowanie sprawy w opinii polskiej, jak też licząc się z pewnymi realnymi procesami wewnętrznej ewolucji na Litwie, która stopniowo podważa i rozłamuje starą koncepcję państwową Litwy historycznej. W Polsce w rzeczach, dotyczących Litwy, panuje na ogół wielka ignorancja. Więcej się tu ludzie powodują uprzedzeniami albo pragnieniami czy też sentymentami, niż znajomością rzeczy. Jedni, słysząc, że na Litwie powstali jacyś „litwinomani", których rzekomą cechą jest nienawiść do polskości i „separatyzm", to znów że jeszcze oprócz nich są jacyś takiegoż kalibru Białorusini, że skądinąd Litwa jest w dużym stopniu „zrusyfikowana", a o polskości jej nie ma co marzyć, nie chcą ani słyszeć o tej Litwie, bojąc się w niej powtórzenia stosunków, podobnych do polsko-ruskich w Galicji, i „rezygnują" z niej całkiem, ograniczając swoje aspiracje do Polski li tylko etnograficznej. Drudzy, uważając całe te „litwinomaństwo", białoruszczyznę itd. za jakąś złośliwą intrygę wrogów Polski, względnie moskiewską, za jakieś nieporozumienie, apelują do historycznych „praw" polskich do Litwy i chcą ją pochłonąć czy tam rewindykować jako naturalną i prawowitą prowincję polską, godząc się ewentualnie lub nie godząc na frazes unii, ale tylko frazes jako pewne ustępstwo szacownej przeszłości, z którym się właściwie żadna treść konkretna o istotnej samorządności krajowych nie-polskich ludów Litwy nie łączy. Wreszcie jeszcze inni – i ci są coraz liczniejsi, zwłaszcza wśród najbardziej upolitycznionych kół opinii polskiej – uważają, że Litwa etnograficzna jest dla Polski „stracona" i że nią się zajmować nie warto, oddając ją jej własnemu losowi, względnie pożarciu Niemiec, które tego oczywiście pragną i z którymi się o nią spierać nie warto, bo wcielenie jej do Polski jeno by Polskę osłabiło przez zaszczepienie elementu obcego i wrogiego, co to ani się strawić nie da, ani ugłaskać, a wiecznie ferment nacjonalistycznych zatargów budzić będzie; otóż ci, rezygnując z Litwy etnograficznej, tak, jak rezygnują z Ukrainy-Rusi, przeciwstawiają ją jej Białoruś Zachodnią z Wilnem, którą zbyt pochopnie za katolicką uważają i wpływom polskim całkowicie oddaną, bagatelizując całkowicie Białorusinów, których ruch narodowy jest istotnie słaby, bo się w Rosji dla wielu przyczyn rozwinąć nie mógł, i uważają tę Białoruś Zachodnią za naturalny teren ekspansji narodowej i państwowej dla Polski, za obiekt polonizacji i kolonizacji. Takie są trzy bieżące opinie polskie w stosunku do Litwy, z których ostatnia jest najwyrazistsza i najdojrzalsza, ale żadna właściwie nie przedstawia dla ludów Litwy jakichś słusznych należnych im względów i nie ma nic wspólnego z moją ideą współpracownictwa państwowego Polski i Litwy na zasadzie solidarnej wolności. Powiedzieć: „unia Litwy z Koroną" – to byłoby w projekcie rezolucji programowej to samo, co nic nie powiedzieć: byłby to ogólnik, który zrażałby tych, co chcą ekspansji Polski na Białoruś i wolą mieć konkretnego wróbla białoruskiego w garści, tracąc Litwę etnograficzną, niż bażanta w lesie, jakim by była dla Polski „całość" Litwy, ale całość samodzielna, unią od jej władzy odgrodzona, wpływom i wrogim wichrzeniom Litwinów i jeszcze może świeżo upieczonych Białorusinów oddana; z drugiej strony ogólnik ten byłby przyjęty może za wyraz drugiej z przytoczonych wyżej opinii, najbardziej bezbarwnej, która pod frazesem unii nic konkretnego nie rozumie i myśli tylko o jakiejś dwoistej Polsce, bynajmniej zaś nie

o Polsce i żywej indywidualnej Litwie. Wobec tego chodziło mi w stosunku do opinii polskiej, aby, z jednej strony, zbliżyć się do tej trzeciej, najpopularniejszej w kołach politycznych i najdojrzalszej opinii, formami w każdym razie do niej się dostosować, z drugiej zaś – wypełnić formy treścią, odpowiadającą dokonywającym się w łonie Litwy procesom i formacjom. Budowałem wnioski te kompromisowo, prawda, ale nie dowolnie. „Całość" Litwy rozbiłem istotnie: na Litwę etnograficzną z Łotwą i na Białoruś Zachodnią (zawsze traktując rzecz w ramach faktycznego wyjarzmienia od Rosji). Uważam, że podział taki ma swoje uzasadnienie w demokratycznym procesie nowych dokonywających się formacji ludowych. Formacje te dokonywają się w ramach etnograficznych terytoriów i w rozwoju swoim dążą do państwowych formacji narodowych. Litwini, którzy byli najbardziej zaawansowani w rozwoju narodowym, od dawna dążyli do państwowej, właściwie w państwowości rosyjskiej autonomicznej – Litwy etnograficznej, przeciwstawiając się Litwie historycznej jako całości niepodzielnej, bronionej przez słabych Białorusinów, Polaków litewskich i Żydów litewskich, o ile zresztą ci ostatni w ogóle szli na jakieś „krajowe" separatyzmy w Rosji. Na tym gruncie Litwy „etnograficznej" czy „historycznej" toczył się od lat kilkunastu ciągły spór w zagadnieniu autonomii między Litwinami z jednej a Białorusinami z drugiej strony. Dla Litwinów Litwa etnograficzna (do której zresztą włączają oni stolicę, Wilno, i tzw. „przyległości" ze skrawków katolicko-białoruskich) była uwieńczeniem logicznym ich narodowej dokonanej formacji. Białorusini obstawali za „historyczną" tylko dlatego, że czuli się za słabi do wywalczenia samym od Rosji własnej etnograficznej Białej Rusi i chcieli przemycić swój separatyzm czynnikami historyczno-dzielnicowymi, wygrywając też indywidualizm Litwinów i ich instynkt państwowotwórczy. Gdyby nie te względy i gdyby jeszcze nie korzystny liczebnie stosunek ich do Litwinów, jestem pewien, że staliby na gruncie autonomii czy państwa narodowego, białoruskiego. O ile się odrodzenie białoruskie dokona i o ile się ich formacja narodowa z etnograficznego materiału spełni, o tyle ich zmysł państwowotwórczy wyleje się w narodowo-terytorialne białoruskie ramy; zwłaszcza o ile zostaną oni od Rosji oderwani. Polacy byli konsekwentnymi rzecznikami całości historycznej w Litwie. Ale nawet wśród Polaków już przed paru laty ujawniać się zaczęły prądy na Litwie do jej podziału na trzy terytoria; idea ta zrodziła się u demokratów polskich na Litwie, którzy szukali dla polskości podłoża ludowego i spodziewali się je pozyskać w pasie mieszanym katolickim między Litwą etnograficzną a Białą Rusią. Wierząc, że tam wpływy polskie zdołają się utrwalić i pozyskać polonizacją ludu, zaczęli oni zbliżać się do koncepcji trializmu W. K. Litewskiego na Litwę etnograficzną, „polską" Białoruś katolicką z Wilnem i Białoruś właściwą, łącząc Białoruś katolicką raczej z Litwą etnograficzną w myśl owej litewskiej koncepcji „przyległości", niż z Białą Rusią właściwą prawosławną, od której odseparowanie się ułatwiłoby w katolickiej Białej Rusi polonizację. Ta nowa podziałowa koncepcja Polaków litewskich naradzała się w obozie demokratycznym polskim w przeciwstawieniu do krajowego stanowiska konserwatywno-szlacheckiego polskiego, nie szukającego podłoża ludowego dla polskości i hołdującego całości Litwy historycznej.

28 lipca, rok 1916, piątek
Pisałem w dzienniku w marcu o młodej Warszawiance, pannie Goertz, która pod nazwiskiem Zuchowicza zdołała się dostać do Legionów i usiłowała następnie pokonać trudności, aby się dostać bezpośrednio na linię do okopów dla czynnej walki. Miałem później od niej jeden list z Kowla, że jest z tego zadowolona, bo wciąż myśli o dostaniu się do piechoty liniowej. Ponieważ w marcu w Piotrkowie dała mi ona adres swego

brata w Warszawie, prosząc, abym przy okazji udzielił mu informacji o niej, poszedłem dziś do niego, a nie zastawszy go, zostawiłem mu kartkę. Przyszedł on do mnie po obiedzie i powiedział, że właśnie wczoraj odwieziono ją z Legionów do Warszawy, ponieważ ujawniono wreszcie, że to jest kobieta. Tak się skończyła jej epopeja rycerska, w której jednak nie udało się jej być bezpośrednio w walce czynnej. Dziewczyna jednak nie daje za wygraną, ani myśli się rozmundurować i przebrać w suknie niewieście i chce znów wrócić na linię, aby się dostać do piechoty do okopów. Żeby się to jej teraz udało – wątpię. Rodzina jej usposobiona jest do tych zamiarów awanturniczej nerwowej dziewczyny wrogo; brat chce użyć gwałtu i po prostu odebrać jej mundur. Zaiste niechby już dała temu pokój. Już była w Legionach, była właściwie na linii, a że nie w walce bezpośredniej, jeno w warsztatach i potem w sanitariacie – to już rzecz mniejsza. Przypuszczam, że brat jej nie powie o mnie i adresu mego nie da, bo by z pewnością przybiegła do mnie i kto wie, czy bym się nie dał jej zapałowi ująć i usiłować jej w wykonaniu zamiarów dopomóc.
Korzystam z miejsca, aby dalej rozwinąć i umotywować mój projekt rezolucji litewskiej, wniesiony do CKN-u. Dużo mu miejsca w dzienniku poświęcam, ale bo też sprawa litewska należy do głównych i najistotniejszych zadań mojej akcji. Mam ją sobie nie za jakieś rzemiosło tylko albo za przygodne zajęcie, ale za rzecz ideału i powołania oraz honoru mego, za konkretną i czynną odpowiedzialną konsekwencję moich najgłębszych elementów wiary i działalności, mojej istoty samej. Chcę też być w tej sprawie mocny i zgodny ze sobą. Chcę odpowiedzialność moją ustalić.
Powiadam więc, że przesądzenie podziału dawnego W. K. Litewskiego na formacje narodowe jest w istocie zgodne z tendencjami procesów ludowych, które się w Litwie dokonywają, aczkolwiek zakończone nie zostały. W danym moim projekcie przyjąłem podział taki: Litwa etnograficzna z Łotwą – jedno, i Białoruś Zachodnia – drugie. Oczywiście Łotwa jest tu pojęta cząstkowo, bo tylko Kurlandia jest wyjarzmiona, o Białej Rusi zaś głębszej, wschodniej i środkowej, nie ma wcale mowy, bo wyjarzmiona nie jest, a ponieważ w podstawie całej sprawy stawiam wyrwanie tych ziem z państwowości rosyjskiej, więc tych ziem, których los je w państwowości rosyjskiej zostawił, nie uwzględniam wcale; wykluczam też z góry uzależnianie losu wyjarzmionych ziem od tego, co się z niewyjarzmionymi stanie. Uważam, że wyjarzmione muszą się stać Piemontem dla niewyjarzmionych. Pozornie może być sprzeczność między moim podziałowym stanowiskiem względem W. K. Litewskiego a postulatami, które dziś Litwini i Białorusini, a nawet Polacy litewscy stawiają i które właśnie świeżo przez delegatów litewskich i białoruskich na zjeździe w Lozannie oświadczone zostały: powiedziano tam o niepodzielnej całości historycznego terenu Litwy. Ale trzeba odróżniać istotną tendencję rozwoju od pewnych wskazań taktycznych, nakazujących w pewnych momentach wobec pewnych okoliczności takie a nie inne budowanie postulatu. O ile Litwinom grozi bądź aneksja niemiecka, bądź powstaje jakaś nieokreślona jeszcze ewentualność wcielenia do państwowości polskiej, o tyle dla większego skupienia odporności chcą oni w tych wcieleniach być w jak największej kupie obconarodowej, to znaczy nie-niemieckiej i nie-polskiej, i dlatego wiążą się taktycznie z Białorusinami. Że jednak tendencją ich rozwoju narodowego jest państwowa formacja etnograficznego terytorium – na to są liczne dowody w ich ruchu i o tym już wczoraj pisałem. Gdyby mieli zapewnioną formację państwową samorządną wewnątrz tej lub innej większej państwowości, woleliby samorząd i władzę swoją spełniać w narodowo-terytorialnych granicach. Stawiając im autonomii zasadę, można od razu etnograficzną Litwę skreślać. Ażeby zaś tę jednostkę autonomiczną silniejszą i większą zrobić, łączę ją z Łotwą. Idea związku z pokrewną etnicznie Łotwą, idea państwa „bałtyckiego” jest u Litwinów zawsze popularna, o wiele popularniejsza od

zespołu z nieokreśloną Białą Rusią, bierną i uwstecznioną w rozwoju, a jednocześnie grożącą Litwinom supremacją historyczną żywiołu polskiego. Litwa z Łotwą – to od razu wyzwala Litwinów od supremacji polskiej, a Łotyszów – od niemiecko-barońskiej. Przez związanie wyjarzmionej Kurlandii z Litwą etnograficzną czynnik ludowy znakomicie się umasawia i Łotysze zyskują oparcie przeciwko zachłanności Bałtów. Jest to ewentualnie w obecnych warunkach jedyna forma organizacyjna, która by mogła Łotyszów nie tylko pogodzić z oderwaniem Kurlandii od Rosji, ale im jeszcze to oderwanie za pożądane przedstawić. Wzajemny stosunek Litwy z Kurlandią – to by już była wewnętrzna sprawa autonomicznego kraju. Dla Polski zaś to wyodrębnienie autonomiczne etnograficznej Litwy usunęłoby obawy wichrzenia „litwomanów" w Polsce, a natomiast dałoby dla całości państwa znakomity atut siły w udostępnieniu morza przez Kurlandię. Sądzę więc, że to forma dodatnia dla obu stron. Istotną trudność dostrzegam tu tylko w kwestii rozgraniczenia tej etnograficznej Litwy na wschodzie, w szczególności kwestii owych „przyległości" litewskich i nade wszystko samego Wilna: posiadanie Wilna jest u Litwinów kategorycznym imperatywem, poza wszelką dyskusją i kompromisem, jak znowuż w opinii polskiej za najbardziej uprawnione i niezbędne z całej Litwy jest posiadanie Wilna przez Polskę. O Wilno mógłby się cały układ rozbić. Poza tą jedną najistotniejszą przeszkodą, zasada autonomicznej Litwy etnograficznej wydaje mi się najrealniejszą w budownictwie państwowym w obecnych tendencjach rozwojowych i warunkach zewnętrznych. Nie przeczę, że postawienie tej zasady ma w sobie cechy kompromisowe tak względem Polski, jak Litwy i Białej Rusi. W istocie bowiem zasada W. K. Litewskiego, mająca za sobą tradycję dziejową i żywe jeszcze czynniki w stosunkach, mogłaby być pogodzona z pewnymi nowymi normami prawnymi co do narodowych pozaterytorialnych autonomii, ale to jest rzecz bardzo skomplikowana, nie mająca precedensów praktycznych nawet gdzie indziej, a tym bardziej w kraju, wymagająca wytężonej pracy, uświadomienia obywatelskiego i prób, które mogą w kraju, świeżo wyrwanym z niewoli, wydać nieobliczalny chaos konfliktów, zwłaszcza że masa białoruska jest jeszcze nieunarodowiona, tak ciemna i przez to podatna do różnych spekulacji żywiołów, które bynajmniej nie jej interes mieć będą na względzie. Wolę więc przesądzanie prostszych form.

29 lipca, rok 1916, sobota
Nic wielkiego specjalnie z dnia dzisiejszego do zakomunikowania nie mam. Tym skwapliwiej przeto przechodzę do dalszego ciągu rozważań mojego projektu rezolucji litewskiej. Projekt mój, przyznaję – kompromisowy – budowałem tak, aby z jednej strony dogadzał pewnym popularnym tendencjom polskim, z drugiej odpowiadał istotnym potrzebom Litwinów, robiąc ich gospodarzami własnego rozwoju i mógł pociągnąć Łotyszów, wreszcie aby zawierał też w sobie uzasadnienie interesu mocarstw centralnych – Europy Środkowej – w takim rozszerzeniu państwa polskiego na północny wschód. Najtrudniej jednak z tego wszystkiego rzecz się przedstawia ze stanowiska narodowego białoruskiego. Mnie osobiście o białoruskie narodowe potrzeby chodzi bardzo, nie mniej, niż o litewskie, bo wiem, że choć ruch białoruski dziś jest słaby, w nim wszakże będzie i najlepiej się da iścić społeczny rozwój ludowy w Białej Rusi. Gdyby cała albo przynajmniej wielki szmat Białej Rusi był wyjarzmiony, to mniejsza o to, co się z nim stanie i w jakim kształcie się go tam lub indziej wcieli. Nawet forma czystej aneksji bądź do Polski, bądź do Niemiec nie byłaby dlań straszna: sama liczebna siła masy białoruskiej byłaby aż nadto wystarczającą ostoją narodowego odrodzenia, które tylko od strony rosyjskiej, najbardziej plemiennie pokrewnej, zagrożone być może procesem wynarodowienia. Ale tu chodzi tylko o drobną cząstkę Białej Rusi, która, jeżeli nie zostanie przez Rosję odzyskana, będzie musiała odegrać

dla całości Białorusinów rolę ich narodowego Piemontu. Ale właśnie ta cząstka, której tak odpowiedzialna rola wypaść może, jest właśnie najbardziej wpływom polskim uległa i polonizacją zagrożona. Gdyby więc o nią samą chodziło, to ze stanowiska zadań Piemontu białoruskiego należałoby życzyć może raczej, aby ta Białoruś Zachodnia należała do Niemiec, choćby w aneksyjnej formie, niż do Polski. Mniej szans mają Niemcy do zgermanizowania chłopa białoruskiego, niż Polacy do spolonizowania go. Przeciwnie – Niemcy mogą mieć raczej powody do faworyzowania tam białoruszczyzny, podczas gdy Polacy, zarówno miejscowi, jak z centrum Polski, wysilać się będą do ekspansji własnej na tym terenie. I bardzo być może, że Białorusini w osobach swojej garstki rzeczników narodowego ruchu, wolą dziś istotnie perspektywę aneksji niemieckiej od wcielenia czy nawet połączenia z Polską. Ale aneksja niemiecka Białej Rusi Zachodniej jest możliwa nie inaczej, jak przez aneksję Litwy etnograficznej i Kurlandii, a dla tych dwóch krajów z ich ludami aneksja niemiecka byłaby groźną, groźniejszą bodaj, niż niebezpieczeństwo polonizacji dla Białej Rusi, kto wie nawet – czy nie zwiastującą zagładę, zwłaszcza Łotyszów. Chcąc Litwę etnograficzną i Kurlandię od aneksji niemieckiej ratować przez związek ich z Polską, nie można tego inaczej programowo stawiać, jak łącząc z tąż Polską Białoruś Zachodnią, tym bardziej, że właściwie ona to jest właśnie dla Polski najbardziej, jeżeli nie jedynie, z ziem Litwy pożądana. Skądinąd i los Polaków litewskich, którzy właśnie na Białej Rusi Zachodniej mają swój ośrodek w kraju i mają tu pewne ludowe zabarwienie, nie może być przecie zupełnie zignorowany, a niewątpliwie, że ich los i rozwój będzie lepszy w warunkach związku z Polską, niż w aneksji niemieckiej, w której byliby eksterminowani. W tych warunkach przyłączenie Białej Rusi Zachodniej do Polski akceptuję programowo. Ale co gorzej – akceptując to, prawie niepodobna wystawić tu zasady już nie tylko federacyjnej, ale nawet takiej autonomicznej, jak względem Litwy i Łotwy. Niepodobna, bo posiadanie tej Białej Rusi Zachodniej z Wilnem przez Polskę jest tą główną wędką, na którą można w Polsce obudzić zainteresowanie do związku w ogóle z Litwą. Trzeba więc tu przedstawić Polsce coś takiego, co by ją nęciło, co by jej perspektywy pewnego promieniowania, przynajmniej w jej pojęciu i w państwowym zatarcie – otwierało. Odstępując więc tu nawet od zasady autonomii, stawiam jednak zasadę samorządnej prowincji państwa polskiego, pojmując samorząd gospodarczy i kulturalno-społeczny bez ścisłych prawno-państwowych pierwiastków. Jest to wielki z mojej strony krok w kierunku ustępstwa i kompromisu, ale nie należy zapominać, że chodzi mi tu na razie o obudzenie pewnego zainteresowania i bodźca programowego u samych Polaków w stosunku do Litwy i w tym celu trzeba podsuwać Polakom kombinacje dla ich pragnień popularne, a rzeczą będzie następnie czynników obywatelskich w Litwie, a więc i tychże Białorusinów, aby swymi żądaniami ramy tych postulatów na swoją korzyść rozszerzyć. Zresztą dla Białorusinów, wobec ich słabości uspołecznienia i unarodowienia ludu, każda forma samorządna w organizacji krajowej, nawet bez prawno-państwowych pierwiastków, będzie po ich oderwaniu od Rosji już grubym atutem i krokiem naprzód w kierunku ich możliwości rozwojowych, a w polonizację ich nie wierzę (choć powstanie polonizacyjnych usiłowań uważam za prawdopodobne). Bądź co bądź, w każdym samorządzie zyskaliby oni szkołę i podstawę do zbiorowego działania, co jest elementarnym warunkiem rozwoju, a mieliby też w nim tę przynajmniej gwarancję, że ewentualne wysiłki polonizacyjne szłyby tylko z wewnątrz, nie zaś narzucane byłyby z zewnątrz centralistyczną siłą państwową. Nie zapominajmy też o tym, że projekt mój budowałem jako wyraz propozycji z Polski idących, a więc z konieczności zabarwionych polskimi tendencjami. Z mojego stanowiska poszedłem na najdalsze ustępstwa, aby rzecz przedstawiała się popularnie Polakom, a jednocześnie, o ile

można, przestrzegała pewnych elementarnych gwarancji sprawy ludowej na Litwie. Z mojego stanowiska są to ustępstwa, ale ze stanowiska nacjonalizmu polskiego są to też ustępstwa w odwrotnym kierunku – na rzecz praw i swobód ludów litewskich. Jest to, o ile przyjęte będzie, jednostronne tymczasem postawienie rzeczy – polskiej, a w ustęp któremu powinno być przeciwstawione postawienie rzeczy przez elementy litewskie (biorę tu „litewskie" nie w ściśle narodowym znaczeniu), aby w następstwie w jakimś kompromisowym środku ustalił się właściwy program wspólny.
Może się ta cała akcja moja spotkać z zarzutem, że to wszystko jest nierealne, że to jest tylko budowanie zamków na lodzie, szermierka słów programowych, które nie mogą być poparte czynami. Na co się to wszystko przyda i czy warto tracić tyle energii na ustalanie czegoś, gdy się nie posiada żadnej egzekutywy, żadnych środków i sił do wykonania tego. Nie przeczę, że rzecz jest bardzo daleka od pewności spełnienia. Ale niemniej zarzuty takie są tylko wyrazem bezwładu, a mądrość bezwładu jest najgłupszą mądrością w polityce. Trzeba kształcić w sobie wolę i mieć ją zawsze wytężoną do przejścia w stan czynny. Trzeba tę wolę wypełnić treścią konkretną i ścisłą, treścią, która by odpowiadała życiu i która by zarazem mogła znaleźć podniety czy to w sentymencie, czy w pragnieniu. Nie wiemy, jakie siły i w jakim konkretnym stosunku względnym będą czynne w likwidowaniu obecnego przesilenia dziejowego. W pewnych więc momentach czasu i okolicznościach stosunków wola nasza lub ewentualnie z niej płynący czyn może zaważyć na szali. Gdyby się to zaś nawet spełnić nie miało, co się w woli buduje, to jednak samo postawienie postulatów i prawidłowe zbudowanie zagadnienia będzie precedensem na przyszłość. Wszystko, co się iści, w woli ma swój początek realizacji. Zdawałoby się, że skoro tak, to dość stanąć na najkategoryczniejszym, najdalej idącym z najprostszych w swojej prawdzie postulacie woli – niepodległości Litwy. Byłoby tak istotnie, gdyby nie świtały żadne możliwości i gdyby się budowało z tą z góry świadomością, że się buduje tylko dla dalekiej przyszłości. Ale pewna sfera możliwości nie jest jeszcze całkowicie wyczerpaną, toteż chcąc móc z niej skorzystać, trzeba się do niej w budownictwie postulatów przystosować. Tą możliwością dla Litwy, wyciągającą ją od państwowości rosyjskiej ratującą od niebezpieczeństw niemieckiej, może być tylko sprawa państwowa Polski. Toteż ją wykorzystać dla Litwy należy. A wykorzystanie może być oparte tylko na obustronnym interesie i kompromisie, dokonanym lojalnie.

30 lipca, rok 1916, niedziela
Więcej niż przykra i więcej niż smutna dla mnie wiadomość. Rano, gdym się dopiero ubierał, przyniesiono mi z poczty kartkę Maryni. Pisze, że dopiero co wraca z urzędu przepustkowego („Pass-Amt"), gdzie jej oświadczono, że prośba moja o pozwolenie na przyjazd do Wilna została odrzucona. Pisze to i płacze pisząc. Biedna Maryńka. Ale może jeszcze biedniejszy jestem pod tym względem ja. Bez osobistego bowiem wyjazdu do Wilna zwichnięta będzie cała moja akcja w sprawie litewskiej. A wszak ta akcja – to moje „wszystko". Na uwagę Maryńki w „Pass-Amcie" wileńskim, że ciągle Żydzi z Warszawy przyjeżdżają i że im więc przepustki są wydawane, a mnie nie, odpowiedziano jej, że Żydzi jeżdżą dla „Geschäftu", podczas gdy Polacy są elementem politycznie niepożądanym! Ale wszak nie tylko Żydzi jeżdżą: jeżdżą i Polacy, i Polacy przepustki dostają. Jakieś fatum mię z tą jazdą prześladuje. Musieli Niemcy dowiedzieć się o mnie w Wilnie, co z siebie politycznie przedstawiam. Łatwo im to przyszło, bo jestem tam wszak znany jak szara gęś. Ha, trudno: jest wielka wojna! I jednostki muszą cierpieć, i największe sprawy muszą ulegać kierowniczym wolom decydujących czynników. A nie my jesteśmy panami sytuacji, jeno faktyczni jej panowie – Niemcy. Mogliśmy i my być w większym stopnie współpanami, gdyby swego czasu Polska za

Piłsudskim była poszła. Z pewnością odmowa mojej sprawie musiała wyjść z kwatery Hindeburga, z politycznych jego kancelarii, nie zaś z Pass-Amtu wileńskiego. Nie otrzymałem jeszcze wprawdzie formalnej odmowy, ale nie wątpię, że to, co mi Marynia pisze, jest już faktem. Co ze sobą pocznę – jeszcze sam nie wiem. Czy wrócę na linię do Legionów, czy zostanę w Warszawie? Ale co będę w Warszawie robić, w imię czego i po co w polityce się babrać, gdy tylu jest do tego ludzi stosownych, ludzi, którzy w tych stosunkach są i w nich naturalnie działają, a gdy ja nie będę mógł robić tego, co w mojej jest sferze powołania – w litewskiej sprawie? I zresztą z czego tu będę żył? Z litewskich „zarobków”? Zgryzła mię ta wiadomość! Ale niepowodzenia zwykle lubią w parze, jeżeli nie w trójkach lub jeszcze liczniejszych zespołach chodzić. Do wielkiej klęski mojej przyszły jeszcze naglące kłopoty pieniężne. Wyczerpały mi się pieniądze. Pisałem do Maryńki, aby mi przysłała moje ostatnie 50 rubli, które jeszcze zostały u niej, ale tych się dopiero za dni kilka spodziewam. Zostawało mi jeszcze w kieszeni 10 rubli, ale trzebaż, że ten papierek 10-rublowy jest stary i że ma małą przetartą dziurkę w samym zgięciu w środku. I nie chcą mi go teraz nigdzie przyjąć, bo w ostatnich czasach rozeszła się w Warszawie, jak jakaś zaraza, mania nieprzyjmowania papierków z najmniejszą przetartą dziurką. Choć wszyscy zgodnie twierdzą, że to jest manewr spekulantów, którzy takie papierki skupują za bezcen, i choć wszyscy, od inteligenta do kelnera i przekupnia, oburzają się na to, jednak nikt nie przyjmuje. Jestem więc z ostatnimi 10 rublami jak bez grosza, a jeszcze mojej gospodyni 7 rubli komornego winienem. Spodziewałem się, że jutro będę mógł w redakcji „Widnokręgu” dostać z kilkanaście rubli honorarium za mój artykuł do numeru drugo, aż oto znów dowiaduję się, że numer nie wyszedł jeszcze i że właśnie mój artykuł to sprawił, bo cenzor waha się z udzieleniem nań aprobaty, o co się Rzymowski jeszcze targuje. Być może więc, że numer wyjdzie bez mego artykułu i że nic mi się stąd nie będzie należało. Słowem – zewsząd same biedy. Byłem jak struty przez dzień cały, a nade wszystkim dominowała ta wiadomość o niepuszczeniu mię do Wilna. Nie wiem czy inni to mają, ale u mnie w chwilach zarówno jakichś podnieceń, zwłaszcza alkoholem, jak jeszcze bardziej w chwilach wielkich rozterek wewnętrznych lub takiej wielkiej depresji, jak wywołana tą wieścią, budzi się gwałtowny popęd zmysłowy, jakaś po prostu kategoryczna potrzeba użycia – i to mianowicie potrzeba gwałtownych podrażnień płciowych, jakiegoś utopienia zgryzoty w dziewczynie z całą dziką namiętnością najpierwotniejszych i zarazem najwyszukańszych i najwyuzdańszych instynktów, w połączeniu z narkotyzacją alkoholem i w ogóle wszystko razem w formie najostrzejszej. To mi sprawia ulgę i daje jakieś ujście gwałtowne tej nierównowadze wewnętrznej. Wtedy po takim odurzeniu odchwytuję się i przytomnieję. Jestem w ogóle wrażliwy i bardzo skomplikowany nerwowo. Ale na to potrzebne pieniądze, a ich nie mam. Tymczasem zmysły tak się we mnie prężą, że chodzę jak obłąkany, a Warszawa i jej dziewczęta, których są pełne ulice, zdają się w mojej wyobraźni przeradzać w jakąś jedną pachnącą, zgrabną, prężną młodą samicę, w której się całe czucie rozkoszy streszcza. Jakaś mgła zmysłowego odurzenia mąci mi wszystko i wibruje w całej mojej istocie jak choroba – a może to właśnie lekarstwo!

Nim dnie następne przyniosą jakieś postanowienie i rozwiązanie sytuacji, wytworzonej przez zakaz mego wyjazdu do Wilna, przejdę tymczasem znowu do mego projektu rezolucji litewskiej. Rozwinąłem go i szczegółowo w dzienniku omówiłem z odpowiednią motywacją tez jego. Teraz dla pełni obrazu przytoczę autentyczny tekst jego. Projekt rezolucji składa się z czterech punktów:

„I. CKN, wychodząc z założenia, że państwo polskie, by móc się utrzymać i normalnie rozwijać oraz zapewnić narodowi polskiemu całkowitą wolność i pełnię kulturalnej, społecznej i gospodarczej samodzielnej twórczości, będąc zagrożone ze wschodu

ekspansją państwową Rosji, i w świadomości zadań dziejowych, które na nim ciążyć będą, a których spełnienie jest nie tylko obowiązkiem własnego bytu, ale też obowiązkiem kultury i solidarności europejskiej – zadań straży przedniej Zachodu wobec tejże Rosji, która przez Litwę i Ruś usiłuje dotrzeć do Polski i Słowiańszczyzny, a przez Polskę i Słowiańszczyznę, przez utrwalenie w nich swego panowania grozi już bezpośrednio hegemonią swą Europie Środkowej i Zachodniej, roztaczając cień despotyzmu na wolne ludy i państwa cywilizacji europejskiej – musi być silne i spoiste i nie może być zamknięte w szczupłych granicach etnograficznych, zwłaszcza o ile te granice miałyby być utrzymane w ramach jednego tylko zaboru, to znaczy obecnego Królestwa Polskiego – uważa za niezbędne rozszerzenie tegoż państwa w kierunku północno-wschodnich ziem b. Rzeczypospolitej, to znaczy ziem Litwy, Białej Rusi i Łotwy w zakresie, jaki się da wojną obecną faktycznie wyjarzmić od Rosji".
Trzy następne punkty wpiszę jutro.

31 lipca, rok 1916, poniedziałek
Co robić – dziś już byłem mniej przygnębiony odmową Niemców na mój wyjazd do Wilna. Oswajam się i godzę z sytuacją, bo zresztą na nic bunt woli. Trzeba radzić w ramach istniejących możliwości, a jedną z nich jest siła niemiecka dla bieżących faktów. Swoją drogą, nie wiem jeszcze, na co się zdecyduję. Siedzieć tutaj i grać rolę „ambasadora litewskiego" w polityce polskiej bez oparcia w kraju, bez kontaktu z nim nawet, nie mogąc akcji swej tam w Litwie uzasadnić i na czymś konkretnym założyć – to dość głupie i jałowe. Może być, że zdecyduję się na powrót do Brygady, jak tylko tu rezolucje litewskie w politycznych organizacjach polskich przeprowadzę i je, nie mogąc tego zrobić osobiście, własnym na piśmie memoriałem Polakom litewskim, Litwinom i Białorusinom przedstawię. To nie to samo, co żywe słowo, ale cóż, skoro inaczej nie można! Jeżeli jeszcze uda się taki memoriał do Wilna przeszwarcować. A może zaryzykuję inny krok, który mi doradzają: może drogami poufnymi postaram się aż pod Wilno dotrzeć; przez organizację ludowców można podobno dotrzeć do Białegostoku, a stamtąd już trzeba jakoś inaczej, rzemiennym dyszlem, przez okazyjne stosunki. Można co prawda tą drogą zajechać zamiast do Wilna – do obozu jeńców, jeżeli nie jeszcze gorzej, ale *„qui ne risque rien, - n'a rien"*. Zobaczymy. Nie decyduję jeszcze tego bez narady z kompetentnymi elementami.
A tym czasem przechodzę do podania dalszego ciągu tekstu mojego projektu rezolucji litewskiej w CKN-ie:
„II. CKN, świadomy tej prawdy dziejowej, że Litwa, Białoruś i Łotwa, zostawione w ręku Rosji, nie tylko nie zdołają w niej zrealizować wolności swych ludów, ale, po oderwaniu od niej Polski, będą narażone na jeszcze większe, niż dotąd, niebezpieczeństwo całkowitego pochłonięcia ich przez Rosję i przetworzenia na istotną, już nie z formy tylko, ale z treści, prowincje rosyjską, stwierdza, że takie podsunięcie się Rosji bezpośrednio do etnograficznych granic Polski spełniłoby w większym jeszcze, niż w dotychczasowych stosunkach prawno-państwowych, stopniu ideę wszechrosyjską o ekspansji Rosji na zachód, dając jej ostatecznie do rąk klucz do Polski i Europy Środkowej, od czego by jej nie uchroniła państwowość samej tylko etnograficznej Polski, jako państwa-buforu, i przeto stwierdza głęboką solidarność dziejową, zachodzącą między wolnością tych ziem północnego wschodu b. Rzeczypospolitej a sprawą państwową polską, dążącą do trwałego ich oderwania od Rosji i zespolenia z tworzącą się państwowością polską.
III. CKN, świadomy tych procesów wewnętrznych, które postęp demokracji dokonywa wśród ludów Litwy, Białej Rusi i Łotwy, budząc w nich nie tylko pragnienie, ale i potrzebę wolności narodowego rozwoju i samodzielności, oraz świadomy tego, że

istotnie tylko wolne, samorządne i twórcze ludy tych ziem będą w stanie w realnym z narodem polskim współpracownictwie państwowym przeciwstawić się ekspansji rosyjskiej na zachód i dążeniom Rosji do powrotnego ich odzyskania, tworząc solidarny i czynny mur obronny na wschodzie europejskim, pojmuje, że państwo polskie powinno być w kierunku północno-wschodnim, poza narodowymi granicami polskimi, budowane na zasadach związkowych, które mają być określone wzajemnym wewnętrznym układem Polaków z obywatelami tych ziem, i wzywa przeto wolnościowe i obywatelskie elementy tych ziem do wypowiedzenia się w celu stwierdzenia ich woli i wniosków, związku tego dotyczących.
IV. Ze swej strony CKN zgłasza do rozważenia wolnościowym i obywatelskim elementom tych północno-wschodnich ziem b. Rzeczypospolitej wniosek porozumienia co do takiej formacji wspólnego państwa polskiego, w której Litwa etnograficzna wraz z Łotwą posiadałyby budowę autonomiczną, podczas gdy Białoruś Zachodnia w zakresie wyjarzmionym od Rosji tworzyłaby samorządną prowincję polską z ustawowym zagwarantowaniem wewnątrz niej równouprawnienia i zupełnej wolności narodowej, aby jej ludy, pragnące bytu narodowego, znalazły w niej istotną szkołę samorządności i swobodę realizowania swego rozwoju we wspólnej Ojczyźnie wolnych ludzi i wolnych ludów."
Malutkie zastrzeżenie: Białoruś Zachodnią określiłem tu jako samorządną prowincję „polską" nie w narodowym, jeno państwowym znaczeniu; to znaczy – nie narodowa polska prowincja, jeno samorządna prowincja państwa polskiego.
A teraz chcę streścić losy tego projektu w CKN-ie. Omawiany był na środowym posiedzeniu CKN-u. Na wstępie odczytałem go i w dłuższym przemówieniu, podobnie zbudowanym do mego, streszczonego w dzienniku, przemówienia z przed paru tygodniami w klubie LPP, naszkicowałem problem sprawy Litwy, jak ja go na gruncie obecnej wojny pojmuje, nawiązując to, ale tylko poniekąd, do tez, wyłożonych w moim projekcie. Przemówienie moje nie było w ścisłym znaczeniu słowa komentarzem do zgłoszonego projektu rezolucji. To był moim błąd, który nieco skomplikował dyskusję, a który naprawiłem w zupełności w obszernym końcowym przemówieniu, ściśle już improwizowanym, w którym wypowiedziałem w głównych zarysach wszystko to, co przed paru dniami w uzasadnieniu mego projektu w dzienniku rozwinąłem. Dyskusja była dość chaotyczna, operująca przeważnie ogólnikami i tezami, nie wiążącymi się ściśle z konkretnymi stosunkami żywej Litwy, jak zawsze w takich wypadkach, gdy ludzie chcą o czymś mówić, nie znając dobrze rzeczy. Dyskusja wykazała, że ogół, nawet tak wybitnie polityczny, jak w CKN-ie, nie ma, jak się to mówi, „zielonego pojęcia" o Litwie. Zarówno oponenci moi, jak rzekomi rzecznicy, improwizowali ogólniki lub „smalone duby". I względnie jeszcze oponenci, choć się w sferze ogólników obracali, jak w szczególności Wacław Sieroszewki i Artur Śliwiński, mądrzej rzecz stawiali od takich „obrońców", jak Dunin lub Tadeusz Szpotański, którzy z czysto nacjonalistycznych założeń, bez żadnej znajomości ani analizy stosunków i potrzeb Litwy, zagarniali wszystko, co się z Litwy zagarnąć da. Oponenci przynajmniej tylko kwestionowali z pewnych założeń zarówno zasadniczych, jak, o ile im było wiadomo, rzeczowych, odwołując się do moich wyjaśnień jako znawcy Litwy. Najwięcej zrozumienia i znajomości rzeczy wykazali tylko Kunowski i naturalnie Czarkowski („Leon"). Bardzo też przyjaźnie i z gorącym uznaniem dla samej sprawy – odniósł się Lutomski.

1 sierpnia, rok 1916, wtorek
W dyskusji litewskiej, która się w ubiegłą środę toczyła w CKN-ie nad moim projektem rezolucji, ujawnił się przede wszystkim kapitalny brak znajomości stosunków

litewskich. Nie tylko brak znajomości, ale też brak czucia. Zaiste więcej zdaje się tu wiedzą o stosunkach węgierskich niż litewskich. Jedyni, którzy pod tym względem stanowili wyjątek i którzy zarówno wyczuwają wagę zagadnienia Litwy dla Polski, jak mniej więcej orientują się nieco w tej sprawie – to Czarkowski, stary PPS-owiec-frak z robociarzy, znany popularnie pod pseudonimem Leon, który dużo lat spędził w Wilnie, i Kunowski. Inni nie tylko nie orientują się i powodują się bądź frazesem wolnościowym, bądź prostym apetytem, ale i nie wyczuwają w gruncie wagi i aktualności zagadnienia. Uwaga CKN-u tak jest pochłonięta bieżącymi sprawami polityki warszawskiej, stosunkami międzypartyjnymi, kwestiami, związanymi z Radą Miejską, wreszcie wszystkim tym, co dotyczy samego jądra budownictwa państwowości polskiej, że na sprawę stosunku do Litwy, która dopiero perspektywicznie powstaje jako coś świtającego a trudnego do określenia, zapatrują się niemal jak na jakąś rzecz egzotyczną, więcej z honorem, niż z polityką związaną. Niby to uznają jej wagę teoretycznie, ale instynktem tego nie czują. W głębi zaś serca może nawet ją lekceważą i mnie za jakiegoś tylko szaleńca, za maniaka uważają. Niektórzy zaś, jak Seniorowski i Paschalski z grupy „radykałów narodowych", po prostu szczerze gniewają się, że CKN zaprząta się takimi sprawami „nieaktualnymi". Przyszli oni na początek zebrania, posłuchali trochę, głosu nie zabierali i wynieśli się, a wiem od Medarda Downarowicza, iż się po wyjściu gorszyli stawianiem tak „jałowych" tematów. Inni nie w tym stopniu, ale też lekceważą w gruncie sprawę. Zdaje się, że wśród przyczyn tego jest i ta, że Warszawa w życiu Polski tak przeważną gra rolę, iż siebie za całą Polskę uważa i to wydaje się jej zupełnie naturalnym. Sprawa warszawska i polityka warszawska – to sprawa i polityka polska. „Prowincja" jest wobec „samej" Warszawy czymś tak błahym, że nikt prawie z tutejszych wielkich „polityków" nie liczy się z nią wcale i nie bardzo rozumie, jak się można liczyć. A taki stosunek do „prowincji", do tego, co poza Warszawą, może grać rolę w sprawie polskiej, wywołuje pewien lekceważący protekcjonalizm i względem traktowania na serio jakichś tam spraw Litwy itp. „To, moi panowie, niepoważne" – zdają się mówić niektórzy z tych polityków. I jakże w tych warunkach, o ile bym do Litwy pojechać nie miał, grać tu „rolę" ambasadora Litwy, i rzecznika spraw litewskich „*in partibus infidelium*"?! Taki Sławek, który prawdziwie bierze do serca kwestię rozszerzenia sprawy państwowej polskiej na Litwę, choć to pod wielu względami inaczej ode mnie traktuje (bardziej nacjonalistycznie, choć w najlepszej wolnościowej wierze), nawołuje mię ciągle do większego aktywizmu w tej sprawie w prasie, ale cóż, kiedy temu i cenzura niemiecka prawie niepokonalne stawia przeszkody, i samo społeczeństwo polskie w osobach swych polityków i prasy dość obojętnie się do tego odnosi. Zdaje się, że jedyne realne jest – po przeprowadzeniu przez tutejsze organizacje polityczne pewnych rezolucji w sprawie stosunku do Litwy – tam na miejsce pojechać i tam rzecz podnieść, bądź w kierunku związku z Polską, bądź inaczej, stosownie do możliwości, które się ujawniać będą, ale zawsze z przygotowaniem na ewentualność stawiania związkowego programu. Zresztą Sławek, który tu reprezentuje poniekąd moją władzę wojskową z ramienia I Brygady, gorąco popiera myśl o moim przeszwarcowaniu się na Litwę, choćby wbrew zakazowi władz niemieckich. Ale wracam do dyskusji w CKN-ie nad moim projektem rezolucji. Z zastrzeżeniami wystąpili przede wszystkim Artur Śliwiński i Sieroszewski. Kwestionowali oni zwłaszcza odstąpienie moje od stanowiska unii Litwy z Polską, odstąpienie, które ja jednak właśnie dla kompromisu i większego realizmu oraz większego spopularyzowania sprawy w opinii polskiej – dopuściłem. Powoływali się oni na tradycję wolnościową unii i na obstawanie Litwinów i Białorusinów przy tym postulacie, co się właśnie świeżo na zjeździe w Lozannie zaznaczyło. Po moich wyjaśnieniach w myśl tego, com już przed kilku dniami w dzienniku pisał, nie upierali

się jednak przy swoim. Ciekawe jest, że ten sam Artur Śliwiński, który teraz przy publicznym omawianiu tej sprawy, gdy chodziło o manifestacyjny moment rezolucji CKN-u, wystawiał szeroką wolnościową tezę tradycyjnej unii, przed paru miesiącami w rozmowie prywatnej, którą miałem z nim i Medardem Downarowiczem, wypowiadał się z naciskiem w tym sensie, że z Litwy etnograficznej trzeba skwitować, bo Niemcy jej chcą dla siebie, i nie mamy możności temu przeszkodzić, a zresztą to jest kraj dla polskości zgoła stracony, jeżeli nie wrogi, a że natomiast wysiłek skierować należy do pozyskania (wcielenia) dla Polski Wilna z gub. grodzieńską i wileńską. Tymczasem teraz mówi się frazesem o „unii" Litwy z Polską. Najlepszy to przykład tego, jak inaczej ludzie mówią w pompatycznych dekoracyjnych wypowiedzeniach się, obliczonych na efekt, a inaczej myślą i chcą, i jak frazes wolnościowy i gest szeroki nie zawsze odpowiadają istotnej intencji. Wolę mniej gestu-frazesu, a rzetelniejszą, choćby węższą i mniej wolnościową, ale za to szczerą treść. Zresztą mam wrażenie, że Litwini i Białorusini byliby skłonni bardziej ufać szczerości wąskich i niedoskonałych postulatów, niż szerokich i strasznie wolnościowych ogólników, którym nie wierzą. Zabierali głos i tacy, jak redaktor Kempner, skądinąd jeden z lepszych głosów w CKN-ie, którzy kwestionowali w ogóle już nie samą tylko aktualność, ale i interes Polski w jakimś rozszerzaniu lub łączeniu jej z Litwą i skłaniali się ku otwartemu ograniczeniu polskich państwowotwórczych dążeń w ramach Polski etnograficznej. Zresztą po moim końcowym przemówieniu Kempner oświadczył, że się godzi ze mną. W opozycji do głosów, kwestionujących moje stanowisko, wystąpili Szpotański i Dunin, ujawniając wszakże bynajmniej nie chęć jakiegoś współpracownictwa państwowego Polaków z ludami Litwy, ale prosty apetyt, ideę panowania narodowego polskiego na Litwie, czystą koncepcję nacjonalistyczną, łataną jakimś dziwnym pojęciem o wolności, zawartej rzekomo w tym panowaniu, i traktującą moje autonomiczne i samorządne tezy w stosunku do Litwy z Łotwą i Białej Rusi nie jako coś istotnego, a tym mniej jako coś przejściowego do zupełnej państwowości tych krajów, o co mnie rzeczywiście chodzi, ale raczej tylko jako przynętę dla pozyskania tamecznych ludów bez głębszych zamiarów rozwijania tego. Z innych uczestników zebrania Gustaw Daniłowski i Bolesław Lutomski, choć się mało merytorycznie wypowiedzieli, jednak zdaje się najszczerzej memu stanowisku sympatyzowali. Czarkowski podnosił na razie potrzebę metody popularyzowania na Litwie idei jej niepodległości, którą uważa dopiero za punkt wyjścia do łączenia Litwy z Polską, będącego już formą jej budownictwa. Gdym mu jednak wykazał, że tu chodzi nie o uświadamianie na długie lata, ale o coś najbardziej w warunkach możliwości (choćby niepewnej) „*realisabl*e" na przełomową chwilę obecną, zgodził się ze mną. Zresztą Czarkowski, występujący jako rzecznik niepodległościowej idei Litwy, wychodzi w istocie z narodowych polskich założeń: liczy, że państwowotwórczym elementem na Litwie będą tylko Polacy i że przeto niepodległość Litwy będzie wyrażać polską twórczość i będzie drogą do wspólnej z Polską państwowości.

2 sierpnia, rok 1916, środa
Wspominałem przed kilku dniami o aresztowaniu i uwięzieniu Wacława Studnickiego w Wilnie. Dziś z listu Maryńki dowiaduję się o nowym tam aresztowaniu – Jana Vileišisa, jednego z najsympatyczniejszych demokratów litewskich, który od początku wojny był wyznawcą antyrosyjskiego frontu. Na pozór to paradoks, że Niemcy aresztują w Wilnie nie moskalofilów, ale tych właśnie, którzy są antyrosyjsko usposobieni, czyli sprzyjają w obecnej wojnie z natury rzeczy zwycięstwu oręża niemieckiego, a nawet byliby skłonni do pewnej politycznej z Niemcami ugody. W istocie jest to z niemieckiego stanowiska względem Litwy zrozumiałe dla tych samych

względów, dla jakich ewentualnie odmówią oni i mnie pozwolenia na wjazd do Wilna. Nie tylko zrozumiałe, ale i konsekwentne. Są to bowiem elementy, które pragną zwycięstwa niemieckiego nie w imię tylko niemieckiego interesu, ale opierają na tym zwycięstwie własne rachuby takiego czy innego budownictwa państwowego dla Litwy, które, słowem, chcą zużytkować je dla własnych krajowych celów wolności i gorąco mu sprzyjają właśnie dlatego, że możność takiego zużytkowania dostrzegają. I, moim zdaniem, wbrew nawet temu, czy Niemcy w tej chwili sobie to uświadamiają, czy nie i czy ich własna wola zbiega się z wolnościowymi tendencjami tych ziem, zachodzi wprost obiektywny związek solidarności między zwycięstwem Niemiec a tymi tendencjami, związek silniejszy od spekulacyjnej woli Niemców. Te elementy, które teraz Niemcy aresztują w Wilnie lub których do Wilna nie dopuszczają, jak taki Studnicki Wacław, Jan Vileišis, ja – są czynnikami politycznego aktywizmu na Litwie. O ile linia polityczna niemiecka w stosunku do Królestwa Polskiego coraz wyraźniej sprzyja kształceniu się i konsolidacji woli niepodległościowej i państwowotwórczych polskich dążeń, o tyle w stosunku do Litwy żadnej linii politycznej jednolitej, a przynajmniej przez czynniki odpowiedzialne przyjętej – nie ma. Litwa jest trzymana przez Niemcy w rezerwie jako zdobycz wojenna – i nic poza tym. Kiełkują tam w społeczeństwie niemieckim pewne w stosunku do niej apetyty, prądy, koncepcje, ale to są dotąd czynniki nieodpowiedzialne, które się nie zdołały wylać w linię jakichś konkretnych zapoczątkowań czy choćby gestów polityki realnej. Jedyne, co było konkretne, to stwierdzenie w mowie kanclerza, że Niemcy dobrowolnie ziem tych Rosji nie zwrócą. Co się jednak z nimi stanie – to nie wiadomo. Wprawdzie i w stosunku do Polski nic dotąd odpowiedzialnego i wiążącego nie ogłoszono, ale gesty są i jest widoczne witanie, a nawet poniekąd popieranie tego, co w Polsce ruch ku państwowości wzmacniać i pogłębiać może. Samo tylko powiedzenie, że „Niemcy dobrowolnie nie zwrócą" ziem zdobytych Rosji, wszak może być tylko manewrem taktycznym w polityce, atutem „*possessionis et voluntatis*", który sobie faktyczny zwycięzca do układów gotuje, a nie istotnym programu elementem. Litwa, jako obiekt tego atutu, może być trzymana jako rzecz rozporządzalna, przeznaczona, zależnie od wyników gry, bądź do zwrotu Rosji (ewentualnie we wschodniej połaci jej okupowanego terenu z Wilnem), bądź do aneksji na rzecz Niemiec (ewentualnie Litwa etnograficzna z Łotwą), bądź do jakichś innych formacji, wśród których w pewnych okolicznościach może wypłynąć i jakaś kombinacja łączenia jej (częściowego?) z państwem polskim. A ponieważ gra jest olbrzymia, całe stosunki kuli ziemskiej ogarniająca, więc w niej i sprawa polska jest drobiazgiem, a cóż dopiero Litwa! Żadnej linii politycznej względem Litwy Niemcy jeszcze nie mają, toteż jedyną ich metodą jest utrzymanie tam bezwładu społeczeństwa miejscowego. Wszelki aktywizm, zamierzający do przesądzenia jakiejś linii czy kierunku losów i tendencji Litwy, jest w rozwoju swym niepożądany dla nich, bo utrudnia swobodę operowania atutem. I ten brak linii polityki niemieckiej względem Litwy zbiega się z Hindenburga koncepcją polityczną, a Hindenburg jest faktycznym bezpośrednim władcą Litwy. Hindenburga zaś polityka jest aneksyjną, opartą na prostych formułach panowania niemieckiego na wschodzie; wszelkie aktywizmy społeczeństw miejscowych, wszelkie jakieś państwowe koncepcje tych ziem – nie znajdują u Hindenberga żadnego uznania. Panowanie niemieckie i władza germanizmu powinny sięgać tam, gdzie je siła oręża niemieckiego utrwalić zdoła – oto Hindenburga formuła w swojej najprostszej postaci. I to również do zasady bezwładu prowadzi. Toteż utrzymanie bezwładu jest żywym polityki okupacyjnej niemieckiej w Litwie elementem. Aktywizm społeczeństwa jest poniekąd dopuszczony w jednej tylko sferze – oświatowej. Poza tym, dopuszczone są wzajemne kłótnie narodowościowe. Tak się, zdaje się, stosunki polityczne na Litwie

przedstawiają; jeżeli jest pewne z tego zboczenie, to, zdaje się, że tylko ewentualnie względem ruchu białoruskiego, którego ostrze może względnie najboleśniej Rosję dotykać i drażnić, nie będąc dla Niemców niebezpieczne samo przez się.
Wracam do mego projektu rezolucji litewskiej w CKN-ie. Po dyskusji na posiedzeniu w zeszłą środę postanowiono, godząc się zasadniczo na postawienie sprawy, jak ja to w projekcie zrobiłem, polecić ostateczną redakcję komisji politycznej. Komisja polityczna CKN-u składa się z Artura Śliwińskiego i Medarda Downarowicza, którzy naturalnie w każdej poszczególnej sprawie mają kooptować tych, którzy są potrzebni. Otóż dziś zebraliśmy się dla redakcji projektu w komisji politycznej w składzie Medarda Downarowicza, Kunowskiego, Czarkowskiego i mnie. Przeredegawano mój projekt właściwie tylko stylistycznie. Dokonał tego Medard Downarowicz, bardzo dobrze rozbijając każdy punkt mego projektu, ułożony w postaci jednego skomplikowanego i przeto trudnego w czytaniu okresu, na szereg zdań krótkich a wyrażających zupełnie to samo i przeważnie w tych samych moich słowach, co u mnie. Punkt czwarty natomiast pozostał w budowie niezmieniony z następującą tylko poprawką co do samorządności Białej Rusi, że określono ten samorząd „w zakresie kulturalnym i gospodarczym" i że dla ominięcia nieporozumień i ewentualnych zarzutów Białorusinów zamiast „prowincję polską", co miało u mnie znaczyć „prowincję państwa polskiego", zostawiono tylko wyraz „prowincję" („samorządną w zakresie kulturalnym i gospodarczym prowincję"), co nie zmienia istoty rzeczy, a jest może istotnie lepsze. Projekt rezolucji w tej formie zostanie już zapewne bez dyskusji przyjęty przez plenum CKN.
Wczoraj odbyło się znowu posiedzenie CKN-u. Przyjęto na nim ułożony przez komisję organizacyjną projekt statutu CKN-u, który ma być przedstawiony do zatwierdzenia władz niemieckich, i polecono podać go do legalizacji. Sprawa legalizacji CKN-u była już od dawna omawiana i w zasadzie postanowiona. Domaga się tego stale prowincja i sam CKN rozwinie korzyści, płynące z możności jawnego działania tak pod względem intensywności, jak pod względem popularyzacji akcji. Wszakże dopiero powstanie Klubu państwowców polskich i dyskusja nad stosunkiem CKN-u do tego klubu, która miała miejsce w zeszłą środę, przesądziła ostatecznie sprawę legalizacji w kierunku jej wykonania. O stosunku CKN-u do Klubu Państwowców wspomnę tutaj. Stosunek ten zaznaczył się w przemówieniach ogromnej większości oraz w odpowiedniej uchwale, wykluczającej możność dla członków CKN wstępowania do niego jako bardzo niechętny. Podnoszono różne motywy: że Władysław Studnicki jest nieobliczalny i nietaktowny, politycznie kompromitujący swymi wystąpieniami i że zawsze nie tylko w opinii publicznej, ale i w rzeczywistości czyny jego będą firmę Klubu nosiły, bo ani go z kierownictwa Klubu usunąć, ani w karby zależności i kontroli zarządu ująć niepodobna i że warcholstwo Studnickiego nie tylko skompromituje politycznie Klub Państwowców, ale go też rozbije, i że w ogóle to jest organizacja bez fundamentów; że elementy, które się w tym Klubie gromadzić będą i które już ku niemu ciążyć zaczęły, są przeważnie niesforne i względnie skompromitowane konszachtami z Niemcami i zbytnim w tym kierunku oportunizmem; że w samym statucie Klubu Państwowców są takie zasadniczo niedopuszczalne rzeczy, jak określenie terenu jego działania terenem generał-gubernatorstwa warszawskiego, co jest uważane za wyraz godzenia się na okupacyjny podział Królestwa (po mieście i nawet w kołach poważnych politycznych kolportowane już są także przesądy, jak rzekomo Studnicki, którego się naturalnie z Klubem utożsamia, ogranicza niepodległość Polski do generał-gubernatorstwa warszawskiego okupacji niemieckiej) oraz że w niemieckim, a więc autentycznym tekście statutu – użyte jest słowo „Anschlüss" na oznaczenie stosunku Polski do mocarstw centralnych, co oznacza już nie tylko „sojusz", jak to brzmi w tekście

polskim, ale coś znacznie więcej – mianowicie jakąś inkorporację. Podnoszono te wszystkie motywy, ale najistotniejszym był strach przed ohydą posądzenia o germanofilstwo, czego CKN się boi zarówno, aby się nie zdepopularyzować, to jest aby nie dać przeciwko sobie i sprawie oręża moskalofilom i pretekstu do zerwania swej „konsolidacji", którą on tak mozolnie buduje, a która ciągle na włosku wisi i za lada cieniem czegoś może się urwać (nie tylko przez bezwład prawicy, ale i przez niechęć i nawet w istocie wrogość endeckiej cząstki tejże prawicy). Tylko ja jeden usiłowałem na razie bronić rzeczowo Klubu Państwowców i prawa doń wstępowania. Gdym spostrzegł, jaki jest stosunek większości, przestałem bronić, a jeno podniosłem tę kwestię moją osobistego stanowiska, że mnie dla sprawy litewskiej chodziłoby o możność postawienia jej w tym Klubie, co zdaje się tylko będąc członkiem może być wykonane. Rozumiano moje względy, ale nie uważano za możliwe robić wyjątku. Usiłował jeszcze bronić prawa wstępowania do Klubu Dunin, który już doń wstąpił, ale mu wzięto za złe, że to zrobił, pomimo że jest sekretarzem CKN-u i że był przy powzięciu uchwały o rezerwie, z jaką CKN postanowił się wobec Klubu tego zachować. Przeciwko Duninowi dość ostro się wypowiadano, nadano nawet uchwale poniekąd charakter potępienia jego, co się wyraźnie z przemówień wyczuwało. Ano, trudno. Motywy stosunku CKN-u do Klubu Państwowców wydaje mi się za daleko co do wniosków idące, a znowuż zbyt ustępliwe w kierunku prawicy oraz pewnych uprzedzeń ciemnoty apolitycznych nastrojów, ale muszę wyciągnąć z tego konsekwencje. Z dwojga bądź co bądź przywiązuję większą wagę do CKN-u, niż do Klubu Państwowców.

3 sierpnia, rok 1916, czwartek
Otrzymałem dziś wezwanie do stawienia się do urzędu przepustek. Pójdę tam jutro. Wiem już z góry, co mi mają do zakomunikowania: odmowę na wyjazd do Wilna, jak mi to już Maryńka zakomunikowała. Opiszę posiedzenie delegacji wszechpartyjnej, na którym wczoraj byłem obecny. Nic paradniejszego nad to widowisko „konsolidacji", tworzonej z biegunowo przeciwnych elementów, jak ten wóz z bajki Kryłowa, do którego zaprzężono szczupaka, raka i łabędzia. Było to właściwie pierwsze uroczyste posiedzenie plenum owej delegacji, wytworzonej pod politycznym znakiem konsolidacyjnym z okazji kompromisu wyborczego do Rady Miejskiej. Mój Boże, jakie to dalekie od owego ideału Rady Narodowej, ku któremu zmierzano, przynajmniej ze strony lewicy, przy tworzeniu owej delegacji! Dotychczas posiedzeń owej delegacji w pełnym komplecie nie było. Odbywały się tylko posiedzenia jej tzw. sekretariatu. Nie można zaprzeczyć, że sam fakt owej delegacji, jej przynajmniej formalnego powstania, miał już na zewnątrz pewne skutki dodatnie. Nie tylko kompromis wyborczy, dokonany pod naczelnym hasłem niepodległościowym, ale i sama deklaracja zbiorowa Rady Miejskiej na inauguracyjnym jej posiedzeniu zawdzięcza się w dużym stopniu owym pozorom „konsolidacji", których symbolem jest owa delegacja. Na zewnątrz były to bądź co bądź fakty dodatnie, jako jedyne miarodajne wyrazy woli narodowej, w których zawsze brzmiał postulat: Niepodległość. One to – te pozory, które czasem w pewnych okolicznościach mają siłę faktów, zmusiły niejako ogół politycznej reprezentacji narodu (licząc stronnictwa, w braku właściwej organizacji państwowej, za istotną reprezentację narodowych dążeń) do jawnego wywieszenia sztandaru niepodległości, który już zwinąć na rzecz jakichś drobniejszych sztandarów niepodobna. Ale nie mniej sama delegacja jest, jako taka, zupełnym politycznym niedołęstwem. Przede wszystkim, jest ona solą w oku prawicy, a zwłaszcza moskalofilskiej endecji, która boi się wszelkiego cienia konsolidacji, rozumiejąc, że dzisiaj, gdy Moskale są z kraju wyparci i gdyby faktycznie władają krajem okupanci Niemcy, może się ona dokonać tylko frontem

antyrosyjskim i z pewnym z konieczności oparciem się o mocarstwa centralne, bo innych dróg, całkowicie wykluczających to oparcie się w budownictwie państwowym polskim, w obecnych okolicznościach po prostu być nie może. A to przecież „*horrendum*" dla moskalofilstwa! A najważniejsze dla endecji – to może to, aby w Warszawie żadna reprezentacja ogólnonarodowa się nie wytworzyła, bo dopóki jej nie ma, dopóty może być utrzymana fikcja reprezentacji narodowej przez tzw. Komitet Narodowy, założony ongi pod Moskalami jeszcze w Warszawie i przebywający obecnie „na emigracji" w Petersburgu, gdzie chce w dalszym ciągu reprezentować Polskę utożsamianą z endecją. Takie zaś „stronnictwa" i ugrupowania na prawicy, jak różne PPP („Polska Partia Postępowa"), „Zjednoczenie Postępowe" itp., może nie byłyby tak zasadniczo oporne, jak endecja, ale przede wszystkim „zasadniczo" same nie wiedzą, czego chcą, bo żadnych zasad ani linii politycznych nie mają, po wtóre, boją się jak stracha zarzutu germanofilstwa, są w ogóle tchórzliwe we wszystkich kierunkach i niczego nie pragną ani w nic nie wierzą poza utrzymaniem swojej koteryjki z pozorami „stronnictwa". Najsilniejsza zaś i najpoważniejsza z organizacji prawicy – Stronnictwo Narodowe, opierające się na ziemiaństwie i składające się z elementów politycznie wyrobionych i obdarzonych zmysłem praktycznym – choć samo po cichu skłonne jest do daleko idących konszachtów z Niemcami i do ugody w ścisłym słowa znaczeniu, o wiele bardziej niż lewica – boi się konsolidacji z dwóch względów głównie: po pierwsze dlatego, że boi się wzrostu aktywizmu elementów radykalnie niepodległościowych, aktywizmu, śmiało palącego mosty i budowanego na zupełnie innej metodzie, niż ostrożna, cicha i nie kompromitująca ugoda oportunistów, gotowych szwarcować fakty dokonane i na nich się opierać, ale nie prowokować je, i po wtóre, ze strachu (jednak!) przed endecją. Endecja sama przez się jest tu słaba: wszystkie najtęższe jej głowy, jej filary – wyemigrowały; pozostali są niedobitkami mniejszej miary, z którymi właściwie nie liczono by się wcale, gdyby tylko o nich samych chodziło. Ale endecja ma za sobą takie czynniki siły i postrachu, które wszystkich oportunistów w szacunku do niej utrzymają, jak 1o – możliwość „powrotu taty", czyli powrotu „naszych" (czytaj: Moskali), i jak nastroje ciemnych apolitycznych mas, nienawidzących Niemców, niechętnych wszelkim nowinkom „pańskim", noszącym nazwę niepodległości i „polskich rządów", a w pojęciu mas utożsamiających się z jakimiś wspomnieniami przeklętej pańszczyzny oraz poborem rekruta do „wojska polskiego" na pomoc Niemcom, a tęskniących do prostego powrotu dawnych dobrych czasów, kojarzących się z Moskalem. Żadne ze stronnictw i ugrupowań nie posiada takich głębokich „*hinterlandów*" w ciemnych nieuświadomionych masach, jak rodzima reakcja endecka, która przecież w istocie jest tak daleka od rzetelnych interesów ludu! Ale to jej potęga, której się lękają inne stronnictwa z prawicy, zwłaszcza zaś ziemiańskie Stronnictwo Narodowe. Potęga ciemnego żywiołu mas w skojarzeniu z możliwością powrotu Moskali – to pęta wolę i odwagę. Endecja czy też jej szczątki – grają tu poniekąd rolę groźnego *memento*, rolę żandarma, w którego obecności boją się chłopaki swawolić. Cóż z tego, że lewica niepodległościowa ani austrofilska LPP nie lękają się tego, kiedy dla konsolidacji muszą mieć ze sobą prawicę starych stronnictw, a te się endecji boją!
Gdy jednak sekretariat delegacji zbyt widocznie uchylał się od jakichkolwiek politycznych kroków i nawet nieraz manifestacyjnie przez biorących w nich udział endeków raz akcentował swoją przeciwstawność konsolidacji, a rozwadniał swoje czynności w wyczuwaniu na porządek dzienny takich apolitycznych spraw, jak stosunek do rekwizycji zboża przez Niemców itp., elementy CKN-u nie mogły pozostać obojętne i szukały sposobów przyparcia go do muru, względnie sprowokowania, choćby to miało wreszcie doprowadzić do rozbicia. Zażądały one zwołania delegacji

planowej, a na pierwszy temat zaprojektowały zaoferowanie przez odnośne trzy obozy – CKN, LPP i Koła Międzypartyjnego – swego stanowiska politycznego, licząc, że to będzie gruntem do wysunięcia pewnych żądań konkretnych od delegacji i uwyraźnienia jej zadań, aby potem rzecz do „albo-albo" doprowadzić.

4 sierpnia, rok 1916, piątek
Naturalnie, że w urzędzie przepustek, do którego się udałem, oświadczono mi, że pozwolenia na wyjazd do Wilna odmówiono. Na moje zapytanie, dlaczego ta odmowa, odczytano mi rezolucję odmowną, w której motywów nie ma żadnych, ale to żadnych zasadniczych przeszkód w sobie nie zawiera, jeno powołanie się na okoliczność czasu – w tej chwili, czasowo, a któżby tam w czasie wielkiej wojny mógł kwestionować i żądać wyszczególnienia okoliczności, od których jest formalnie uzależniona decyzja. „*Zur Zeit*" nie można – i amen. Grzecznie, stanowczo i nic nie mówiąco. Muszę tu w kilku słowach wspomnieć o jednym doniosłym fakcie z dziedziny wojny i polityki. We wczorajszych pismach była depesza, ogłaszająca urzędowo o objęciu naczelnego dowództwa na całym froncie wschodnim przez Hindenburga. Niemieckie więc dowództwo objęło cały front wschodni, włączając mu poddanie całej siły zbrojnej zarówno niemieckiej, jak austriacko-węgierskiej. Legiony nasze są przez to samo także odtąd w niemieckim ręku, mimo że wchodzą w skład armii austriackiej. Jak słusznie się wyraził dziś Daszyński na CKN-ie, wojenna klęska Austrii na froncie południowo-wschodnim, zadana przez Moskali, jest w istocie polityczną jej porażką na rzecz Niemiec. W tym pozornie nagim fakcie komendy Hindenburga mieści się cały zwrotny i skomplikowany moment polityczny o bardzo doniosłych i aktualnych konsekwencjach, do którego nieraz jeszcze z pewnością wrócę. Na razie tylko nadmienię o czysto wojennych tego wypadku perspektywach: jest w tym zwrócenie wybitnej uwagi i punktu ciężkości na front rosyjski oraz zwycięstwo planu Hindenburga, którego wykonanie ujrzymy na wypadkach. Hotzendorf austriacki, zeszłoroczny mistrz planu wielkiej ofensywy gorlickiej, a tegoroczny winowajca planu ofensywy włoskiej, która miała służyć marzeniom biurokracji austriackiej o panowaniu nad Wenecją i Doliną Lombardzką, a sprowadziła omalże nie katastrofę na froncie rosyjskim, faktycznie poszedł precz. W roku zeszłym on był poniekąd triumfatorem nad Hindenburgiem, dziś słońce Hindenburga w pełni zajaśniało, waląc rywala austriackiego i Austrię całą w promieniach Niemiec pochłaniając. Podobno i bohater czynu zeszłorocznej ofensywy na Rosję, i bohater programu Serbii, wielki niezwyciężony Mackensen przybył na front wschodni. Mackensen – wcielenie zwycięstwa, nowy bóg wojny, sfinks ostatniego półrocza, którego obecności nie wiedziano na którym froncie szukać. Dla szerokiej opinii był gdzieś znikł z widowni. Próbowano go, jak jakiś mit tajemniczy, zgadywać i domyślać się to tu, to tam. Jedni z trwogą, inni z tęsknotą oczekiwali, gdzie się wyłoni w nowym blasku swych czynów – Mackensen. Może się wyłoni obecnie w Hindenburga froncie wschodnim.
Wracam obecnie do owego przedwczorajszego posiedzenia Delegacji. Było to, jak mówiłem, pierwsze plenarne. Zebrało się w sali Resursy Obywatelskiej przy Krakowskim Przedmieściu. Jak wiadomo, klucz do obsadzenia Delegacji jest następujący: prawica, zorganizowana w tzw. Kole Międzypartyjnym, ma 21 miejsc, Liga Państwowości Polskiej – 15 i Centralny Komitet Narodowy – 18 miejsc. Z tych trzech głównych odłamów politycznej organizacji Królestwa, LPP jest najbardziej scentralizowana i tworzy organizację zupełnie jednolitą (nawet tzw. Secesja, czyli urzędowo Zjednoczenie Narodowe, tworzące właściwe partyjne jądro LPP, zawiesiła formalnie swoje funkcjonowanie odrębne do czasu realizacji zasadniczego postulatu LPP – utworzenia państwa polskiego, i przeto faktycznie stopiło się w całości LPP). Za

to Koło Międzypartyjne i CKN są blokami partii i grup politycznych. Miejsca, udzielone tym organizacjom, obsadzone zostały przez reprezentowane w nich partie i grupy (a więc w Kole Międzypartyjnym: Realiści, ND, PPP, Zjednoczenie Postępowe, Stronnictwo Narodowe i Grupa Pracy Narodowej oraz pokrewne elementy bezpartyjne; w CKN-ie: Stronnictwo Radykalno-Narodowe, Związek Patriotów, NZR, Konfederacja, Stronnictwo Ludowe i PPP oraz również bezpartyjni). Różnica jednak w formacji Koła Międzypartyjnego a CKN-u jest ta, że Koło jest tylko mechanicznym zlepkiem stronnictw, przeważnie „starych", których główną cechą jest niechęć lub obawa przed politycznym aktywizmem w obecnych warunkach, a które poza tym są zupełnie nieraz rozbieżne w zasadniczym nawet postulacie – od moskalofilów począwszy, a na szczerych niepodległościowcach z Grupy Pracy kończąc, podczas gdy CKN reprezentuje nie tylko jednolity dla wszystkich swych grup składowych postulat naczelny – Niepodległość, ale i jednolitą drogę czy metodę jego realizacji i tym się zbliża do LPP (choć metody CKN-u i LPP są zasadniczo różne). Ja formalnie do Delegacji z ramienia CKN-u nie należę, ale poszedłem tylko przez ciekawość, co zresztą nie robi różnicy, bo zawsze ktoś z osiemnastu CKN-owych delegatów nie przyjdzie, więc się przez moją obecność liczba nie przekroczy, a zresztą nikt ani liczby, ani mandatów nie sprawdza i prawica również gości ze swej strony przyprowadza. Na sali stał wielki stół obrad w kształcie podkowy. Jedno z ramion podkowy obsiadła grupa delegatów w LPP, drugie – grupa CKN-u, środek zaś zajęli delegaci ze stronnictw Koła Międzypartyjnego. Obecny był także książę-prezydent Lubomirski. Zagaił posiedzenie Rosset, jeden z wysuwanych obecnie „patyków" z PPP. Już samo to obniżało powagę Delegacji, bo na Rossecie ciążą takie etycznej natury zarzuty, mianowicie zarzut dowiedzionej defraudacji (rzecz sprzed kilku lat, ale głośna, którą ja oczywiście nie na własną moją odpowiedzialność stwierdzam), że jego udział w życiu politycznym uważany jest za skandal (może Koło Międzypartyjne tego nie wyczuwa, bo jednak był on w ich „Narodowym" Komitecie Wyborczym członkiem i z ramienia tegoż Komitetu został radnym miejskim, ale może jest to ze strony pewnych elementów Koła nawet umyślny manewr, aby wysuwaniem osoby Rosseta wszystkie akcje kompromitować). W każdym razie, zagajanie pierwszego plenarnego posiedzenia Delegacji w Warszawie, tej Delegacji, która ma być pierwszym widomym zaczątkiem konsolidacji ogólnonarodowej w dążeniu do Niepodległości, przez Rosseta jest czymś co najmniej niepoważnym. Na wniosek Rosseta zaproszono na przewodniczącego – bezpartyjnego adwokata Weydla. Na zebraniu tym miał CKN referować o sobie. Referentem CKN-u wystąpił Artur Śliwinski. Streścił on historię organizowania się obozu niepodległościowego w okresie wojny, doszedł do powstania CKN-u, odtworzył jego formację, jego postulaty i zadania, jego linię zasadniczą akcji politycznej, jego metodę i założenia programowe. Na ogół jednak nakreślił rzecz nie dość wyraziście i nie dość uwydatnił moment aktywizmu z oparciem budownictwa państwowego polskiego o mocarstwa centralne przy froncie antyrosyjskim. Mowa była nie dość silna i nie dość konkretna. Po tym przemówieniu, gdy otwarto formalnie dyskusję, nikt się nie kwapił z zabieraniem głosu. Przez jakiś czas groziła kompromitacja, że oto na posiedzeniu Delegacji w najbardziej zasadniczej sprawie, jedynej istotnej – budowania owej niepodległości – nikt nic nie ma do powiedzenia czy też raczej powiedzieć nie chce. Od czasu do czasu tylko ten lub ów z prawicy, jak Zbrowski ze Stronnictwa Narodowego, Biskupski z PPP, występował z jadowitą uwagą, której żądło było ukryte pod formą zapytania do wyjaśnienia przez Śliwińskiego. Na każde takie zapytanie, ponieważ nie było mówców, Śliwinski odpowiadał z osobna. Robiło to wrażenie przykre obłudnej, zjadliwej walki podjazdowej.

5 sierpnia, rok 1916, sobota

Dziś pierwsza rocznica oswobodzenia Warszawy od Moskali. Pogłoski od dawna łączyły dzień dzisiejszy z jakimś rzekomo aktem uroczystym, który ma być przez Niemców ogłoszony i miałby być pierwszym zaczątkiem realnym tworzenia niepodległości polskiej. Przed paru tygodniami dość powszechnie wierzono temu, w ostatnich jednak dniach z poważnych ludzi nikt prawie tego nie przypuszczał. Tylko tłumy się tego bały, szepcąc o zamierzonym przez Niemców poborze rekruta pod płaszczykiem niepodległości i armii narodowej. Masy były nawet poniekąd ogarnięte terrorem oczekiwania. Żadnego aktu nie ogłoszono. Warszawa w dniu dzisiejszym święciła jednak uroczyście nie tę rocznicę wygnania Moskali w r. 1915, ale rocznicę stracenia pięciu członków Rządu Narodowego w r. 1864 na szubienicy na stokach Cytadeli. Rocznicy r. 1915 nie mogła obchodzić, bo Niemcy są dotąd panami i Warszawa nie chce stwarzać pozorów, jakoby w wygnaniu Moskali pragnęła witać nowych gospodarzy.

Jestem spóźniony w dzienniku, bo mam jeszcze do pisania i o dniu wczorajszym, i o dzisiejszym, a muszę wpierw dokończyć o środowym posiedzeniu Delegacji.

Wpierw jednak jeszcze słów parę na informację faktyczną z innej zupełnie sfery wypadków. Miałem list od Maryńki, z którego się dowiedziałem, że uwięzieni w Wilnie Wacław Studnicki i Jan Vileišis zostali wypuszczeni. To dobra wiadomość.

A teraz do Delegacji. Później dyskusja się trochę ożywiła. Ale przeważnie zabierali głos bądź sami obrońcy CKN-owego programu, jak Kempner, Medard Downarowicz i Bolesław Lutomski, bądź ludzie mniej więcej przygodni z przeciwnego obozu, mniej w dyplomację zaprawieni, jak niejaki Sołtan, podobno przyjezdny z Łodzi, i endek Dobrzański z Piotrkowa, bądź znowuż tacy szczerzy poczciwcy, jak ślepy Rukowiecki, nie znający obłudy i mędrkowania dyplomatycznego, bądź wreszcie ci ględziarze z Grupy Pracy Narodowej – Grendyczyński i Krzywoszewski, co to sami nie wiedzą dobrze, jak pogodzić to, co chcą – niepodległość – z tym, czego się boją – uniknięcia wszelkiego kontaktu z Niemcami. Właściwi zaś poważni i miarodajni politycy z przeciwnych obozów milczeli do końca jak zaklęci. Ze Stronnictwa Narodowego padały tylko zapytania, w których była ukryta krytyka, ale jeszcze bardziej ukryta, tak że aż niedostrzegalna zgoła, jakakolwiek myśl własna. Realiści i miejscowi endecy milczeli także. Z LPP nikt pary z ust nie puścił. Milczenie LPP było szczególnie wymowne; robiło wrażenie, że się ono tylko w charakterze widza przysłuchuje sporowi dwóch obcych ludzi, z których obaj są jej równie obojętni i dalecy; bo też CKN zwracał się tylko do prawicy, a zabierający głos z prawicy – tylko do niego; LPP była tak omijana, jak żeby jej wcale nie było. Krzywoszewski z Grendyszyńskim ględzili tak od rzeczy, jak żeby z obłoków spadli, tak jak w obłokach, poza żywymi okolicznościami środowiska międzynarodowego i momentu historycznego, zawiesili swój platoniczny program niepodległości. Niepodległość ta u nich ma, jak cudowny feniks z popiołów, urodzić się z cudu, czyli z niczego. Są oni przeciwnikami Rosji, ale nie mniejszymi przeciwnikami Niemców, których niepodobna ani się dotknąć, ani otrzeć w budownictwie państwowym; są też przez tę „czystość" swoją przeciwnikami wszelkiego aktywizmu, a natomiast od aktywistów żądają takich „gwarancji" i tak dokładnego konkretyzowania szczegółów, jak żeby chodziło o wyhaftowanie jakiejś koronkowej robótki szkolnej. Paradne było przemówienie Sołtana i piotrkowskiego endeka Dobrzańskiego. Sołtan, człowiek z pozoru młody, był, jak się dowiedziałem później, jakimś czy tam prezesem, czy delegatem rewolucyjnego Związku Związków („Союз Союзов") w czasie rewolucji z r. 1905. Był naturalnie bardzo czerwonym, co nie przeszkadza mu być jak śnieg, „białym" obecnie, aczkolwiek z owego rewolucjonizmu pozostał mu teraz ton Katona w sądzeniu innych. Zastrzegł się

„gorąco“ na wstępie przeciwko takiemu stawianiu przez CKN sprawy, że to jego właśnie elementy reprezentowały myśl niepodległościową od początku wojny; myśl ta czy idea, jego zdaniem, żyła zawsze i obecna była zarówno przed wojną, jak przed CKN-em i przed wszystkimi formacjami, które go poprzedziły i nawet przed urodzeniem się nas wszystkich i była zawsze powszechną; żyła ona i żyje od 150 lat, od utraty niepodległości (zdawałoby się, że przez ten ogólnik i Dmowski z okresu neoslawizmu, i ugodowcy z okresu „Kraju“, i moskalofilia z początków wojny, ślący dziękczynne adresy do W. K. Mikołaja Mikołajewicza, szable honorowe dla zdobywcy Lwowa generała Rueskiego itd. – wszyscy zawsze i nieustannie natchnieni byli tylko jednym nieugiętym ku niepodległości dążeniem. Ale już zwłaszcza wspaniały i mądry był w swym przemówienia Sołtan, gdy zażądał, aby CKN nie to mówił, czego i jaką drogą chce, ale od czego może ustąpic w imię osiągnięcia ogólnego porozumienia i zgody w skonsolidowaniu się stronnictw. Zaiste, zaczynać od tego, czego się jest gotowym zrzekać, gdy nikt wpierw nie wystawił żądania, nikt z przeciwników nie powiedział, czego mianowicie chciałby, aby się CKN zrzekł, bo przecież – czy samej niepodległości, czy aktywizmu i frontu antyrosyjskiego, czy też tylko jakichś podrzędnych rzeczy. Na dany sposób paradny był Dobrzański. Endecy warszawscy, choć są moskalofilami i endekami, jednak są już trochę obyci i otarci, trochę w konturach łagodniejsi i okrąglejsi. Natomiast ten endek z Piotrkowa – to jeszcze czystej rasy, surowy i dziki jak zwierz świeżo do klatki złapany i nie znający się na tresurze. Nabył on już wprawdzie najświeższej metody endeckiej, polegającej na maskowaniu właściwego moskalofilstwa – na zwalczaniu niepodległościowców ich własną bronią, doprowadzając postulat niepodległości do takiego *maximum* nieprzejednanego radykalizmu, który staje się politycznym absurdem, ale nie oswoił się jeszcze w najmniejszej mierze z pojęciem jakiegokolwiek kontaktu z mocarstwami centralnymi. Toteż wystąpił z maksymalizmem irredenty niepodległościowej (dosłownie do maksymalizmu wzywał – *sic*!) i ze zgorszeniem wytykał niepodległościowcom z CKN-owego obozu zapominanie o Poznańskiem i reszcie zaboru pruskiego. Endek dmowszczyk w roli obrońcy nieskazitelności maksymalizmu niepodległościowego – to zjawisko przepyszne! Efekty te zresztą już nie działają tak przekonywująco na umysły, zwłaszcza wyrobionych polityków warszawskich, którzy od roku wielu rzeczom się przyjrzeli i o wielu przemyśleli. Ale co endecy warszawscy już czują, tego jeszcze piotrkowscy nie rozumieją i z całym zapałem naiwnym wierzą jeszcze w doskonałość praktyk demagogicznych. Z mówców CKN-owych najlepiej przemówił Medard Downarowicz, który mocno podkreślił aktywizm jako konieczność i uwydatnił realizm polityczny oparcia się w budownictwie państwowym o mocarstwa centralne. Na ogół Delegacja nie zaimponowała mi wcale. Jest ona wielkim niedołęstwem, nie tylko niezdolnym do czynu, ale pętającym świadomie aktywizm elementów zdolnych do niego. Ma ona swoją wartość na zewnątrz, ale bardzo drogo jest kupiona przez lewicę. Endecy z całą siłą akcentują w Delagacji, że nie jest ona ani konsolidacją, ani nawet zrzeszeniem, jeno tylko luźną właśnie „Delegacją“, do niczego nikogo nie obowiązującą, a służącą chyba tylko do „obwąchiwania się“ wzajemnego. Endecji bardzo chodzi o zastrzeganie wolnych rąk i dokumentowanie zupełnej właściwie pustości całej tej Delegacji. CKN wobec tego również zastrzegł bardzo kategorycznie wolną rękę własnego działania, co poniekąd miało być manewrem względem innych odłamów prawicy, które, zachowując się z wielką rezerwą wobec Delegacji i usiłowań konsolidacyjnych, chcą jednak nimi podejść elementy aktywne i skrępować je pozorami jakiegoś solidaryzmu, rzekomo w Delegacji tkwiącego. Jak dalece Delegacja ta jest obca ideałom czynu niepodległościowego, świadczy zupełny chłód, z jakim przyjęto odczytany przez Artura Śliwińskiego list komendantów Legionów z Piłsudskim i

Hallerem na czele, witający gorąco pierwsze błyski jedności narodowej, rzekomo w Delegacji ujawnione, i z głęboką tęsknotą pragnącej oddać w ręce władzy narodowej polski czyn zbrojny. Przyjęto to milczeniem. CKN i LPP nie robiły owacji, aby w ten sposób nie ujaskrawiać milczenia prawicy. Zgodzono się na wniosek Artura Śliwińskiego przekazać ten list do sekretariatu, ale zrobiono to bez żadnych dyrektyw, wyłącznie, jak zawsze, aby rzecz jakoś ubić niewypowiedzeniem się ani tak, ani inaczej.
Wczoraj na CKN-ie obecni byli posłowie socjalno-demokratyczni z Galicji z Ignacym Daszyńskim na czele. Ciekawe ich oświadczenie streszczę jutro. Po zebraniu przyjmowano ich sutą kolacją w restauracji „Warszawska”. Nastrój był na kolacji miły i poufny, bez uroczystej pompy i bez mów właściwych. Nastrój był taki, jak wśród dobrych dawnych serdecznych znajomych. Moraczewski przez cały czas improwizował anegdoty legionowe, robiąc to w sposób gawędziarski, świetnie wykonywany.

6 sierpnia, rok 1916, niedziela
Widziałem się dzisiaj z Jarockim z Wilna, który tu na dni kilka przyjechał. Opowiedziałem mu o moich dziejach, on zaś opowiadał mi o Wilnie i w szczególności o różnych fazach i przejściach milicji wileńskiej i naszej straży ogniowej ochotniczej, w której razem z nim pracowaliśmy. Miałem wielką przyjemność z tego spotkania, zarówno dlatego, że lubię Jarockiego, jak dlatego, że wszystko mi jest miłe, co bezpośrednio z Wilna płynie.
Jutro przenoszę się do innego pokoju, który sobie wynająłem przy ul. Wspólnej pod numerem 69a w mieszkaniu niejakiej pani Dzikowskiej, z domu Lasockiej, poczciwej, zdaje się, staruszki. Przenoszę się dlatego, że pani Lourie, u której dotąd mieszkałem, chciałaby odnająć mój pokój jakiemuś Niemcowi; trafia się jej dobra okazja wynajęcia pokoju tego wraz z utrzymaniem za dobrą cenę 90 rb. miesięcznie. Nie chcę jej w tej transakcji przeszkadzać, zwłaszcza że nie stracę nic na tym, lecz przeciwnie – zyskam. Wynająłem teraz pokój za 10 rb., podczas gdy płaciłem 17, i zdaje się, że u p. Dzikowskiej będę miał większy spokój, porządek i czystość, niż tutaj. Nie mam uprzedzeń do Żydów, ale często bywają oni niechlujni – i taką właśnie jest p. Lourie z całą swą nędzą. To łatanie różnych braków często i moim kosztem się odbywało: mydło moje służyło zawsze całej rodzince, chleb był, zdaje się, też często okrajany itp., a było i wiele innych mniejszego lub większego kalibru usterek (w szczególności mydło, a zresztą i chleb należą teraz do niezwykle cennych i prawie że osobliwych rzeczy). Mniejsza zresztą o to. Dość, że się wynoszę.
Słówko teraz o pozawczorajszym posiedzeniu CKN-u. Zostało ono zwołane *extra* z okazji przyjazdu do Warszawy galicyjskich posłów socjalno-demokratycznych – Ignacego Daszyńskiego, Moraczewskiego, Klemensiewicza i Liebermana. Przyjechali oni tu w pierwszym rzędzie dla skomunikowania się z obozem niepodległościowym, reprezentowanym w CKN-ie i złożenia mu pewnych oświadczeń. Na posiedzeniu, które było ogłoszone za ściśle poufne, poseł Daszyński w dłuższym motywowanym przemówieniu złożył to oświadczenie. Przedstawił on polityczną porażkę Austrii i płynące z niej konsekwencje w stosunku do Sprawy Polskiej. Dziś o oparciu się Polaków w ich dążeniach państwowych o Austrię – trudno jest poważnie mówić, gdy Austria coraz bardziej traci rolę czynnika współdecydującego. Przewaga Niemiec jest faktem, który się wyraża w całkowitym już niemal militarnym podporządkowaniu im Austrii. Austria dokonać połączenia Królestwa Polskiego z Galicją pod berłem Habsburgów nie jest w stanie przeciwko Niemcom, a Niemcy tego nie życzą. Linia polityki niemieckiej w Sprawie Polskiej skierowana jest ku utworzeniu państwa polskiego, zostającego pod wpływami, ewentualnie może w pewnej zależności od

Niemiec. Austria, o ile nie może wbrew Niemcom pozyskać całego niepodzielnego Królestwa, o tyle może w najlepszym dla siebie, a najgorszym dla Polaków razie przeszkodzić w realizacji linii niemieckiej przez pozyskanie dla siebie cząstki Królestwa – „*ein bischen Polen*", co by było aktem podziału Polski. W tym też kierunku idą dążenia austriackie. Program NKN-u, opierający się o Austrię dla obrony przeciwko ewentualnemu podziałowi Królestwa i dla złączenia pod berłem Habsburgów niepodzielnego Królestwa z Galicją, co by dało podstawę państwowości polskiej w związku z Austrią, zbankrutował. Ujawniona słabość Austrii, jej klęska wojenna, zwłaszcza tegoroczna i jej faktyczna od Niemiec zależność stały się czynnikami NKN-owego bankructwa. Dziś ze strony Austrii płynie dla Polski niebezpieczeństwo nowego rozbioru: ona jest źródłem podziałowego niebezpieczeństwa oraz przeszkodą realizacji państwowej Polski. Toteż że obóz niepodległościowy Królestwa, reprezentowany przez CKN, odrzucił program NKN-u, jest wyrazem mądrej polityki. Jakież stąd płyną konsekwencje dla garści niepodległościowej wewnątrz NKN-u, czyli dla niepodległościowców galicyjskich? O ile spełni się postulat państwa polskiego w Królestwie, Galicja, ta Galicja polska, patriotyczna, Galicja, z której wyszedł ruch strzelecki i zbrojny niepodległościowy czyn polski, miałaby zostać poza państwem polskim, odcięta odeń kordonem, pozostać prowincją austriacką! Nie dość na tym. Wybuchłaby w niej żywa, gorąca, namiętna irredenta polska, irredenta, która by oczywiście zasadniczo zmieniła jej stosunek do państwa i państwa do niej. Polacy już nie graliby w Wiedniu tej roli, co poprzednio i wpływy swoje w państwie oraz stanowisko samorządne w kraju musieliby z konieczności stracić. Austria nie mogłaby się w Galicji na irredencie opierać. Nie uratowałby sytuacji lojalizm Stańczyków, bo wcześniej czy później popularna irredenta wzięłaby górę. Galicja byłaby rządzona centralistycznie przez niemiecko-czeską biurokrację, opierającą się na cesarskim chłopie ruskim, w ogóle na Rusinach – Tyrolnikach Wschodu. Tak kreślił perspektywy Daszyński. Program NKN-u na początku i w pierwszym okresie wojny wyrażał linię narodową, linię państwową polską, tę samą zresztą linię, na której się narodził i rozwinął ruch strzelecki i Legiony. Dzisiaj linia państwowa polska, linia niepodległościowa, linia wojskowa polska, przez czyn Piłsudskiego wyrażana – odeszła od programu NKN-u. Poprzednio mogły w NKN-ie się łączyć elementy niepodległościowe wraz z austriacko-ugodowymi. Teraz, gdy polityczne dzieje wojny sprawiły rozdźwięk między programem NKN-u a linią państwową polską, elementy niepodległościowe w NKN-ie znalazły się w opozycji. I rozdźwięk ten będzie rósł. Elementy niepodległościowe w Galicji, obecnie w NKN-ie będące, nie mogą się godzić na pozostawienie Galicji w Austrii, gdy Królestwo Polskie niepodległość ma dostać. Dążeniem ich – oderwanie Galicji od Austrii i złączenie państwowe z Królestwem. I należy oczekiwać w dalszej konsekwencji rozwoju – bliskiego już zapewne organizacyjnego bankructwa NKN-u. Wprawdzie elementy ugodowe liczne są w NKN-ie i będą obstawały przy dawnym programie, ale życie i logika faktów są przeciwko staremu programowi i jedności NKN-u, o ile ta jedność miałaby być na tym programie nadal opierana. W NKN-ie będzie musiało dojść do rozłamu; elementy niepodległościowe z niego będą musiały wystąpić. Do tych elementów zalicza Daszyński esdeków galicyjskich, część ludowców spod znaku Stopińskiego i postępowców lwowskich. Będą oni budować program na rzecz oderwania Galicji od Austrii i połączenia z Królestwem w państwie polskim w myśl CKN-owej linii politycznej. Daszyński ograniczył się do złożenia tego oświadczenia. Odpowiedziano mu w CKN-ie, że oczywiście rzecz ta będzie przedmiotem poważnych zastanowień CKN-u. Naturalnie, że CKN bardzo życzliwie owe wynurzenia powitał. Daszyński liczy, że niepodległościowa w Galicji linia nie jest zupełnie pozbawiona perspektyw.

Odpowiadać ona może zamiarom Niemiec, w dużym stopniu ewentualnie Węgier i z pewnością zwłaszcza Wszechniemców austriackich, którzy od dawna wywiesili sztandar: „Precz z Galicją z monarchii austriackiej”. Natomiast czynnikami przeciwnymi byłaby w pierwszym rzędzie korona, dynastia austriacka, zapewne też słowiańskie ludy Austrii i niemieckie chrześcijańsko-społeczne stronnictwo.

7 sierpnia, rok 1916, poniedziałek
Na zamierzony wczoraj obchód rocznicy 6 sierpnia 1916, który staraniem CKN-u miał się odbyć w Teatrze Polskim, władze pozwolenia nie udzieliły.
Cofnę się teraz do dnia pozawczorajszego. Na wielkim obchodzie rocznicy stracenia pięciu członków Rządu Narodowego na stokach Cytadeli nie byłem wcale, ponieważ poszedłem na odczyt niemiecki prof. Hallera z Tubingi, który się w tych samych właśnie, co obchód, przedwieczornych godzinach odbył w sali Muzeum Handlu i Przemysłu. Temat tego interesującego odczytu brzmiał: „*Deutsche Macht und Kultur an der Ostsee*”. Odczyt odbył się „z polecenia p. Generał-Gubernatora” przez umyślne w tym celu sprowadzonego prelegenta. Zarówno ciekawy temat, zajmujący mię szczególnie, ponieważ dotyczy bałtyckich ziem Łotwy i Litwy, jak urzędowy charakter odczytu, jak wreszcie ten fakt, że wybrano dlań dzień rocznicy wkroczenia Niemców do Warszawy, sprawiły, że zdecydowałem się pójść nań i poświęcić temu widok obchodu narodowego. I nie żałuję, bo była to istotnie rzecz ciekawa i charakterystyczna nie tylko pod względem historycznym, ale także i może jeszcze bardziej jako symptom niemieckich politycznych tendencji na wschodzie. „*Deutsche Macht und Kultur an der Ostsee*” – Potęga i Kultura Niemiecka na Bałtyku – co za temat wspaniały, dziejowo plastyczny i zarazem jakże niezmiernie dziś aktualny w wielkim dramacie wojny! Publiczność, licznie wypełniająca wielką salę Muzeum Przemysłu i Handlu, składała się w większej połowie ze sfer wojskowych niemieckich z wyższymi władzami okupacyjnymi i generał-gubernatorem Beselerem na czele. Sporo było jednak osób cywilnych, szczególnie panien, w tej liczbie i Polek i Polaków, a więcej pono jeszcze Żydówek i Żydów. Ze znajomych nie widziałem tam nikogo. Ja dostałem bilet wejścia przez redakcję „Widnokręgu”.
Profesor Haller, typowy liberalny profesor niemiecki, łączący liberalizm z imperializmem niemieckim i z wiarą w cywilizacyjne posłannictwo Niemiec na wschodzie, w założeniu postawił tezę, że podstawą i punktem wyjścia potęgi i kulturalnej misji niemieckiej na wschodzie jest panowanie na Bałtyku. Misja i potęga niemiecka nie z głębi lądów i *hinterlandu* szuka wyjścia do Bałtyku (jak np. ekspansja rosyjska z głębokiego masywu lądowego ku morzom macki swe wyciąga, aby przez nie wyrobić sobie ujście, ale przeciwnie: o ile chodzi o wschód, to z Bałtyku, jako bazy swojej, frontem jest zwrócona ku lądom, wyciągając w ich głąb macki swego promieniowania oraz dzieła kultury. Panowanie więc na Bałtyku – to grunt. Taką była, zdaniem prelegenta, dziejowa droga tego wielkiego dzieła. Przebiegł on całą historię tego procesu dziejowego. Zakony rycerskie niemieckie, założenie Rygi, Hanza. Z miast, zakładanych na wybrzeżach i dających oparcie polityczne służących zarazem za pierwsze ogniwa handlu, biegła i szerzyła się w głąb cała sieć miast, wiązanych ze sobą organizacją handlową i prawno-polityczną. Kulturę niemiecką i jej dzieło na wschodzie przedstawił profesor jako kulturę miast, kulturę pracy i organizacji twórczych sił ludzkich w sferze stosunków gospodarczych, cywilizacyjnych i politycznych. Nie jest on nacjonalistą w znaczeniu li tylko egoizmu narodowego niemieckiego i prostego, bez względu na jakiekolwiek wartości, prawa pożerania słabych dla dogodzenia samemu tylko apetytowi rasy. W tej politycznej i kulturalnej ekspansji niemieckiej profesor dostrzega realne dodatnie wartości cywilizacji ludzkiej i w nich znajduje najwyższą

sankcję dla dzieła. Jako kulminacyjny punkt tego niemieckiego dzieła cywilizacji uważa profesor czas, przypadający na wiek XIV, gdy w Polsce panował król Kazimierz, słusznie, jak powiada profesor, zwany Wielkim. Kazimierz Wielki był najkonsekwentniejszym rzecznikiem i wykonawcą zadań kultury niemieckiej w jej ekspansji na wschód. Szedł on śladami, po których poszli książęta śląscy i pomorscy. Kazimierz Wielki opierał się nie na rycerstwie, nie na szlachcie, ale na miastach i chłopie. Troskę jego stanowił gospodarczy i cywilizacyjny rozwój kraju. Sprowadza on osadników i rękodzielników niemieckich do miast, nadaje miastom niemieckie prawo miejskie, które rozciąga aż na miasta czerwonoruskie i wołyńskie; Kazimierz Wielki poniósł niemiecką kulturę miejską aż w głąb Rusi, het daleko na wschód. Słusznie jest powiedziane o nim, że otrzymał Polskę drewnianą, a zostawił murowaną; jest to niemieckiej kultury dzieło. Kazimierz Wielki organizował pracę i produkcyjne siły kraju, był królem miast i chłopów. Po nim wszakże przyszła reakcja nacjonalistyczna tych ziem głębokiego *hinterlandu* bałtyckiego. Reakcji tej wyrazem stało się połączenie przez Jagiełłę Polski z Litwą i w następstwie unia tych dwóch państw. W reakcji tej zwyciężył pierwiastek rycerski – szlachecki (politycznymi głównymi twórcami tego dzieła byli panowie małopolscy). Zwycięstwo tej reakcji doprowadziło w polsko-litewskim państwie konsekwentnie do całkowitego upadku, które wreszcie zgubiło samo państwo. Reakcja ta, jak prelegent odruch Litwy z Polską przeciwko krzyżactwu nazywa, w pierwszym rzędzie zwróciła się przeciwko temu, co było samym źródłem znienawidzonej przez nią kultury niemieckiej, kultury miast i organizacji sił handlowych i produkcyjnych; polityczną ostoją promieniowania tej kultury na wschód były zakony rycerskie niemieckie, były Inflanty, Prusy itp. Przewaga fizyczna tej reakcji była tak wielka, że zarody politycznej organizacji niemieckiej na wschodzie musiały się ugiąć, względnie ulec. Następne wieki są świadkami tego upadku. Inflanty przechodzą z rąk do rąk; należą to do Szwecji, to do Polski, wreszcie zabiera je Rosja; Kurlandia traci niepodległość i wchodzi w skład Rzeczypospolitej, a następnie, po jej upadku, dostaje się Rosji; Żmudź, która już była formalnie Zakonowi oddana, wraca ostatecznie do Litwy; nawet Prusy są przez czas długi wasalem Rzeczypospolitej. Niemniej dzieło kultury niemieckiej, acz pozbawione swego potężnego szkieletu politycznego, nie ustaje. W Inflantach i Estonii tylko 8% ludności jest niemiecka, a przecież te 8% ta mniejszość znikoma, nadaje i kształci oblicze kulturalne całego kraju. Liberalny profesor nie docenia naturalnie procesów demokratycznych i ludowych i z lekceważeniem mówi o Łotyszach i Estończykach. Kultur estońskiej i łotewskiej – nie ma i być nie może; żadnych oryginalnych wartości kulturalnych te „kultury” nie przedstawiają; są to tylko „Uebersatzgangs-Kultur”, to znaczy ta sama kultura niemiecka przetłumaczona i tworzona w obcych językach.

8 sierpnia, rok 1916, wtorek
Dokończę przede wszystkim sprawozdanie z referatu prof. Hallera „*Deutsche Macht und Kultur an der Ostsee*” z d. 5 sierpnia. Do jakiego stopnia kultura niemiecka, zaszczepiona na wschodzie, okazała się żywotna pomimo głębokiego zachwiania politycznej potęgi niemieckiej przez reakcję nacjonalistyczną Polski i Litwy w w. XIV, tego dowodami są choćby takie fakty, jak to, że w czasie pogromu Niemiec w dobie wojen napoleońskich bardziej niemieckie były Królewiec i Kłajpeda (Memel), miasta pruskie, leżące na terenach kolonizacyjnych, niż taki na przykład rdzennie niemiecki Weimar i wiele innych miast na zachodzie, w których grasowali kosmopolityczni „patrioci” rewolucyjnego pokroju, wielbiciele filozofii XVIII wieku i entuzjaści francuskich „praw człowieka”. Prelegent przypomniał, że sam Berlin, stolica Prus i zjednoczonych dziś Niemiec, leży przecie także na terytorium skolonizowanym.

Wreszcie odrodzenie narodowe i polityczne Niemiec dokonane zostało w w. XIX nie przez zachodnie kraje niemieckie, ale przez Prusy i że te właśnie Prusy, te ziemie, pozyskane przez kulturę niemiecką na wschodzie, są wierniejsze ojczyźnie, niż taka np. rdzennie niemiecka Alzacja i Lotaryngia, należące do kolebki narodu, a tak mocno przez przynależność państwową do Francji zobojętniałe niemczyźnie i tak oporne na powrotne ich stopienie z ojczyzną. Przechodząc wreszcie do współczesnych zagadnień chwili dziejowej, prelegent stwierdził ponownie konsekwentną ciągłość zadań niemieckich na wschodzie, których punktem wyjścia, tak jak ongi, musi być panowanie na Bałtyku z frontem, zwróconym od wybrzeży w głąb lądów na wschód. O Polsce prelegent nic w obecnych zadaniach niemieckich nie mówił. Wspomniał tylko tyle, że w dniu jego prelekcji upłynęła rocznica oswobodzenia Warszawy od Rosjan i że tu widzimy, że Niemcy pozostali wierni swojej roli cywilizacyjnej, wznosząc w czasie szalejącej wielkiej wojny na gruzach rosyjskiej przemocy wyższe uczelnie w Warszawie z językiem wykładowym ojczystym Polaków.
Nie będę się zajmował ani polemiką, ani krytyką bądź co bądź ciekawych tez tego referatu. Interesował on mię z innego względu – dla poznania obecnych tendencji niemieckich. I pod tym względem był bardzo charakterystyczny. Stwierdzał on kategorycznie dążenie Niemiec do własnego panowania na ziemiach bałtyckiego północnego wschodu po ich wyjarzmieniu od Rosji. Do ziem tych, objętych programem panowania oraz „promieniowania kulturalnego" niemieckiego przez Bałtyk, należy prócz Łotwy niewątpliwie przynajmniej Litwa etnograficzna. Charakterystyczne to, że referat ten został wygłoszony „z polecenia" generał-gubernatora Beselera, czyli że przeto politycznym tezom prelegenta nadana została sankcja co najmniej półurzędowa. I to przez Beselera, który, jak wiadomo, nie należy do politycznej szkoły Hindenburga, szkoły bezwzględnych aneksjonistów, ale jest raczej politycznym mężem zaufania kanclerza Behmanna-Hollwega, sprzyjającego idei państwa niepodległego polskiego. O ile wszakże o Litwę chodzi, a przynajmniej o Litwę etnograficzną z Kurlandią, to zdaje się być ogólnym postulatem niemieckim dążenie do jej zaanektowania. Byliby oni może w pewnych warunkach skłonni do wyposażenia państwa polskiego na wschód w kierunku Białej Rusi – gub. grodzieńskiej i wileńskiej z Wilnem – ale nie ku Bałtykowi. To, zdaje się, coraz bardziej się konkretyzuje w niemieckim programie politycznym.
Po prelegencie zabrał głos generał-gubernator Beseler, osobistość oczywiście politycznie jak najbardziej odpowiedzialna, bo zajmująca najwyższe stanowisko władzy okupacyjnej niemieckiej w Polsce, osobistość na ogół dość popularna w Warszawie, bo w każdym razie porządna i bardzo taktowna, a zarazem wybitne imię mająca w tej wojnie – „zdobywca grodów", jak Beselera nazywają, bo zdobywca Antwerpii na zachodzie i Modlina na wschodzie. Beseler przemówienie swoje wygłosił stojąc i stojąc też, na znak uszanowania dla wysokiego mówcy, wysłuchało go audytorium. Zdaje się, że role między prelegentem profesorem Hallerem a generał-gubernatorem Beselerem były z góry podzielone. Profesor omówił zadania polityki niemieckiej na ziemiach północnego wschodu nad Bałtykiem w kierunku wybitnie aneksyjnym, nie tykając i nie wyszczególniając specjalnego tematu Polski. Natomiast generał-gubernator, ów najwyższy dostojnik i odpowiedzialny mąż polityczny niemiecki w Polsce, omówił w kilku rysach specjalnie temat Polski, stawiając go w odrębnej płaszczyźnie zadań i tym podkreślając antytezę linii niemieckiej względem Polski w stosunku do tej linii względem ziem nad Bałtykiem. Beseler przede wszystkim wyraził uznanie i podziękowanie dla prelegenta. Następnie stwierdził, że jesteśmy widzami w tej wojnie jednego tylko aktu dramatu dziejowego na wschodzie, który się na przestrzeni wieków toczy. Następnie powiedział mniej więcej w tym sensie: Łatwym i prostym jest zadanie kolonizacji w stosunku do biednych chłopów-rolników i rybaków („*Ackerbaner und*

Fischer" – miał tu na myśli oczywiście Łotyszów i Estończyków), ale o ileż inaczej wygląda wielkie zadanie, które się wobec Niemców otwiera tu, gdzie właśnie przed rokiem wielka i piękna kultura (to znaczy już kultura polska jako kultura i wartość odrębna, a więc coś zgoła innego, niż ci „biedni rolnicy i rybacy", pozbawieni jakiejś swoistej kultury) została przez Niemców wyzwolona spod dzikiego i barbarzyńskiego ucisku, który jej rozwój tamował; i tu wobec Niemców otwiera się szlachetne i wspaniałe zadanie, które jest ich cywilizacyjnym powołaniem z losu wypadków – dać tej kulturze podstawę i siłę, by mogła się ona rozwijać i kwitnąć (a więc przecie nie kolonizacja, jak względem kraju Łotyszów, i nie aneksja, ale zgoła co innego, domyślnie – państwo polskie). Wprawdzie Beseler nie postawił kropki nad i i nie dopowiedział ostatniego wyrazu „państwo polskie", co jest zrozumiałym koniecznym warunkiem rezerwy, płynącej z jego wysokiego stanowiska, ale jest też zupełnie wyraźnym jako logiczny wniosek ze słów jego. Na tym się wszystko skończyło, a niewątpliwie miało to pewien charakter politycznego oświadczenia programowych dążeń Niemiec tak względem ziem bałtyckich, jak Polski. Przemówienie Beselera było dość znamienne. W prasie jednak nie znalazłem nazajutrz żadnej o nim wzmianki, prawdopodobnie dlatego, że nikt ze sprawozdawców pism nie był na odczycie Hallera obecnym, gdyż wszyscy byli na obchodzie na stokach Cytadeli.

9 sierpnia, rok 1916, środa
Ułożyłem dziś nowy projekt rezolucji litewskiej, różniący się głównie budową od projektu, skierowanego w swoim czasie do CKN-u i szczegółowo tu w dzienniku omówionego. W zasadniczych tezach projekt ten jest zupełnie analogiczny do tamtego, tylko rozbity na krótkie zdania-tezy wewnątrz każdego z czterech jego punktów. Projekt ten wnoszę do Klubu Państwowców Polskich, załączając list do zarządu Klubu, w którym proszę o postawienie tej sprawy na porządku dziennym. W tymże liście zgłaszam moje wystąpienie z Klubu, wywołane w istocie uchwałą CKN-u o niedopuszczalności jednoczesnego należenia do obydwóch organizacji. W liście jednak podałem motyw ten, że w Warszawie zamierzam być tylko czasowo i że przeto czynnym członkiem Klubu być nie mogę, a wobec tego, zastrzegając o moim osobistym uznaniu dla celów i zadań Klubu, proszę o wykreślenie mię z listy członków. List ten z załączonym projektem rezolucji wręczyłem osobiście Władysławowi Studnickiemu, z którym już poprzednio zresztą mówiłem o zamiarze poruszenia sprawy litewskiej w Klubie Państwowców i któremu mój pierwszy projekt do CKN-u w swoim czasie już odczytywałem. Studnicki szczerze sprzyja szerokiemu omawianiu sprawy Litwy w kierunku łączenia jej z Polską, choć u niego to ma intencje imperializmu polskiego. W opinii i tendencjach Studnickiego, rozszerzenie państwowości polskiej na Litwę i zwłaszcza Białoruś, ale z tym, aby koniecznie weszła doń Kurlandia z ujściem na morze, i to konkretnie do granic Dźwiny i Berezyny – należy do najbardziej kategorycznych programowych postulatów państwowo-polskich, które on stawia nawet wyżej od związku Królestwa z Galicją. Uważa on, że gdyby Polska miała do wyboru Kraków czy Wilno, powinna raczej pragnąć Wilna, rezygnując z Krakowa, niż odwrotnie. Wypływa to u niego z frontu antyrosyjskiego, który stamtąd, od wschodu, widzi głównie niebezpieczeństwo i konieczność asekuracji, uważając, że ostatecznie Kraków zawsze kiedyś wróci do Polski i że cała nawet Galicja, pozostając w Austrii, nie jest przez to zagrożona. Studnicki, podobnie jak ja, uważa Litwę i Białoruś za klucz dla Rosji do Polski i uważa przeto za konieczność klucza tego ją pozbawić. Różnica między nami natomiast polega na tym, że on uważa Litwę za obiekt bierny, który może się stać tylko bądź rosyjskim, bądź polskim (względnie może niemieckim), podczas gdy ja w jej ludach i formacjach narodowych dostrzegam tworzący się ośrodek

samodzielnego rozwoju krajowego i samodzielnej woli twórczej i temu właśnie ośrodkowi – przez oderwanie kraju od Rosji i Niemiec – zapewnić grunt pragnę. Dlatego też Studnicki interesuje się głównie Białą Rusią, w której polonizację wierzy, podczas gdy ja nie mniejszą, a bodajże większą jeszcze wagę przywiązuję do Litwy etnograficznej, która jest tego ośrodka najmocniejszym jądrem. Studnicki powiada, że właściwie Litwę etnograficzną, jako taką, nie interesowałby się wcale, niechby sobie ją Niemcy zabrali, gdzie by się ona, jego zdaniem, zgermanizowała, gdyby nie to, że przez nią prowadzi droga do łączności z Kurlandią, to znaczy do morza. Ale z tego też względu Studnicki nie jest przeciwny uznaniu autonomii dla Litwy etnograficznej (naturalnie bez Wilna), uważając to nawet poniekąd za asekurację na rzecz usunięcia przeszkód do swobodnej ekspansji polskiej przez Wilno na Białoruś. Gorącym jest Studnicki rzecznikiem posiadania Litwy (Białej Rusi) przez Polskę i tej ekspansji – nie dla samej tylko ekspansji jako takiej, ale też dlatego, że uważa, iż kultura polska, zaszczepiona na podłożu litewsko-ruskim, wydaje typ duchowy tęższy i bogatszy od etnograficznie polskiego, bardziej twórczy i silny, który powinien stać się właściwym jądrem twórczym państwowości polskiej, coś tak, jak Prusy i typ pruski, typ szczepionki niemieckiej na podłożu ludów litewsko-słowiańskich w Niemczech. Na mój projekt rezolucji, który jest z mego stanowiska kompromisowy, Studnicki się godzi, uważając go za taktycznie dobry. Mniejsza dziś, moim zdaniem, o różnice założeń i celów następnych, byle tylko wyrwać Litwę od Rosji i uchronić ją od Niemiec. Boję się tylko, że Studnicki, który jest tak nieorganizacyjny i rozrzucony, gotów jeszcze albo zgubić mój projekt, albo w nawale tysięcy innych szerokich zamiarów utopić jego wykonanie. A bardzo mi chodzi o to, aby wszedł na obrady i w tej albo jakiejś innej zmienionej formie został przyjęty i to bez wielkiej zwłoki. Do Ligi Państwowości Polskiej także wniosłem mój projekt rezolucji, jednobrzmiący z wniesionym pierwotnie do CKN-u. Tam mój projekt ma przeciwnika przede wszystkim w Ludwiku Abramowiczu, który stoi kategorycznie na stanowisku W. K. Litewskiego jako jednostki państwowej, mogącej być tylko niepodzielnie łączonej unią z Polską, aczkolwiek u niego ta idea Wielkiego Księstwa nie wypływa bynajmniej z uznania dla ludowych procesów narodowych na Litwie i chęci zapewnienia im rozwoju, jeno właśnie budowana jest w myśl utrwalenia podłoża państwowego dla Polaków litewskich jako tych, którzy, jego zdaniem, będą tego państwa gospodarzami i używcami. Ludwik uważa moje ustępstwo ze stanowiska państwowego W. Księstwa za ciężki grzech, wywołany pokusami nierealnego demokratyzmu i iluzji ludowych, a bodajże jeszcze bardziej tajnym sprzyjaniem specjalnie nacjonalizmowi litewskiemu. *Contra* memu projektowi wygotował on dla Ligi PP swój własny projekt, dość bezbarwnie zredagowany i zakończony ogólnikiem o unii. Jednak, jak mię dziś Ludwik poinformował, i jego projekt został przez Ligę odrzucony, zarówno jak mój. Wczoraj właśnie była ta rzecz w Lidze omawiana. Mnie do uczestnictwa w tych obradach nie dopuszczono dlatego, że należę do CKN-u, to znaczy organizacji politycznej, zajmującej odrębne od LPP stanowisko. Zdawałoby się, że dla omawiania sprawy litewskiej mógłbym być dopuszczony w charakterze rzeczoznawcy bez względu na ogólne różnice programowe CKN-u z LPP, ale w Lidze uważano to inaczej. Otóż, jak wiem od Ludwika Abramowicza, Liga uznała, że zarówno mój, jak Abramowicza projekt rezolucji grzeszy „brakiem historycznego uzasadnienia” i postanowiono opracować i przyjąć inny projekt, który by wyciągał wnioski o stosunku sprawy polskiej do Litwy z historycznych przesłanek. Ano – niech sobie tak tworzą, jeżeli to im się więcej podoba; mnie chodzi w pierwszym rzędzie o to, aby się organizacje polityczne polskie wypowiedziały – oczywiście tak, jak w pierwszym rzędzie same tę rzecz przyjmują. Ale, swoją drogą, pomysł jakiegoś specjalnie historycznego uzasadnienia

tego stosunku wydaje mi się dla pożytku sprawy ujemnym. Bo „historyczność” jest tu pojmowana bardzo jednostronnie, mianowicie z dziejów państwowości li tylko b. Rzeczypospolitej, kiedy to ewolucje tej państwowości były wyrazem szlacheckiego wyłącznie społeczeństwa, przez co zapoznaje się nowe procesy ludowe, w w. XIX przez demokrację wyłonione i coraz to czynniejsze, coraz bardziej twórcze w rozwoju krajowym. Bez ich uwzględnienia budowanie czegoś jest jałowe, a samo tylko tzw. „historyczne” stanowisko budzi z konieczności nieufność i niechęć ludowych, a więc litewskich i białoruskich, a poniekąd i demokratycznych polskich czynników na Litwie. Może to się stać zamiast drogą do zgody i porozumienia, jeno drogą do nieporozumień. Zresztą poczekajmy na tę rezolucję LPP.
Nie zdążę już dzisiaj napisać ani o posiedzeniu Delegacji, na którym dziś wieczorem LPP przedstawiła swój program, ani o bardzo ciekawych listach, których całą garść wczoraj otrzymałem, ani o zamierzonym, a bardzo oczekiwanym przeze mnie przyjeździe Maryńki do Warszawy, o czym bym też chciał napisać. Brak miejsca, a teraz każdy kawałek miejsca jest dla mnie w dzienniku niezwykle cenny, bo do pisania mam olbrzymią moc materiału ciekawego i godnego zanotowania i tylko drobną cząstkę w dzienniku umieścić jestem w stanie.

10 sierpnia, rok 1916, czwartek
Ponieważ niektórzy radzili mi, abym spróbował wnieść sprawę litewską na obrady także prawicy, to znaczy Koła Międzypartyjnego, mówiąc, że i tam znajdą się elementy przyjazne idei związku z Litwą, więc, choć osobiście mam duże pod tym względem wątpliwości, postanowiłem nieco się w tej sprawie zorientować. O ile chodzi o elementy wyraźnie moskalofilskie na prawicy, to na te nie liczę wcale, bo nie można jednocześnie pragnąć związku z Rosją oraz o nią sprawę polską opierać i do Litwy mieć jakieś aspiracje. Moskalofilstwo musi się od Litwy odwracać, przenosząc punkt ciężkości na zachód, na Poznańskie, na Śląsk, na zabór pruski aż het pod Gdańsk. Ale nawet tzw. niepodległościowe elementy na prawicy wydają mi się pod tym względem wątpliwe, bo nie wystawiają kategorycznego frontu antyrosyjskiego, a ten właśnie jest głównym bodźcem i uzasadnieniem programu związku z Litwą. Bądź co bądź, chciałem rzecz wymacać. Poszedłem więc dziś do p. Rukowieckiego, adwokata, ślepego. Jest to człowiek, który należy do Koła Międzypartyjnego; sam jest bezpartyjny, niegdyś był długoletnim członkiem Ligi Narodowej i Narodowej Demokracji; jest to porządny i uczciwy człowiek, a przede wszystkim szczery. Jako bezpartyjny i szczery, wolny od „*arriére-pensée*”, mógł mię najlepiej poinformować, a zarazem rozmowa z nim najmniej mię angażowała. Nie bardzo się wprawdzie palił do moich zamiarów, bo zresztą nie zna mię wcale i nic o mnie nie wie, a o Litwie też ma, jak wymiarkowałem, „zielone pojęcie”, w którym jedynym punktem wyraźniejszym jest sympatia i wiara w polonizację Białej Rusi Zachodniej, jednak na ogół wyrażał się o takiej akcji życzliwie; sam się żadnej inicjatywy nie podejmował, z czego się nawet raczej cieszyłem i radził mi zwrócić się z tym ewentualnie do p. Zygmunta Chrzanowskiego, który jest, zdaje się, prezesem sekretariatu Koła Międzypartyjnego i człowiekiem rozumnym. Zastanowię się jeszcze nad tym, bo, jak powiadam, nie bardzo sobie zdaję sprawę, jak można by postawić sprawę Litwy w Kole Międzypartyjnym, tak różnorodnym i zwłaszcza pozbawionym frontu rosyjskiego. Od Bukowieckiego dowiedziałem się trochę szczegółów o Kole Międzypartyjnym. Jednak jego hasłem jest niby idea niepodległości, choć naturalnie tylko w najbardziej ogólnikowej formie, nie przesądzającej form jej spełnienia ani dróg działania. Dowiedziałem się, że w ostatnich czasach, poniekąd pod wpływem Delegacji Wszechpartyjnej (owej *quas*i-konsolidacji) ujawniła się w Kole Międzypartyjnym tendencja do skonsolidowania się wewnętrznego

i przetworzenia się z luźnego zbiorowiska w organizację programową i jednolitą, czemu osobiście Bukowiecki jest przeciwny. Tym wszakże programowym cementem organizacyjnym byłby pasywizm w przeciwstawieniu do aktywizmu CKN-u i LPP, stanowisko biernej rezerwy, nie angażującej się w żadną akcję na rzecz konkretnej polityki, dopóki rozwój wypadków nie ujawni i nie skrystalizuje jakichś ścisłych możliwości do przesądzenia sprawy polskiej. Tymczasem dość o tym.
Przejdę teraz do zgoła innej rzeczy – do listów, które otrzymałem pozawczoraj. Ponieważ, prócz nielicznych listów, które otrzymuję tu z Wilna w języku niemieckim, całą moją korespondencję otrzymuję nadal przez Piotrków, więc zwykle co pewien czas przychodzi tu od razu przy okazji departamentowej z Piotrkowa cała kupka listów naraz. Taką właśnie korespondencję otrzymałem pozawczoraj, a była ona szczególnie tym razem ciekawa. W pierwszym rzędzie było kilka listów z Legionów, od Grzmota i od Wiktora Wąsowicza z linii oraz od Marka Różyckiego, rannego w szpitalu w Krakowie. Poza tym były aż trzy naraz listy od Kotuni Pruszanowskiej, pisane z Mińska, przysłane, jak zwykle, za łaskawym pośrednictwem pp. Żalplachty z Bukaresztu i Róga z Krakowa. Te listy – to „*clou*” mojej korespondencji. Pierwszy z nich, najwcześniejszy, pisany w końcu kwietnia z życzeniami z okazji rocznicy moich urodzin, najmniej ciekawy. Dwa inne, pisane już w początku czerwca, po otrzymaniu mojego listu, pisanego do Kotuńki w kwietniu. W liście tym już donosiłem Kotuńce o Papie, o Maryni, o Elizce i Zysiu Komorowskich. Otrzymanie tego listu było tam naturalnie epokowym faktem, bo dało im pierwsze wiadomości o rodzinie najbliższej, od której są oni tam odcięci kordonem wojennym. A tymczasem, jak wiem z pocztówki Kotuni, pisanej w marcu, krążyły już tam takie dziwaczne plotki, wyssane z palca, jak ta, że rzekomo Papa umarł, co głosili tam plotkarze Rosenowie, bawiący na tułaczce. Radość tam wielka z otrzymania mego listu. Naturalnie, że jak gruchnęła tam wieść w bliższej i dalszej rodzinie o tym, że Kotunia może się ze mną skomunikować i że ja jestem w kontakcie z tymi członkami rodziny, którzy pozostali na terenie okupacji niemieckiej, to natychmiast posypały się polecenia od różnych osób przeze mnie do różnych osób tu; listy Kotuńki są pełne tych poleceń, mniej więcej w ¾ swojej treści; naturalnie, że wszystkie te zlecenia spełnię z największą przyjemnością i ścisłością, rozumiejąc, że świadczenie takich usług jest w tych czasach obowiązkiem. Ta korespondencja z Kotuńką, mająca w sobie coś bajecznego, jest bardzo wielką przyjemnością tak dla mnie, jak dla niej. Oni tam z pewnością nie wiedzą, gdzie jestem, i przypuszczają zapewne, że siedzę gdzieś może w Rumunii, a już na pewno nie domyślają się, że byłem w Legionach i to bezpośrednio liniowym żołnierzem. Będę musiał w następnym liście dać im w jakiś zręczny sposób do zrozumienia, że byłem w Legionach na linii i że w obecnej chwili jestem w Warszawie. Co zaś do Kotuńki, to mieszka ona w Mińsku i nie tylko że nie wybiera się na lato do Bielcza, ale jeszcze i najmłodsze dzieci na lato do Mińska sprowadza. Z różnych wiadomości z listu Kotuńki zanotuję tylko to, że Jurek Römer, brat Reginy, i Henryś Wołłowicz wstąpili do szkoły kawaleryjskiej. Zapachniało im oficerstwo moskiewskie – smutna to wiadomość. Oby lepiej byli zwiali i do Legionów naszych raczej wstąpili. Zresztą – to są trupy. Wreszcie wśród tej korespondencji był jeszcze list z NKN-u, od dr Golińskiego, który mię znowu prosi o informacje „głównie z punktu patriotycznego” co do osoby owego zacnego i biednego pułkownika (czy może kapitana, bo tak go Goliński nazywa) Bykowskiego, który, będąc na służbie czynnej rosyjskiej i chcąc się do Legionów dostać, poddał się do niewoli i siedzi dotąd w obozie jeńców wojskowych w Niemczech, ponawiając wciąż na próżno starania o zwolnienie go i przyjęcie do Legionów lub do c. k. armii austriackiej. Pisałem już o nim w dzienniku i pisałem też, zdaje się, że ku zgorszeniu memu c. k. Komenda Legionów w swoim czasie odmówiła przyjęcia go do Legionów,

na co ja zareagowałem gorącą listowną interwencją do wiceprezesa NKN-u Jaworskiego. Jaworski nic mi nie odpisał i zapewne nie zajął się tym wcale, a oto teraz z NKN-u znowu zwracają się z tym do mnie – nie wiem już, po raz który. Co to za niedołęstwo i zarazem co za krzywda dla biednego Bykowskiego. Teraz za to ponowię energicznie moje w tej sprawie zabiegi. Przedstawiłem wczoraj tę rzecz bawiącemu tu jeszcze Daszyńskiemu, który się tym zainteresował i obiecał interwencję. Napiszę też do Józefa Piłsudskiego bezpośrednio, aby on swym wpływem podziałał, a Piłsudskiemu taki typ Litwina, jak Bykowski, spodoba się, odpiszę do dr Golińskiego, napiszę do Stanisława Dawnarowicza, przez którego ręce do Jaworskiego pisałem, wreszcie przedstawię tę rzecz Michałowi Łempickiemu, który ma, zdaje się, w tych dniach jechać do Berlina dla bezpośredniego uregulowania sprawy wyodrębnienia jeńców-Polaków w Niemczech w realne obozy, na co Niemcy się zgodzili i co ma ogromne znaczenie dla pewnych ewentualności Sprawy Polskiej, gdyż w razie tworzenia armii narodowej śród tych jeńców można znaleźć nieraz pierwszorzędny materiał wojskowy.

11 sierpnia, rok 1916, piątek
Coś dawno nie otrzymuję listu od Maryńki. Tak przywykłem mieć od niej listek co jakieś 3-4 dni, że teraz, gdy upłynęło koło tygodnia bez listu od niej, jestem trochę niespokojny. Nie tyle o nią samą, ile o jej przyjazd do Warszawy. W przedostatnim bowiem liście moim, na jej zapytanie, czy chcę, aby ona, wobec odmowy mi przez Niemców pozwolenia na wyjazd do Wilna, sama przyjechała do mnie, odpisałem jej, że może nie warto, bo szkoda kosztu. List ten Maryńka musiała otrzymać i już od trzech dni mogłem mieć od niej na ten list odpowiedź. Tymczasem odpowiedzi żadnej nie mam. Ja zaś zaraz po napisaniu tego listu, gdym się zaczął więcej zastanawiać nad kwestią jej przyjazdu i gdy jeszcze otrzymałem od niej kartkę, że już podanie o pozwolenie wniosła, gorąco zapragnąłem jej przyjazdu i dla osobistej przyjemności, i dla dania jej pewnych poleceń do Wilna, ewentualnie przesłania przez nią pewnych rzeczy (umyślnego memoriału do Litwinów i Białorusinów, który bym wygotował). Lękam się, żeby Maryńka, po otrzymaniu tamtego listu mojego, nie zrezygnowała z jazdy, a sama może, zmartwiona, na razie zamilkła. Wprawdzie przed 9 dniami wysłałem drugi list, w którym gorąco ją o przyjazd proszę, ale żeby tylko ona przedtem nie cofnęła swego podania o przepustkę. Niepokoję się tym. Gorąco pragnę jej przyjazdu i dużo sobie po nim obiecuję. Co to będzie za radość! Przypuszczam, że Niemcy jej na przyjazd do Warszawy pozwolą. Byle tylko przyjechała!
Z „flotą" u mnie coś nie arcydobrze. Maryńka dotąd nie przysłała mi tych 50 rb., które jeszcze z moich pieniędzy pozostały u niej i o które ją przed dwoma tygodniami prosiłem. Odpisała mi wtedy, żebym trochę zaczekał, bo chwilowo nie ma, a że może dzieci jej, wracając z Bohdaniszek, coś od Papy przywiozą. Było mi już bardzo krucho, ale oto Edward Słoński trochę mię poratował, radząc mi zgłosić się o zapomogi zwrotne do Towarzystwa Literatów i Dziennikarzy i do Kasy Literackiej. Za jego poradą wniosłem podanie do pierwszego o 100 rb. i do drugiej – o 200 rb. W Towarzystwie Literatów udzielono mi i rozłożono na dwie raty po 50 rb. Do Kasy Literackiej też wniosłem podanie, ale jeszcze rezolucji nie mam. Lękam się, żeby mi tam sumy proszonej nie okroili do jakiegoś drobiazgu. Te pieniądze – to jedyna moja nadzieja, bo nie wiem, czy Papa będzie mógł mię nadal sukursować. Z Towarzystwa Literatów już pierwsze 50 rb. podjąłem, ale już się one kończą, a już poprzednio i mój łańcuszek złoty od zegarka zastawiłem w lombardzie za 20 rubli. W Bogu nadzieja, że jakoś koniec z końcem będzie się wiązał. Wszystko tu strasznie drogie. I w ostatnim liście do Kotuńki prosiłem o przysłanie choć ze 100 rubli, ale kiedy tam się tego doczekam – chyba za kilka miesięcy! Gdybyż to Papa okazał się teraz zasobny w pieniądze i mógł mi

należyty sukurs zapewnić! Zresztą – Bóg mię poprowadzi, jak prowadził dotąd. Byleby spełniać to, co mi głos sumienia, rozumu i wiary mojej dyktuje za miłości ludzkiej dzieło, a więc i za wolą Boską, a reszta sama się znajdzie.
Przechodzę do sprawozdania z posiedzenia Delegacji Wszechpartyjnej, które miało miejsce we środę w Resursie Obywatelskiej. Przewodniczył Grendyszyński. Z Koła Międzypartyjnego przyszło bardzo mało osób. Za to CKN i LPP były licznie reprezentowane. Zebranie było poświęcone tym razem Lidze Państwowości Polskiej. Zachodziło niebezpieczeństwo, że dyskusja rozwinie się tylko między CKN-em a LPP i może się rozognić do agresywnych sporów, czemu się prawica z rozkoszą przyglądać będzie, zacierając ręce, że oto dwa odłamy antyrosyjskiego aktywizmu żrą się między sobą, wyczerpując swoją energię na porachunki wewnętrzne i już nie tylko na spieranie się o metody, ale na nienawiść nawet. Byłoby to widowisko gorszące, a trzeba przyznać, że w obu odłamach są istotnie elementy, które gotowe są przesadzać w zacietrzewieniu sporów wzajemnych i bodajże za większego wroga uważać CKN, *respective* LPP, niż całkiem wrogich im prawicowców. Ale LPP, jako umiarkowańsza w temperamencie, nie dałaby się tak łatwo unieść, jak mogliby się unieść niektórzy CKN-owcy. Że LPP umie się poskromić, tego dała dowody na poprzednim posiedzeniu, gdy przy omawianiu programu CKN-u pary z ust nie puściła, co zresztą też nie było dobre, bo czasem milczenie jest zbyt wymownym przeciwstawieniem się. Zdaje się, że rezerwa LPP nie tylko z umiarkowańszego temperamentu wypływa, ale także z tego wyczucia, że z dwojga raczej CKN mógłby w napaściach na LPP budzić pewne oddźwięki sympatii na prawicy, niż odwrotnie. LPP czuje się i istotnie jest w Delegacji bardziej osamotniona, niż CKN, i to poczucie osamotnienia, poczucie słabości i niepopularności swojej pęta jej aktywizm i skłania do trzymania się na stanowisku obronnym, w pewnej rezerwie niedomówień i poniekąd maski. Raczej boi się ona agresywizmu CKN-u, któryby mógł ją do muru przycisnąć i jeszcze bardziej osamotnić, a przeto osłabić, niż żeby sama agresywną być miała. A w CKN-ie nie brak takich elementów gwałtownych i wyłącznych, szydzących stronniczą ciasnotą i namiętnością, agresywnych, zacietrzewiających się, jak Szpotański, Dębski, Dunin i inni. Dojrzalsze elementy, jak Artur Śliwiński, Kempner, Kunowski, zapewne też Czarkowski, Lutomski, a nawet Medard Downarowicz, który skądinąd jest szczególnie skłonny do flirtu i iluzji kompromisowych w kierunku prawicy a kosztem Ligi, zdawały sobie sprawę z konieczności zachowania jednak, pomimo różnic, dzielących nas od LPP, pewnego jednak bądź co bądź solidaryzmu z nią wobec prawicy, nie dopuszczającego do bezwzględnego li tylko użerania się wzajemnego pod okiem tejże. Całkowicie jednak nie dało się uniknąć pewnych gorszących momentów wzajemnego zatargu. Z ramienia LPP referował jej program – Grotowski i on też w dalszym ciągu odpowiadał w imieniu LPP w dyskusji; podziwiałem karność w LPP. Jeden Grotowski przemawiał – inni milczeli. Wyrwał się tylko raz z jakimś krótkim szczegółem Ludwik Zieliński i na samym końcu Ludwik Abramowicz, ale całą właściwie rzeczową obronę stanowiska LPP prowadził całkowicie i wyłącznie Grotowski. I trzeba przyznać, że prowadził dobrze i okazał się bardzo dobrym dialektykiem. A zadanie miał ciężkie, bo otoczony był niechęcią i nieufnością zarówno prawicy, jak lewicy i musiał nieraz unikać podstępów, jakie były zwłaszcza w prokuratorskich zapytaniach Zbrowskiego (ze Stronnictwa Narodowego), usiłujących zdemaskować grunt państwowo-austriacki LPP i jej stosunek podporządkowania się NKN-owi galicyjskiemu. Miało się przykre wrażenie poniekąd jakby jakiegoś egzaminowania ucznia, jakiejś indagacji prokuratorskiej, zwłaszcza, powtarzam, w metodzie przez Zbrowskiego użytej. Ze strony CKN-u, a zwłaszcza tych jego gwałtowniejszych elementów, było mniej

egzaminowania, ale za to więcej demaskującej i nieraz przesadnej w zarzutach i insynuacjach krytyki.

12 sierpnia, rok 1916, sobota
Moskale zajęli Stanisławów. Pomimo wszystko, ofensywa rosyjska wstrzymana nie została i ciągle to tu, to tam posuwa się po trosze. Postępy jej na ogół są nieznaczne, ale bądź co bądź front południowo-wschodni jest nadal zagrożony i kurczy się. Zajęcie Stanisławowa jest rzeczą ciężką. Jest to nie tylko znaczniejsze miasto, ale i ważny punkt węzłowy. Lwów staje się coraz bardziej zagrożony. Front wschodni jest obecnie podzielony między Hindenburgiem, który ma dowództwo od Bałtyku aż do Galicji, i arcyksięciem Karolem w Galicji i na Bukowinie. Austria wytargowała, że część frontu zostawiono w jej formalnym dowództwie. Sytuacja wojenna Austrii w ogóle przedstawia się nędznie. Włosi też jej cięgi dają; świeżo zdobyli Gorycję. Wojna bynajmniej do jakiegoś przesilenia i kategorycznych pozycji nie doszła. Mniej może, niż kiedykolwiek, można mówić o pokoju jako o możliwości dojrzałej, zgotowanej wypadkami wojennymi. Wypadki te nic dotąd w kierunku pokoju nie przesądziły. Sprawa polska, jak się mogło w ostatnich dniach zdawać, znów weszła w stadium decydujące na obradach, które się toczyły w Wiedniu między Bethmannem-Hollwegiem a baronem Burianem. Atoli z ostatnich wiadomości, które tu głosi wiceprezes galicyjskiego NKN-u Jaworski, bawiący od paru dni w Warszawie, a o których ja wiem, z LPP, gdzie Jaworski referował o sytuacji, Austria sprzeciwiła się przesądzaniu obecnie sprawy polskiej i sprawa ta znów odłożona została.
Wracam teraz do sprawozdania ze środowego posiedzenia Delegacji. Referował, jak mówiłem, Grotowski o programie LPP. Referat ten był zresztą pełny niedomówień. Przede wszystkim, Liga bardzo starannie maskowała swoje austrofilstwo, przedstawiła się jako stronnictwo niepodległościowe. Uwydatniła, że dążeniem jej jest państwowość polska, którą, jako budowaną na froncie antyrosyjskim, opiera o mocarstwa centralne. Grotowski unikał starannie wykształcenia tezy o związku z Austrią jako postulacie programowym LPP, choć wiadomo, że to jest właśnie najistotniejszym postulatem politycznej koncepcji Ligi. Podkreślał wprawdzie, że niezależność jest ściślejszym przymiotnikiem państwowości, niż popularny wyraz niepodległość i że przy budowaniu państwa więcej o tę istotną niezależność, niż o formalną niepodległość chodzić powinno, ale wyraźnych wniosków programowych stąd nie wysnuł (jak wiadomo – Liga uważa, że w łonie monarchii habsburskiej Polska, utworzona ze zlania Królestwa z Galicją, z konieczności posiądzie stanowisko prawno-państwowe, które w ustosunkowaniu do Austrii będzie posiadało faktycznie większą moc, większe wpływy, a przeto i faktyczną „niezależność", niż jakieś buforowe „niepodległe" państewko, utworzone z Królestwa, które będzie faktycznie zależne od Niemiec, ale nikłość szans do zrealizowania takiego związku z Austrią i niepopularność takiej koncepcji – zmusza Ligę do maskowania swych dążeń). Przeciwnie – Grotowski zaznaczał kilkakrotnie, że sposób wykonania tej państwowości z jej niezależnością nie jest w Lidze przesądzony i będzie zależny od różnych koniunktur, jakie się jeszcze w związku z wojną wytworzą. Bardzo też oględnie formułował stosunek Ligi do NKN, nie przyznając naturalnie, żeby Liga była NKN-u narzędziem lub programową ekspozyturą, czym w dużym stopniu jest, i stwierdzając to jedno, że w NKN-ie widzi konsolidację narodową Galicji, a więc organ nie jakiegoś programu partyjnego, ale całej dzielnicy, który, jako taki, ma autorytet, ku czemu i w Królestwie dążyć należy. Dalej Grotowski położył wielki nacisk na tzw. polski legalizm państwowy jako jedną z kardynalnych metod taktycznych Ligi w budownictwie państwowym. Legalizm ten polega na tym, że Liga uznaje bez zastrzeżeń wszystkie takie fakty, względnie organy i formy w życiu polskim,

w których się już konkretnie streszczają pewne atrybuty czy choćby tylko embrionalne zapoczątkowania państwowe; uznając je za takie i ceniąc w nich ten moment państwowy, Liga nie pozwala sobie na ich zwalczanie pod żadną postacią i lojalnie się do nich, jako takich, stosuje. W szczególności dotyczyło to takich instytucji, jak Komitety Obywatelskie w Królestwie, jak obecnie Rady Opiekuńcze i Komitety Ratunkowe, w których zawarty jest autorytet publiczno-prawny, jak nawet taka Macierz Szkolna, mimo że instytucje te są w ręku nieraz elementów, które Liga skądinąd na polu politycznym zwalcza, jak dalej organy NKN-u i w szczególności w stosunku do Legionów Departament Wojskowy, tworzący obywatelską instytucję kierownictwa Legionów. Co do Legionów samych – to Liga traktuje je nie za czynnik polityczny, jeno za czyn polski w sferze militarnej, tworzący jeden z kardynalnych momentów państwowości. Tak wyglądało mniej więcej „*exposé*” Ligi. Rozpoczęła się dyskusja. Rozpoczął ją ze Stronnictwa Narodowego Zbrowski, który szeregiem konsekwentnych, ale jadowitych pytań w stylu prokuratorskim usiłował przycisnąć Ligę do muru, aby z niej wycisnąć przyznanie się do austrofilstwa, do gruntu „państwowości austriackiej” i do roli ekspozytury NKN-u.
Grotowki bronił się jednak niemniej zręcznie pod względem dialektycznym i wydusić z siebie nic takiego, co by mogło zaprzeczyć niepodległościowemu w zasadzie stanowisku Ligi, nie dał. Jeszcze ktoś taki wystąpił z prawicy, zadając pytanie, czy i jak stanowisko Ligi jest przygotowane na inne ewentualności wojny, niż zwycięstwo mocarstw centralnych, aby w tych innych ewentualnościach także postulat państwowości mógł być zastrzeżony, zważywszy, że wojna przecie dotąd przesądzona nie jest. Na to Grotowski odparował bardzo mądrze, dając w tym wypadku wyraz całego obozu frontu antyrosyjskiego, stwierdzając, że państwowość polska wypływa tylko na porażce Rosji jako jej elementarnym założeniu i może być wyłącznie na froncie antyrosyjskim budowana i że przeto ewentualność zwycięstwa Rosji nad mocarstwami centralnymi i powrót Rosji do Polski – byłyby kategoryczną porażką programu państwowości polskiej, a więc o żadnej asekuracji na ten wypadek mowy być nie może. Poza tym, z prawicy wystąpił jeszcze raz w toku dyskusji moskalofil Sołtan, który zwrócił się zarówno przeciwko Lidze, jak CKN-owi, stojąc w uprawianej przez moskalofilów obecnie roli maksymalistów niepodległościowych, przypominając znowu o zaborze pruskim i przeciwstawiając Legionom jakiś maksymalistyczny ruch zbrojny, który rzekomo gdzieś siedzi w zanadrzu i czeka tylko momentu, aby móc wystąpić na wszystkie fronty, absolutnie wolny i czysty od wszelkiego o kogokolwiek bądź oparcia się! Poza tym, dyskusja toczyła się między CKN-em a LPP, jak jutro skończę.

13 sierpnia, rok 1916, niedziela
Otrzymałem list od Maryńki. Zawiadamia mię, że wysyła mi 100 rubli. Cieszy mię to, bo już ledwo dyszę z braku pieniędzy. Dziwię się tylko, że dotąd tych 100 rb. nie otrzymałem, bo miały być wysłane we wtorek, a zwykle idą prędzej od listu, gdyż przez cenzurę nie potrzebują przechodzić. Pieniądze te ma Maryńka pożyczone od Zysia Komorowskiego. Papa ma przysłać dopiero wtedy, gdy Niemcy opłacą kwity rekwizycyjne za zboże. Dzieci Maryńki wróciły już z Bohdaniszek z wakacji. Przywiozły stamtąd jakieś przykre wiadomości. Podobno nad Papą zapanowała jakaś Apolonia, która jest w Bohdaniszkach kucharką. Czyżby to miałaby być kochanka Papy? Z listu może się tak zdawać. Przykra by to była wiadomość, bo u takiego starego, jak Papa, kochanka jest tylko narzędziem dla niego – rozpusty i błaznowania się, a dla niej – intrygi i wyzysku materialnego. Ze starcami jednak wszystko jest możliwe, tym bardziej, że Papa wykazuje ciągle coraz większy pociąg do erotyzmu. Starczy erotyzm – to plaga, od której się trudno obronić; człowiek staje się jej niewolnikiem, a kaprysy

jej są nieobliczalne. Papa podobno stał się tak ciężki dla otoczenia, że już nasz stary lokaj Kazimierz Jankowski nie może dłużej wytrzymać i odchodzi. Trudno sobie przedstawić Bohdaniszki bez Kazimierza. Kazimierz odchodzi – brzmi to prawie nieprawdopodobnie. Służył on jeszcze przed moim narodzeniem. Ale jak musiał mu już Papa dokuczyć, jak ciężkim zrobić pobyt, jeżeli Kazimierz, stary, oswojony ze wszystkimi dziwactwami Papy, po czterdziestu kilku latach służby – odchodzi, nie zmuszony chorobą, bez doczekania się łaskawego chleba, który by tam został z pewnością przez spadkobierców Papy przyznany! Zresztą wcześniej czy później, choćby Kazimierz odszedł, będzie mu przez nas, o ile tylko po najdłuższym życiu Papy do Bohdaniszek przyjdziemy, chleb już nie łaskawy, ale zasłużony – przyznany. Przykre to są rzeczy. Jaki los tych zacnych starych sług, wiernych i kochających a kochanych, pomimo ich usterek, pomimo wad ludzkich, które mają! Biedna poczciwa Emilka Kligysowa w niełasce, Kazimierz odchodzi jak grat niepotrzebny, obarczony pewno niezadowoleniem Papy, Sokołowski, który przez lat już przeszło 20 służy za parobka, nie dosłużył się żadnych względów wyższych, wyróżniających go z gromady innych parobków, zmieniających się z roku na rok!
Z listu Maryńki o Bohdaniszkach widzę, że nie najlepiej się tam dzieje. A i bliskość linii frontu, postoje wojsk niemieckich itd. musiały się dać we znaki. W domu podobno brudno i niechlujnie, cały dwór zanieczyszczony; z moich rzeczy w moim pokoju podobno dużo jest strat, mimo że Kazimierz, co mógł, to pochował. Bliskość linii w naszych stronach daje się wyczuwać; pobudowano dużo kolejek konnych; między Bohdaniszkami a Rakiszkami trzeba trzykrotnie tor tych kolejek przecinać. W Bohdaniszkach we dworze i w lesie straty są znaczne. Ha, co robić! Wojna! Obecnie jednak, jak pisze Maryńka, żadnych wojsk w Bohdaniszkach nie ma.
Wrócę znów do „egzaminu" Ligi Państwowości Polskiej na środowym posiedzeniu Delegacji Wszechpartyjnej. Główna dyskusja rozegrała się między Ligą a CKN-em. Rozpoczęli ją Medard Downarowicz, Artur Śliwiński i redaktor Kempner. Ci jednak, a zwłaszcza dwaj ostatni, zachowali duże umiarkowanie i takt. Zaznaczyli przede wszystkim na wstępie, że łączy Ligę z CKN-em w pierwszym rzędzie front antyrosyjski oraz uznanie tej zasady, że tylko aktywizm może być skutecznym do osiągnięcia narodowych postulatów i że tylko te narody, które wolą i czynem zaważą na szali, mogą w tej katastrofie liczyć na coś, inaczej bowiem, bez tego, będą ćwiartowani i operowani jak rzecz martwa; te elementy są wspólne CKN-owi z Ligą i zarazem kategorycznie odseparowują je od całej prawicy, osiadłej na bezwładzie. Stwierdzenie tej wspólności aktywizmu antyrosyjskiego było konieczne nie przez wzgląd tylko na kurtuazję wobec Ligi, ale też dla zastrzeżenia tej płaszczyzny aktywistycznej, w jakiej, w wyodrębnieniu od prawicy, toczy się spór między Ligą a CKN-em. Niestety – wielu innych mówców CKN-owych, jak Szpotański, Dunin, stary Aleksander Dębski, potem także Medard Downarowicz nie zachowywali już tych zastrzeżeń i w polemice z Ligą dali się unosić namiętności, ku uciesze prawicy, wnosząc tony nienawiści i lekceważącej pogardy dla przeciwnika i nie wyczuwając zapewne, jak w tych ciosach łączyli się milcząco z nimi ich i całego aktywizmu najwięksi wrogowie. Trzeba było uwydatnić różnice programowo-taktyczne CKN-u a Ligi, trzeba było przycisnąć Ligę do muru, aby wyjąkała o sobie to, co niedomówieniem osłonić pragnęła, trzeba było wreszcie wykazać polemiczne błędy i ujemne strony jej akcji, ale „*c'est le tou qui fait la chanson*" i zwłaszcza – bez insynuacji. Z merytorycznego toku dyskusji najplastyczniej wypłynęły główne bolączki sporu między Ligą a CKN-em i zarazem te, które właśnie w akcji Ligi są najszkodliwsze, choć w istocie są tylko logicznym taktycznym wykładnikiem jej zasadniczego postulatu, w austrofilstwie i ślepym ekspozyturowym naśladownictwie NKN-u tkwiącego. Liga tych austrofilsko-NKN-owych założeń

swoich usilnie się wypierała, maskując je do końca, toteż jej taktyczne stanowisko w stosunku do Departamentu Wojskowego, Legionów i kwestii werbunkowej nie miało wyrazistości logicznej, motywowane było nieszczerze i jeszcze bardziej swą wadliwością raziło. W stosunku do Departamentu Liga motywowała swoje stanowisko tzw. „polskim lojalizmem państwowym" oraz uznaniem w nim charakteru prawowitej obywatelskiej władzy nad Legionami. Gdy zaś zwrócono jej uwagę na Konferencję Pułkowników jako wyraz bezpośredni dążeń samych Legionów i na ostatni memoriał tejże Konferencji do austriackiej Naczelnej Komendy Armii z żądaniem wyodrębnienia Legionów w osobną pomocniczą formację, całkiem indywidualną, żądaniem, popartym tezą konieczności rozwiązania Legionów w przeciwnym razie, i gdy wskazano Lidze na to, że prąd do unarodowienia Legionów, do odaustriaczenia ich z samego łona Legionów idzie, czemu właśnie Departament, zależny od Komendy Austriackiej, przeszkadza, Liga, broniąc Departamentu, doszła do zaprzeczenia Legionom prawa posiadania jakiejś politycznej idei, a Konferencję Pułkowników zanegowała, uznając to li tylko za prywatne opinii kilku ludzi. Broniąc Departamentu przeciwko wewnętrznym prądom z samych Legionów i odmawiając tym prądom prawowitości – doszła Liga do uznania słuszności już nie tylko Departamentu, ale i c. k. Komendy Legionów władzy, dając przez to sankcję dla całkowicie austriackiej formie Legionów.

14 sierpnia, rok 1916, poniedziałek
Zdaje się, że konflikt miedzy Ligą Państwowości Polskiej a Centralnym Komitetem Narodowym nie tylko się będzie ideowo pogłębiał, ale wejdzie już rychło w stadium najformalniejszego zerwania i gwałtownych walk, nie przebierających w środkach. Już od jakiegoś czasu, a zwłaszcza od zatargu o Departament Wojskowy, stosunki między obiema organizacjami bardzo się zaogniły. Chwilowe zbliżenie na gruncie wyborów w ich początkowym stadium przez utworzenie wspólnego Komitetu Wyborczego Demokratycznego dawno już przebrzmiało. Konsekwencje kampanii wyborczej do Rady Miejskiej, mianowicie próby wszechpartyjnej konsolidacji, podrażniły jeno stosunki między LPP a CKN-em; poniekąd ponosi tu winę i CKN, którego gwałtowniejsze elementy w ambitnym dążeniu do osiągnięcia laurów konsolidacji (mam tu na myśl zwłaszcza Medarda Downarowicza) nie wahały się nieraz nawiązywać flirtu z prawicą kosztem poniżenia LPP. Stare niechęci między LPP a CKN odżyły. Istotnie są to nie tylko różnice rzeczywiste i dość głębokie, których się zaprzeczyć nie da, ale też, i to bodaj nie w bardzo mniejszym stopniu, żale i niechęci zadawnione. Te, niestety, bardzo dużą rolę grają zwykle w polityce, zwłaszcza gdy ta polityka nie ma charakteru masowego, jeno jest uprawiana przez ograniczone grupki ludzi. Ambicje, uprzedzenia, żale, intrygi kombinacji politycznych – są to czynniki często bardzo silne. Niewątpliwie i tu odegrały one swoją rolę. Piętno CKN-u napawa nienawiścią ligowców, jak znów samo imię Ligi budzi rodzaj wstrętu pogardliwego u CKN-owców. Sprawa Departamentu Wojskowego, w której CKN zajął radykalne stanowisko bojkotu tej instytucji, a w której Liga nie mniej kategorycznie Departament poparła, jeszcze bardziej uwydatniła rozdźwięki zasadnicze i zarazem nadała im treść konkretną oraz front czynny, zwrócony ostrzem wzajemnie przeciwko sobie. Zarysowujące się wreszcie coraz wyraźniej różnice w stosunku do NKN-u i budząca się świadomość, że to nie jest tylko coś przejściowego i że wcześniej czy później siłą rzeczy z obecnych NKN-u stosunków wyłoni się kategoryczny rozłam, w którym Liga poprze austrofilską i ugodową masę NKN-u, podczas gdy CKN poprze rozłamowców, to znaczy niepodległościowców galicyjskich, dolewa oliwy do ognia. Dziś jeszcze rozłamu w NKN-ie nie ma; jest on nadal formalnie organem konsolidacji ogólnonarodowej w Galicji; to, że jest w nim opozycja niepodległościowa, to jeszcze na razie stanu rzeczy

formalnie nie zmienia. Formalnie więc, dopóki rozłam nie nastąpił, CKN NKN-u jako takiego nie zwalcza; przeciwnie – zastrzega się, że uznaje w nim konsolidację Galicji, to znaczy organ narodowy zaboru austriackiego, który przez to samo posiada autorytet nietykalny; CKN zastrzega sobie wolną rękę, o ile organy NKN-u, jak np. Departament Wojskowy, usiłują nasadzać jakąś akcję polityczną w Królestwie, niezgodną z linią polityczną niepodległościowego obozu, ale NKN-owi w Galicji nie przeciwstawia się. Jednak, ponieważ linia polityczna NKN-u w ogólnonarodowej sprawie coraz bardziej się konkretyzuje, a znów rozłam wewnętrzny w NKN-ie się gotuje, więc obie strony zawczasu przygotowują się do przyszłej walki. Prawowierne elementy NKN-u łączą się z Ligą, opozycja NKN-owa z CKN-em. To rozdźwięk jeszcze o stopień wyżej podnosi. Wiceprezes NKN-u i jego *leader* Jaworski jest teraz w Warszawie; zabiega on wobec pewnych elementów prawicy, pokrewnej społecznie Stańczykom krakowskim i odbywa konferencje oraz konszachty z Ligą, na które ludzie z CKN-u nie są dopuszczani. W stosunku do CKN-u Jaworski się ogranicza na pewnych formalnych wizytach kurtuazji u *leaderów*, jak Artur Śliwiński lub tytularny prezes CKN-u Lutomski. Jaworski projektuje jakiś zjazd polityczny do Krakowa, czemu CKN usiłuje zapobiec, pragnąc przeniesienia tego zjazdu do Warszawy. Z Departamentem i jego działaczami CKN ma oczywiście zupełnie zerwane stosunki. Z pułkownikiem Sikorskim, który tu z Jaworskim bawi, żadnych, nawet kurtuazyjnych stosunków, CKN mieć nie może. Ponieważ prezydium NKN-u wraz z szefami wszystkich innych Departamentów NKN-u urzędowo i publicznie poparło Departament Wojskowy, ogłaszając listy z wyrazami zaufania do Sikorskiego, więc już w tym zakresie konflikt między NKN-em a CKN-em stał się z natury rzeczy faktem, choć dotąd obie strony unikają jawnego podkreślania tego i wyciągania stąd wniosków jawnych. Ale są to wszystko rzeczy, które już mają swoje konsekwencje w życiu i które nie są przecie dla żadnej ze stron tajne. To wszystko w stosunkach Ligi do CKN-u budzi coraz głębszy ferment. Liga też odczuwa doskonale wszystkie ukłucia i upokorzenia, zadawane jej przez CKN na różnych polach, jak np. wobec prawicy na Delegacji. I widocznie zaciekłe, stronnicze elementy w Lidze są nie mniej agresywne w stosunku do CKN-u, niż odwrotnie. Bo oto dowiaduję się dziś od Ludwika Abramowicza, który jest jednym z takich właśnie zajadłych ligowców (śmiem przypuszczać, że wchodzą tu w grę u Abramowicza, którego znam dobrze, nie tylko ideowe względy, ale też podrażnione ambicje i gorliwość neoficka człowieka, który zerwał z obozem niepodległościowym i wprzągł się na służbę Departamentu, a więc i Ligi, w dużym stopniu pierwotnie dla pieniędzy), otóż dowiaduję się od Abramowicza, że Liga ma w tych dniach wydać broszurę, której tytuł ma brzmieć coś w rodzaju: „Mistyfikacja polityczna, czyli CKN“ (literalnie brzmienie tytułu nie pamiętam, ale jest w nim to słowo „mistyfikacja“ czy też „falsyfikacja“). Będzie to więc już jawne wypowiedzenie wojny, z którego wywiążą się napaści licznym już nie krępowane. Że musi dojść do walki – to pewne, ale przewiduję, że będzie ona namiętna i nie przebierająca w środkach. A to mi się wydaje w obecnej chwili politycznej niepożądane i niebezpieczne. Nie spodziewałem się, żeby Liga, chłodniejsza z natury, chociaż obłudniejsza, odważyła się pierwsza na atak tak namiętny, jak sam tytuł owej zapowiedzianej broszury.
Wczoraj i dziś odbył się zjazd CKN-u. Napiszę o nim jutro, choć się dużo nad nim rozwodzić nie będę.
Napisałem dłuższy artykuł w sprawie Litwy do CKN-owego bezcenzuralnie wydawanego „Przeglądu Politycznego“.

15 sierpnia, rok 1916, wtorek

Nie wiem, co myśleć o pieniądzach od Maryńki. Nie przychodzą. Nie mogę się ich doczekać. W liście od niej, otrzymanym pozawczoraj, a pisanym w ubiegły wtorek i tegoż dnia wysłanym, pisze ona tak: „*Ich gehe gleich auf die Post und ausschicke Dir 100 Rubel*“. Co to znaczy, że pieniędzy, wysłanych od tygodnia, dotąd nie otrzymałem? Czyżby ich nie wysłała? Wie przecież, że od kilku tygodni proszę ją w każdym liście o to i może rozumieć, jak to jest trudno w obecnych czasach dać sobie bez nich radę. Trudno przypuścić, żeby, mając już przygotowane dla mnie pieniądze, tak zwlekała z ich wysłaniem. Różne domysły przychodziły mi do głowy. Maryńka przed tygodniem nie wiedziała jeszcze o zmianie mego adresu. Jeżeli wysłała, to wysłała jeszcze pod adresem ul. Świętokrzyskiej. Wiem, że teraz pieniędzy, wysyłanych przekazem, nie wypłacają w mieszkaniu, jeno wręczają awizację przez pocztę miejską, za którą trzeba dopiero odbierać pieniądze osobiście na poczcie niemieckiej. Właścicielka mieszkania przy ul. Świętokrzyskiej, p. Lourie, powiada, że żadnej awizacji nie przynoszono. Ale może się mylę, może czasem pieniądze bywają wprost odnoszone i wypłacane za przekazem w mieszkaniu? Może w mojej nieobecności listonosz wypłacił je p. Lourie, która coś z nich wydała i teraz nie przyznaje się, że je odebrała. Brzydko to kogoś tak posądzać i jest to mało prawdopodobne, ale cóż, kiedy pieniądze mają taką siłę atrakcyjną dla ludzi i w stosunku do nich tyle nieprawdopodobnych rzeczy się dzieje, a skądinąd pani Lourie jest w ciągłej pogoni za groszem i, jak niejednokrotnie doświadczyłem na sobie, umie w różnych drobnych rzeczach popełniać nieścisłości rachunkowe, nawet w takich drobiazgach, jak podawać mi o kilka kopiejek więcej np. na cenie kupowanego dla mnie chleba itp. A gdzie w małych rzeczach jest nieskrupulatność świadoma, tam i w wielkich zaręczyć za uczciwość nie można. Ludwik Abramowicz jednak zapewnia mię, że to niemożliwe, bo Niemcy wypłacają pieniądze z przekazów tylko na poczcie i nie inaczej, jak osobiście za okazaniem paszportu. Dziś, gdym poszedł do p. Lourie, aby się znów o awizację spytać, wspomniała mi ona, że przychodził jakiś Niemiec, podobno oficer, który bardzo chciał mnie widzieć w jakiejś sprawie, dotyczącej Maryni, czy też z czymś od Maryni. P. Laurie dała mu mój adres przy ul. Wspólnej; gdyby tego adresu nie znalazł lub mię nie zastał, miał o godz. 4 znów być w mieszkaniu p. Lourie. Czekałem więc na niego u p. Lourie od godz. 3 ½ do 5, ale nie przyszedł i nie zgłaszał się też wcale na Wspólną. Być może, że to jakiś urzędnik tutejszego biura przepustek, który powtórnie ma mię interpelować w sprawie prośby Maryni o pozwolenie na przyjazd do Warszawy, ale przychodzi mi na myśl, że to może być też jakiś przyjezdny oficer niemiecki z Wilna, Maryni znajomy, który na jej prośbę przywiózł mi list od niej z pieniędzmi. Daj Boże! Gubię się w domysłach i trawię w niepokoju. Co się stało z tymi pieniędzmi, czy je otrzymam i kiedy i co bez nich robić będę? Kwestia pieniędzy, gdy ich brak, a szczególnie w tych czasach, to rzecz bardzo niepokojąca, która jak zmora męczy; trudno wtedy o równowagę; nerwy są poruszone i nawet się skupić i do pracy zebrać trudno. A tu wszystkiego brak, nawet mydła, i buty dziurawe, i krawat w strzępy się już niemal rozpada, i nawet z ogoleniem się trzeba jakoś zwlekać. A tu muszę złożyć wizytę baronowi Roppowi, Bałtowi z Kurlandii, znanemu działaczowi politycznemu, który tu bawi w Warszawie i wyraża chęć zapoznania się ze mną oraz obiecuje mi ewentualnie wyrobić pozwolenie na wyjazd do Wilna, w co zresztą mocno wątpię. Musiałbym mu się przecie przyzwoicie jakoś zaprezentować. Jest to ten sam Ropp, który był inicjatorem deklaracji uciśnionych przez Rosję narodów i kongresu w Lozannie, działacz antyrosyjski, rzecznik – szczerze czy nieszczerze – programu związku Kurlandii z Polską na zasadach autonomicznych. Słyszał on o mnie od Litwinów i Białorusinów w Lozannie i chciałby mię poznać, a gdy tu się dowiedział, że władze odmówiły mi pozwolenia na wyjazd do Wilna, wspominał Łempickiemu i

innym, że mógłby się postarać o wyrobienie mi tegoż. Ma on stosunki u władz niemieckich i jako Niemiec nadbałtycki jest przez nie dobrze widziany i korzysta osobiście z wielkiej swobody ruchów. Tylko że dla pozwolenia na mój wyjazd – trzeba nie do Beselera, ale do Hindenburga kołatać.
Wspomniałem o zjeździe CKN-u, który się odbył pozawczoraj i wczoraj. Jest to bardzo mądry zwyczaj w CKN-ie, że się periodycznie, co pięć tygodni, odbywają zjazdy całej organizacji. Wytwarza to ciągłość obcowania organizacyjnego i zwartość pracy. Prowincja w ten sposób jest w stałym kontakcie z Warszawą. Pomimo trudności komunikacyjnych w czasie wojny, zjazdy te odbywają się regularnie i coraz liczniej oraz systematyczniej są obsyłane przez prowincję. Ten zjazd był szczególnie liczny. Uczestniczyło w nim, z warszawskimi członkami CKN-u, delegatami oraz gośćmi, przeciętnie 70 osób. Oprócz Warszawy reprezentowanych było 14 organizacji prowincjonalnych z obydwóch okupacji. Zjazd był żywy, tętniący aktualizmami i wydatnym udziałem prowincjonalnych delegatów. Omówiono cały szereg zasadniczych spraw i zagadnień. Drugi dzień był przeważnie poświęcony sprawozdaniom, organizacyjnym sprawom (wybrano też nowy zarząd) i potrzebom prowincji. Przekonywano się, że jednak CKN rozwija się i ma w sobie gorący nerw życia. Co do mnie osobiście, to czynnego udziału w obradach właściwie nie brałem, jak w ogóle trzymam się z pewną rezerwą wobec czynnej polityki polskiej, zachowując stanowisko rzecznika spraw litewskich, o ile one mogą wypływać na porządek dzienny, co się jednak rzadko zdarza, dopóki żywego kontaktu z Litwą nie ma. Drugiego dnia prawie wcale na posiedzeniach zjazdu nie byłem. Chociaż ja niewątpliwie najbliższy jestem linii CKN-u, jednak nie jestem zadowolony, że do niego należę. Dla mojej roli w sprawie Litwy miałbym większą swobodę działania, gdybym się formalnie z jakąś jedną organizacją nie wiązał. To mię w wielu razach krępuje i komplikuje moje zadanie. Wystąpić jednak jest dość trudno, bo może to zawsze mieć pozory zerwania, jakby przeciwstawienia się osobistego organizacji. Pierwszego dnia zjazdu omal że sprawa Litwy nie wypłynęła na porządek dzienny przez projekt rezolucji Osieckiego o określeniu terytorium państwa polskiego, do których on włączał Galicję i pod słowami „zabór rosyjski“ także i Litwę. Gdy jednak odrzucono określenie związku z Galicją jako rzecz jeszcze przedwczesną i programowo niedogodną na razie, upadła i sprawa stosunku do Litwy, która to sprawa nadal zostaje na gruncie mojego projektu rezolucji, mającego już wkrótce wyjść pod uchwałą warszawskiego CKN-u.

16 sierpnia, rok 1916, środa
Dziś wedle programu prac wszechpartyjnej tzw. Delegacji powinno się było odbyć posiedzenie, poświęcone programowemu referatowi, czyli słuszniej „egzaminowi“ Koła Międzypartyjnego, to znaczy prawicy. Prawica ma z tym kłopot nie lada, bo jakże tu zaprezentować swój program, kiedy się programu wcale nie ma? A tymczasem słowo się rzekło, zobowiązanie się przyjęło, referatów i dyskusji o programach obu przeciwników – CKN-u i LPP – się wysłuchało, a teraz – prosimy bardzo, co też panowie pokażą. W Kole Międzypartyjnym są i ideologowie moskalofilstwa, i oportuniści bez wszelkiej ideologii i orientacji, węszący niespokojnie, z której strony wiatr wieje i którego wiatru powiew będzie najsilniejszy, a gotowi do zakorzenienia się przed jedyną tylko wymową – faktów dokonanych; i „maksymaliści“ niepodległościowi, i smętni rycerze dziewiczej „orientacji koalicyjnej“, i wreszcie szczerzy, ale bezfrontowi niepodległościowcy, i cała zbieranina bądź niezdecydowanych, bądź bezsterowych, bądź tchórzów itp. Jak tu program takiego zbiegowiska czy raczej zgrai – sformułować. Wprawdzie bierze się do tego mistrz nad mistrze, sam pan Bolesław Koskowski z „Kuriera Warszawskiego“, kołtunerii

przysięgły wódz, ale i on tu niewiele co wskóra, bo, aczkolwiek myśl jego jest tak „giętka“, że potrafi w słowach, ba – w obszernej i „głębokiej“ mowie wyrazić nic, jednak i tu zachodzi ta trudność, że każde słowo z osobna ma jednak swoje jakieś znaczenie, i otóż, gdy powie „b“, to zaraz z którejś tam z ław Międzypartyjnego Koła wypłynie zastrzeżenie: a dlaczego nie „a“ albo nie „c“? I rzeczywiście, dlaczego nie „c“, „d“, „e“, „f“, itd.? Troskę ma biedne Międzypartyjne Koło. I nie pomoże w dodatku do Koskowskiego Zbrowski, który miał go „uzupełniać“. Ani rusz. Im głębiej w las, tym więcej drzew. Przewidując z góry trudności, Koło Międzypartyjne już w ubiegłą środę uprzedziło, że może na tę środę nie będzie mogło wystąpić i odłoży na przyszłą. Biedziło się biedaczysko, biedziło – i istotnie odłożyło. Trudno przecie wystąpić z „programem“ i streścić go w tych kilku słowach: „My nic nie wiemy, a więc nie wiemy, czego chcemy“. Ano – do przyszłej środy trzeba będzie coś wybiedzić.
Wreszcie doszedłem do ładu z pieniędzmi od Maryńki: mam je w kieszeni. Rano, gdym siedząc w domu czekał bądź z poczty awizacji na pieniądze bądź wizyty owego nieznanego „Niemca“, o którym mi pani Lourie wczoraj mówiła, a w którym domyślałem się może przyjezdnego z Wilna z pieniędzmi dla mnie, przyniesiono mi kartkę od Maryńki, pisaną 12 sierpnia, w której zapytuje mię, czym już owe 100 rubli odebrał. Przekonałem się więc z tego, że istotnie wysłała. Gdzież więc są i dlaczego awizacji nie mam? Popędziłem do pani Lourie: awizacji nie przynoszono. Poszedłem więc wprost na pocztę pieniężną niemiecką, aby wreszcie zagadkę wyjaśnić. I okazało się, że pieniądze są do odebrania, a awizacja posłana przez pocztę miejską, dlaczego zaś nie dostarczona – nie wiadomo (awizację z poczty miejskiej przyniesiono mi dopiero dziś wieczorem, gdym już pieniądze odebrał). Zainkasowałem więc owe „100 rubli“, wprawdzie z pewnym rozczarowaniem, bo przekaz opiewał w niemieckich pieniądzach tylko 175 marek, zamiast, jak powinno być podług kursu rzeczywistego, najmniej 200 marek. Chodzi o to, że kurs marki urzędowy jest wyższy od rzeczywistego giełdowego w zamianie na rublu i że Maryńce, która w Wilnie wpłaciła na przekaz 100 rubli, zaliczono je tylko w 175 markach. Mam więc na tym straty 12½ rubli, bo tu marka idzie w 50 kopiejkach. W tych czasach to wielka szkoda. Trzeba było Maryńce albo wymienić ruble na marki w banku podług rzeczywistego kursu i wysłać mi całą walutę w markach, albo wysłać przekaz bankowy na ruble. Ale – stało się. Grunt, żeby były pieniądze.
Ucieszony i uspokojony co do pieniędzy – raźniej patrzę w przyszłość. I jeszcze jedno mam przed sobą klarujące się spokojne przeświadczenie – powrotu do Legionów na linię. Zdaje się, że się na to istotnie zdecyduję, skoro do Wilna wyjechać nie mogę. Wyruszyłbym na linię mniej więcej za miesiąc, tak, jak w przeszłym roku. W każdym razie, poczekam przyjazd Maryńki, jeżeli jej tylko przyjechać pozwolą. Szukałem tu wciąż towarzysza do wyjazdu do Legionów spośród ludzi w moim wieku, inteligentów znajomych. Namawiałem Ludwika Abramowicza, Leona Altera, Edwarda Słońskiego. Każdy z nich jednak miał swoje „ale“, niby to zresztą w zasadzie mając ochotę. I wreszcie dziś znalazłem zupełnie niespodziewanie amatora, w osobie niejakiego p. Jaroszyńskiego, literata, starszego nawet ode mnie, z którym się dopiero w tych czasach zapoznałem. Zdaje się, że ma on prawdziwą chęć służby w Legionach, tylko się krępuje nieco. Ale już mu ja to ułatwię i zabiorę ze sobą. To by znacznie moją decyzję powrotu na linię przeważyło.
Złożyłem dziś wizytę baronowi Roppowi w hotelu Bristol, owemu Bałtowi, politycznemu działaczowi antyrosyjskiemu, inicjatorowi akcji uciśnionych przez Rosję narodów. Przyjął mię bardzo życzliwie. Gawędziliśmy dość długo, po francusku. Interesował się moim wyjazdem do Wilna, obiecywał spróbować rzecz tę poruszyć może w Berlinie, dokąd teraz jedzie, a może później w Wilnie, choć nic stanowczego

przyrzec nie mógł. Uważa on, że źle się stało, iż naraziłem się już na odmowę pozwolenia władz niemieckich i że należało zacząć od starań przez stosunki. W końcu rozmowy baron Ropp robił mi pewne aluzje o możności skombinowania się mego w Wilnie ewentualnie z władzami niemieckimi, niezupełnie niby w roli ich agenta, ale coś w rodzaju poniekąd ich sojusznika, współdziałającego z nimi. Nie zmiarkowałem, czy to było sobie tylko *ad hoc* wykombinowane, czy też jakiś wstęp werbunkowy do ewentualnego zaangażowania mię. Baron Ropp na ogół sprawił na mnie sympatyczne wrażenie. Jest to człowiek młody, który, jak się okazuje, ma majątek nie w Kurlandii, ale w gub. kowieńskiej w powiecie poniewieskim, gdzieś w okolicy Birż. Jest sąsiadem p. Czesława Komorowskiego z Podbirż (dowiedziałem się od niego, że p. Czesław umarł); zna też ordynata Piotra Komorowskiego z Kurszan, o którym dowiedziałem się, że uciekł do Rosji. Wie też, czy może nawet osobiście zna mego szwagra Zysia Komorowskiego.

17 sierpnia, rok 1916, czwartek
Chodzą wieści, że Piłsudski podał się do dymisji. Zdaje się, że nie jest to tylko zwykła plotka. Twierdzą o tym z całą stanowczością zarówno Piłsudskiego przeciwnicy polityczni z Ligi, jak przyjaciele z CKN-u i towarzysze partyjni z PPS. Jest to ze strony Piłsudskiego krok radykalny, jest to poparcie całą siłą moralną stanowiska Konferencji Pułkowników. W osobie Piłsudskiego streszcza się cały antyrosyjski i niepodległościowy moment ruchu polskiego oraz jego wyrazu czynnego, jakim są Legiony. Gdy żądanie Konferencji Pułkowników, sformowane w znanym ich memoriale do austriackiej Naczelnej Komendy Armii, domagające się formalnego wyodrębnienia Legionów z armii austriackiej i nadania im istotnego charakteru pomocniczego wojska polskiego, nie zostało przez Austrię spełnione, Piłsudski zdecydował się na ten krok ostateczny. Austria, jak zawsze, zachowuje się połowicznie i chwiejnie. Usiłuje iść na pewne cząstkowe ustępstwa w stosunku do Legionów, ale zasadniczego zagadnienia nie przesądza. Dopuszcza do ujednostajnienia odrębnych odznak w Legionach, usuwa stopniowo z Legionów kreatury c. k. austrjackie, wrogie niepodległościowym tendencjom legionowej formacji, jak Zagórski, jak brygadierzy Küttner i Grzesicki, podnosi i równa Legiony z wyższymi regularnymi formacjami państwowej austriackiej armii, robi pewne kroki na rzecz cząstkowego wyodrębnienia legionowej formacji, daje do zrozumienia swoją gotowość do wycofania Legionów z linii i rozmieszczenia garnizonowego w Królestwie – podobno w Lublinie, Radomiu i Piotrkowie, co mogłoby budzić pewne nadzieje na tworzenie z nich kadrów przyszłego narodowego wojska, gotowa jest na pewną reformę Departamentu Wojskowego i organizacji werbunkowej, ale zasadniczo zagadnienia nie rozwiązuje, od usamodzielnienia Legionów w myśl żądań niepodległościowych polskich – uchyla się, zachowuje na ich czele c. k. Komendę Legionów jako władzę obcą mu – austriacką. Jak wiadomo zaś – komendanci pułków postawili w memoriale żądania swe kategorycznie, domagając się nawet, w razie ich niespełnienia, rozwiązania Legionów. I co najważniejsze, że sam generał Puchalski, austriacki wódz Legionów, przychylił się ze swej strony do żądań pułkowników i sam je opinią swą poparł, schodząc ze stanowiska agenta austriackiego na stanowisko obywatela Polski, rozumiejącego, iż wojsku polskiemu, jakim są Legiony, nie powinna być obca narzucana władza, którą on w nich reprezentuje. Nieziszczenie żądań pułkowników i trwające w dalszym ciągu zawieszenie Sprawy Polskiej przez mocarstwa centralne, brak jakichkolwiek w tym kierunku postanowień i realnych zapoczątkowań państwowotwórczych, zwłaszcza po tych nadziejach i półurzędowych oświadczeniach, które w ostatnich czasach zbliżały już, zdaje się, Sprawę tę do realizacji – to wszystko spowodowało Piłsudskiego do tego

kroku. Czy w tym akcie zgłoszonej dymisji Piłsudskiego jest rzucenie przezeń na szalę ostatecznego i największego atutu, czy też stwierdzenie politycznego bankructwa Legionowej Sprawy i wyciągnięcie z niego konsekwencji demonstracyjnej – z tego jeszcze sobie nie zdaję sprawy. W każdym razie, zgłoszenie dymisji przez Piłsudskiego nie wydaje mi się rzeczą tak prostą i politycznie wyraźną, jak by się zdawać mogło. Osoba Piłsudskiego w Legionach jest tak wielkim atutem, że tylko w zupełnej ostateczności mogła być zagraną. Ustąpienie jego – to by była dla Legionów klęska, omalże nie ich upadek jako czynu politycznego, a w każdym razie ostry nóż, utopiony w samo serce ich niepodległościowej najgłębszej idei. Krok taki jest aktem niezmiernie odpowiedzialnym; czym byłyby Legiony bez swego Komendanta I Brygady? Sądzę, że ustąpienie Piłsudskiego byłoby uzasadnione tylko w tym wypadku, gdyby istotnie i już ostatecznie Legiony odegrały swoją rolę i straciłyby w tej wojnie wszelką dla Sprawy Polskiej wartość. Czy tak jest? Sądzę, że jeszcze nie. Nie ośmielam się jeszcze potępić kroku Komendanta, ale nie jestem spokojny i boję się tej rzeczy. Zgłoszenie dymisji nie oznacza jeszcze samo przez się ustąpienie, bo nie wiemy: 1º, jak ono było formułowane i 2º, czy dymisja będzie przyjęta. Ligowcy warszawscy pragnęliby z serca, aby dymisja Piłsudskiego stała się faktem. Z pewnością też gorąco by się z tego cieszył Departament Wojskowy, któremu Piłsudski zalazł za skórę. Cieszyliby się w ogóle wszyscy ci, dla których z tych czy innych względów niepodległościowa idea i kierunek Legionów były nie na rękę. Piłsudski bowiem był tej idei sumieniem, był jej kapłanem surowym. Nie dał się niczym podejść i odwrócić. Jego to imię paraliżowało wszystkie „realistyczne" machinacje, zbaczające na linie najmniejszego oporu... Austrii. Zdaje się, że nie będzie przeciwny dymisji Pułsudskiego i NKN, pomimo że muszą tam rozumieć urok, jaki imię Piłsudskiego nadaje Legionom i że urok ten jest im jednak potrzebny, a Piłsudskiego się boją. Ale dla tych austrofilsko-ugodowych tendencji, które w NKN-ie przeważają i które on usiłuje do Legionów zaszczepić, obecność Piłsudskiego nie jest rzeczą pomocną. Wiceprezes Jaworski, bawiąc w tych dniach w Warszawie, wyrażał się podobno, że dymisja Piłsudskiego będzie przyjęta. Zapewne – Jaworski zbyt jest ostrożnym politykiem, aby miał wyrażać jakieś zadowolenie z ustąpienia Piłsudskiego, gdyby nawet zadowolony był. Ale już to, że wyrażał przypuszczenie o przyjęciu tej dymisji, jest symptomatyczne: Austria bowiem nie rozstrzygnie tego bez porozumienia się z NKN-em. Dla Austrii są także motywy za i przeciw dymisji Piłsudskiego. Jeżeli ją przyjmie, to zapewne zrobi to po poprzednim dokonaniu pewnych nowych ustępstw na rzecz Legionów. Mam jednak nadzieję, że Piłsudski zostanie. Jest to akt śmiały z jego strony, ale sądzę – że niebezpieczny. Co za konsternacja zapanowałaby w Legionach po ustąpieniu Piłsudskiego. Byłoby to tak, jak gdyby ciało straciło swoje serce. Co do moich projektów ewentualnego powrotu do Legionów, ustąpienie Piłsudskiego w dużym stopniu utrudniłoby mi wykonanie tego zamiaru. Bo czym stałyby się Legiony – bez niego? Legiony, poddane c. k. Komendzie, sterowane przez Departament i mające swój „wykładnik polityczny" w austrofilskim NKN-ie? Legiony ze swoją ideą, ale bez swego tej idei wodza, zabłąkane i opuszczone?

18 sierpnia, rok 1916, piątek
Na ewentualność mego powrotu do Legionów znalazłem sobie innego, pewniejszego, towarzysza, niż p. Jaroszyński, o którym przed paru dniami wspominałem. Jest nim aktor Zbyszewski, który przez Benedykta Hertza sam się do mnie z tym zgłosił i rzeczywiście chce się do Legionów dostać; jest na to zdecydowany. Służył on kiedyś w marynarce rosyjskiej. Lękam się tylko, żeby, dostawszy się na linię, nie drapnął z piechoty, bo choć zgadza się teraz i na piechotę, jednak ma pewne predylekcje do innych rodzajów broni, jak kawaleria albo saperzy lub temu podobne. Jaroszyński jest

za stary, ma coś koło 50 lat i jest schorowany, słaby. W Zbyszewkim znalazłbym lepszego towarzysza. Oprócz ewentualności ustąpienia Piłsudskiego z Legionów, która by mogła mój zamiar powrotu na linię sparaliżować, jest jeszcze i druga ujemna dla moich zamiarów, chociaż dodatnia dla Legionów, ewentualność. Jest nią możliwość wycofania Legionów z frontu i rozmieszczenia w miastach Królestwa na postój, o czym się dużo mówi. Wstydziłbym się, nie będąc w Legionach przez lato, kiedy się one biły tak krwawo, wrócić do nich wtedy, kiedy zostaną one wycofane na tyły. Zdaje się jednak, że to wycofanie nastąpi dopiero po wyczerpaniu walk obecnej ofensywy rosyjskiej, to znaczy dopiero zapewne na zimową kampanię, gdy na linii ustali się walka pozycyjna.
W związku z Legionami wspomnę tu jeszcze o paru rzeczach, o których słychać. Jedną z nich jest zamierzone podobno zwinięcie Departamentu Wojskowego w swej postaci obecnej i zastąpienie go przez jakąś inną instytucję (pod jaką nazwą – nie pamiętam), która ma być oparta na miejscowych obywatelskich elementach Królestwa, a więc elementach cywilnych. Element wojskowy miałby być zachowany tylko do pewnych funkcji specjalnych. Instytucja ta nie byłaby więc już ekspozyturą galicyjskiego NKN-u, pełniącą funkcje przez element wojskowy, służbowo zależny coraz bardziej od A.O.K. Stałaby się ona narzędziem w ręku społeczeństwa miejscowego, ale już oczywiście tylko jednej LPP, bo obóz niepodległościowy dziś już daleko odbiegł od akcji, stanowiącej Departamentu Wojskowego czynność. Ponieważ wszakże na czele tej nowej instytucji miałby pozostać Sikorski, więc wszystkie wady faktycznej zależności od austriackiego Armee-Ober-Komando pozostałyby nadal niezachwiane, tym bardziej, że owym „elementem obywatelskim" byłaby Liga, ślepo popierająca dzisiejszy Departament i Sikorskiego. Byłoby więc to na pozór wykonaniem tego postulatu „ucywilnienia" Departamentu, który w kwietniu-maju wystawiał w swych żądaniach Piłsudski, a co wtedy przez obóz departamentowy było namiętnie zwalczane i z oburzeniem odrzucane. Tymczasem gdyby ten postulat był wtedy wykonany, może być, że stosunki nie weszłyby na te tory zaognienia, na jakich są one obecnie. Dziś Departament sam akceptuje to, co przed paru miesiącami zwalczał, choć naturalnie stwarza tylko fikcję pozorną tego postulatu.
Z kół Ligi kolportowana jest gorliwie pogłoska, nie wiem, o ile prawdziwa, że rzekomo część komendantów pułków zaprotestowała przeciwko znanemu ostatniemu memoriałowi. Podobno zaprotestowali: Januszajtis, który jest ranny w szpitalu i przeto nie brał udziału w konferencji, i Żymirski (*sic*), który bawił na urlopie. Co do Żymirskiego zwłaszcza – wydaje mi się to bardzo wątpliwe. Że Januszajtis jest przeciwny – to bardzo prawdopodobne. Obaj komendanci pułków II Brygady – Januszajtis i Minkiewicz – byli stale w opozycji do linii Piłsudskiego w Legionach. Obecnie Minkiewicza już nie ma, bo w walkach lipcowych dostał się biedak do niewoli (choć to figura niesympatyczna osobiście, ale niemniej w tym nieszczęściu jest biedakiem), i kto wie, czy nie został może nawet powieszony przez Moskali jako poddany rosyjski, o ile jego tożsamość stwierdzono. Liga powiada dalej, że na skutek protestu Januszajtisa i Żymirskiego sama Konferencja Pułkowników przestanie nadal funkcjonować. Od czasu tego ostatniego memoriału pułkowników, domagającego się od władz austriackich wyodrębnienia i usamodzielnienia Legionów, Liga Państwowości Polskiej stała się wielką tej Konferencji przeciwniczką. Zdaniem Ligi, pułkownikom wolno się tylko bić, a wszelką akcję polityczną względem Legionów może tylko Departament Wojskowy prowadzić. Cóż stąd, kiedy Departament, pogrążony w zupełnej faktycznej zależności od A.O.K., nigdy się o usamodzielnienie Legionów nie upomni i zresztą upomnieć nie może! Bo jak się może upomnieć ten, który dobrowolnie się w stosunek zależności postawił i który na tej zależności cały się oparł! Liga o tym

nie myśli i myśleć nie chce, bo przecie i o usamodzielnienie Legionów nie chodzi jej wcale tak bardzo.
Czasy są teraz takie, że w dzienniku notuję niemal wyłącznie wypadki i prądy życia publicznego, i to głównie w sferze politycznej, nie notując prawie nic z mego życia prywatnego. Co prawda – w tej dziedzinie nic osobliwego nie ma. Ze śmiercią Aninki ta wielka sfera osobistego mego życia, sfera, która światem całym była, odrębnym i żywym, załamała się i znikła na zawsze. Nic już jej nie wskrzesi, przynajmniej w tym życiu ziemskim; bo jakiś głos wiary mówi do mnie z najgłębszych mego ducha przeczuć, że miłość nasza nie mogła być śmiertelna i że się odtworzy i wróci do praw swoich. W jakiej postaci – nie wiem i zgadywać nie potrafię. Ale cóż by to za rozkosz była – mieć świadomość, że znów się z Aninką spotkamy, znów razem we dwoje będziemy, znów świat miłości naszej odzyszczemy i tworzyć w nim nadal będziemy. Czy jest możliwym, aby to się nie stało i abyśmy się z Aninką już nigdy nie połączyli? Nieprawdopodobne to, wbrew wszelkim pozorom zmysłowej wiedzy. Pojęcie „nigdy", mrożące swym dzikim chłodem, z pojęciem miłości naszej i pojęciem żywej Aninki – nie da się skojarzyć. Tęsknota do Ciebie, Aninko, nie wygasa w mym sercu. Jesteś dla mnie żywą we mnie i czyż możesz kiedy przestać być? My dwoje, pamiętasz, Aninko – my: Michaś z Aninką? My – na jeziorze trockim, my – w Twoim pokoiku przy Monastyrskiej, my – wszędzie, gdzieśmy byli? Okoliczności miejsca i czasu – to akcesoria przygodne, ale my we dwoje ze sobą – wszak to prawda realna i istotna: czyż może być ona rozwiązana, czy może przestać być? Znalazłem kącik w dzienniku, by wrócić do Ciebie, Aninko, by to, co jest dla nas jedynie istotne, by nas, naszą miłość – stwierdzić. Dziennik zostanie śladem materialnym dla innych ludzi po naszej śmierci. Czymże dla nich nasza miłość, czym my sami? Zaledwie fakt istnienia naszego zrozumieć zdołają, a cóż dopiero to, co w nas jest żywym, co jest nami samymi! Dla nich są ważniejsze wypadki publiczne, które dla mnie są współczesne, dla Ciebie już nie, a dla nich będą genetycznie ważne w stosunku do okoliczności, kształcących ich życie. Ale niechże ci „*posteriori*" wiedzą o przestrzeni naszego życia, która w miłości naszej z Tobą, Aninko, najwyższą dla nas prawdę stanowiło.

19 sierpnia, rok 1916, sobota
Władysław Studnicki, do którego zachodziłem pozawczoraj, bo chciał się ze mną porozumieć co do wieczoru litewskiego (oczywiście polityczno-dyskusyjnego, nie – tanecznego lub koncertowego) w Klubie Państwowców Polskich, wspomniał mi o jakimś ziemianinie z Litwy z powiatu lidzkiego, który przyjechał do Warszawy i z którym Studnicki ma się nazajutrz widzieć. W przypuszczeniu, że ów gość z Litwy może coś ciekawego opowiedzieć, zaproponował mi Studnicki, abym się z nim razem na owo spotkanie wybrał. Zgodziłem się chętnie. Spotkanie z tym gościem miało nastąpić u niejakiego Glassa, prawnika, bodajże sekretarza urzędu hipotecznego. Studnicki mię poprosił, bym przyszedł do niego dziś o godz. 8 wieczorem, skąd razem do p. Glassa pójdziemy. Przypuszczałem, że to będzie tylko spotkanie się z tym gościem w obecności gospodarza dla pogawędki prostej; okazało się tymczasem, że to jest zebranie towarzyskie u p. Glassa. Byłem tym dość stropiony, bo nie znałem wcale p. Glassa, nigdy u niego nie byłem, nie byłem też zaproszony i nikogo z gości nie znałem. Było kilku panów i pań starszych oraz w średnim wieku, jakaś młoda panienka itp. Nie umiałem nawet na razie odróżnić gospodarza i gospodyni domu od gości. Studnicki jest jak zawsze „*sans façon*", nie czuje żadnych konwenansów, nie obserwuje towarzyskich zwyczajów. Nie uprzedził mię wcale o charakterze zebrania. Dopiero pod koniec wieczora w jednym z zebranych gości domyśliłem się osoby posła Parczewskiego, o innych zaś i dotąd nie wiem, kto to tacy byli. Owym gościem z Litwy,

dla którego tam ze Studnickim poszedłem, okazał się mój dobry znajomy i krewny, z którym zresztą stosunki nasze były zawsze z daleka – wuj Walery Tukałło, brat nieboszczyka wuja Jana, męża cioci Rózi. Jest on nie tyle z powiatu lidzkiego, ile z Suwalszczyzny, bo choć ma także w lidzkim majątek, jednak mieszka w innym majątku, w gub. suwalskiej. Tak się nie spodziewałem ujrzeć Walerego Tukałły, że gdym wszedł do pokoju, gdzie był ów „gość z Litwy", stojący w towarzystwie kilku panów, nie poznałem go wcale i przedstawiłem mu się przy powitaniu, na co on flegmatycznie zaznaczył, że się zresztą znamy. Nie wyraził wszakże żadnego zdziwienia ani jakiegokolwiek serdeczniejszego znaku krewieńskich stosunków. Myślałbym na razie, że to ktoś, którego kiedykolwiek przelotnie w Wilnie poznałem. Dopiero gdym stanął przy nim i przyjrzał mu się, błysnęła mi myśl, że to może być Walery Tukałło, co on, na moje zapytanie, potwierdził. Zachował się jednak bardzo zimno i sztywnie wobec mnie, tak prawie, jakżeby chciał mię unikać. Nie wiem, czemu to przypisać, ale najprawdopodobniej sztywności jego natury, a może i posądzeniu mię o jakąś koteryjną familijną niechęć do niego – że to były tam jakieś wielkie kwasy i sprzeczki w rodzinie między Walerym Tukałłą a jego bratem, wujem Janem, i ciocią Rózią. Bóg z nim zresztą. O ile chodzi o Walerego Tukałłę, jako owego „gościa z Litwy", dla którego właściwie przyszliśmy tam ze Studnickim, to należy stwierdzić, że była to atrakcja chybiona. Walery Tukałło przez cały wieczór prawie że się nie odezwał, a nic o opowiadaniu o Litwie nie było i mowy; był jak niedźwiedź z lasu. Wszakże z kilku bąknięć dał się poznać jako nastrojony kategorycznie antyrosyjsko i niepodległościowo, co mu oczywiście na dobro policzyłem. Wiedziałem jeszcze z czasów wileńskich, z początków wojny, że jego córka jest bardzo niepodległościowo usposobiona i gorąca zwolenniczka Legionów; ale żeby sam Walery Tukałło, ciężki i daleki od jakichś żywych prądów, typowy szlagon zaśniedziały, był niepodległościowcem, tegom się, przyznam, nie spodziewał. Okazało się w dalszym ciągu, że to, na co do pp. Glassów trafiłem, jest nie tylko zebraniem towarzyskim, ale taką dobrą, jak za czasów przedwojennych, rzetelną herbatką familijną i sutą mięsną kolacją. Jak na te czasy głodowe – osobliwość zgoła nie lada, powiem prawdę, krępująca, zwłaszcza dla takiego gościa intruza, jak ja tu byłem. W tych czasach drożyzny i wszelakich braków, gdy nawet obiad mięsny dla samego siebie jest wyrazem dobrobytu, a cóż dopiero prawdziwa kolacja mięsna, a cóż dopiero na przyjęcie kilkunastu gości (ja to sobie na kolację na chleb tylko pozwalam, co najwyżej ze szklanką wody gorącej z dwiema kostkami „maggi") – przyjść do kogoś, nie będąc proszonym, w gościnę i usiąść do kolacji, to doprawdy aż przykro. A tu kolacja była suta z dwóch wielkich półmisków z doskonałym gorącym rostbefem, jakiego przeszło już od roku nie jadłem, z sutym dodatkiem jarzyn – kartofli, kalafiorów i na osobnych półmiskach fasolki zielonej i z sałatą w śmietanie, dalej z galaretki zapiekanej jako osobnej potrawy jarskiej, wreszcie z kompotów, a do herbaty babka! Doprawdy, jak coś z bajki w tym drugim roku wojny, roku 1916, pod okupacją niemiecką, w Warszawie! Ale znać, że jeszcze szczyty Warszawy, te szczyty inteligenckie, które mają posady, mogą sobie jeszcze pozwolić na takie akcesoria życia, które, choć raniej należały do rzeczy powszednich, dziś są już wielkim zbytkiem. I znać, że jeszcze, pomimo braków, nie wszystkiego bezwzględnie brak w Warszawie. Naturalnie, że starałem się jeść jak najmniej, wstydząc się mojego mimowolnego pieczeniarstwa. Gdzie jest Władysław Studnicki, tam oczywiście nie obejdzie się bez rozmowy politycznej. Studnicki cały czas, bez żadnej żenady prawił o polityce w duchu swego germanofilskiego programu, robiąc też propagandę swojego klubu Państwowców Polskich. Po całym stole poszła stąd rozmowa polityczna. Nie brakło pewnych moskalofilskich tonów, aczkolwiek ci, którzy moskalofilstwo zdradzali, a raczej je poniekąd przez przeciwstawienie

germanofilstwu wywlekali, pierwsi się po kolacji ulotnili, i gdy przyszło do pogawędki poufnej przy herbatce w kółku już ściślejszym, i gdy zaczęto precyzować tezy, uwydatniło się u wszystkich prawie to, co dziś jest istotnie dominującym w inteligenckich kołach Warszawy: to już nie moskalofilstwo, nie; przeciwnie – wielka niechęć do Rosji, obudzenie prawdziwego instynktu antyrosyjskiego, uśpionego w początkach wojny, szczery wstręt do myśli o „powrocie taty"; niepodległościowość rzetelna w pragnieniu, ale w stylu właśnie maksymalizmu niepodległościowego, zwróconego również ostro przeciwko Niemcom i przeciwstawiającego wszelkiej idei oparcia się o mocarstwa centralne – zgrzyt kwestii Poznańskiego. Ten maksymalizm niepodległościowy jest, zdaje się, dziś najpopularniejszy w szerokich kołach inteligenckich. Opiera się on na poczuciu prawa, na niejasnej wierze w przyszły kongres pokojowy europejski. Jest w tym wielki brak realizmu politycznego, budowania wszystkiego od razu bez oparcia się na niczym, bez uwzględnienia konkretnych warunków wykonalności w okolicznościach miejsca i czasu (położenia międzynarodowego i momentu historycznego). Ciekawe jest, że Królestwo, które wykazało tyle zmysłu organizacyjnego w sferze samopomocy społecznej i kulturalnej w tych ciężkich krytycznych latach wojny i klęsk, że naród, jaki się na to zdobył niewolny, pozbawiony formalnej samodzielności, jednocześnie grzeszy takim brakiem zmysłu politycznego i nieraz jest wprost pod tym względem dziecinnie naiwny. Wszakże pewna rezerwa i pewien maksymalizm, byle w granicach miary, która tylko czuciem ustalana być może – jako siła wyrazu narodowego wobec okupantów wojennych – nie jest całkiem niesłuszna w ogólnej taktyce politycznej niewolnego narodu pewną funkcję pożyteczną niewątpliwie spełniać. Gdyby cały naród zbyt jednostronnie szedł za *decepto* filogermanizmu ugody Studnickiego – byłoby w tym innego rodzaju niebezpieczeństwo. Funkcja rezerwy ma także swoją rolę dodatnią, byle tylko była zachowana równowaga między funkcjami aktywnymi rezerwy. Dotąd jednak aktywizm za słabo jest uwydatniany.

20 sierpnia, rok 1916, niedziela
Sprawa dymisji Piłsudskiego niepokoi mię i dezorientuje. Nie znam jeszcze dobrze istoty rzeczy; wyczuwa się już jednak coraz mocniej, jak sprawa ta jest ważna i jak dużo konsekwencji się z nią wiąże. Jutro odbędzie się posiedzenie CKN-u. Spodziewam się, że tam się czegoś ściślejszego dowiem i potrafię się zorientować.
Czekam przyjazdu Maryńki. Nie wiem, kiedy to może nastąpić. Wątpię, aby przed wrześniem. Lękam się tylko, aby jej Niemcy nie odmówili pozwolenia. Byłoby to dla mnie bardzo przykre. Smutno mi jednak, że przyjazd Maryńki wypadnie akurat na czas zastoju i depresji, który nastał w sprawie polskiej po okresie ożywienia i perspektyw z lipca i początku sierpnia. Bo że tak jest – to nie ulega wątpliwości. Nie są to wprawdzie jakieś rzeczy decydujące, bo ostatecznie wojna się toczy i nic się w gruncie nie zmieniło. Jak zawsze i jak od początku, punkt ciężkości sprawy leży nie w jakichś jej poszczególnych etapach, ale w samych losach wojny. Gdyby jej etapy rozwijały się nawet najpomyślniej, ale w ostatecznym wyniku nastąpiłaby porażka mocarstw, a zwycięstwo oraz powrót Rosji, nic by jej od klęski nie uratowało. W zwycięstwie militarnym mocarstw centralnych nad Rosją leżą obiektywne sprawy polskiej, a z nią wraz i sprawy Litwy – szanse. Ale etapy rozwoju sprawy w czasie wojny mają także swoją wielką wagę, tworząc fakty dokonane i stanowiąc punkty wyjścia dla jej kierunku. One też, te etapy, mają największy wpływ na nastroje. I pod tym właśnie względem obecnie nie jest dobrze. Oczekiwanie jakichś aktów ze strony mocarstw centralnych, jakichś zapoczątkowań konkretnych – spełzły na razie na niczym. Sprawa polska znów, jak ten rybak w bajce o złotej rybce, ma przed sobą tylko rozbite koryto.

A ewentualna dymisja Piłsudskiego rzuca tragiczny cień nawet na ten jedyny jasny punkt czynu polskiego, jakim były Legiony i to żywe tętno niepodległościowej idei, które w nich kiełkowało i z nich biło, usiłując się wyłamać spod austriackiej powłoki. Co rzec o Legionach, jaką aureolą siły i wiary, prócz aureoli tragicznego bohaterstwa, ich czyn otoczyć, gdy Piłsudski z nich wystąpi?! Bo przecież nie o grę zatraceńców, ale o żywy czyn chodzi.
Że niepodległość nie mogła być przez mocarstwa centralne „nadana" – to rozumiem. Rozumiem zwłaszcza, że nie mogła być ona proklamowana i „dana" przed rokiem, po zdobyciu Warszawy. Nie można obdarzyć kogoś samodzielnością, gdy ten ktoś jej nie chce lub boi się ją użytkować. Nie dość powiedzieć: bądźcie sobie sami sobą, bądźcie, twórzcie armię narodową, gdy naród tej armii się boi i boi się cienia odpowiedzialności wobec widma „taty". Na wojnie są siły i rzeczy konkretne. Mocarstwa centralne, które w wojnie zdobyły Polskę, nie mogą się nią nie interesować. Jest ona dla nich w wojnie atutem, czynnikiem walki, siły i obrony. Nie mogą jej rzucić na pastwę niewiadomego. Dziś dużo się zmieniło od roku. Polska niepodległość by wzięła chętnie i zrobiła z niej dla siebie użytek. Ale mocarstwa centralne nie inaczej by się zgodziły współdziałać w jej tworzeniu, niż z tą pewnością, że utworzona rzecz nie zwróci się przeciwko nim i że przeciwnie – stanie się im pomocną. To znaczy, niepodległość musiałaby być przez samych Polaków tworzona i to w kierunku możliwym do przyjęcia przez mocarstwa centralne. Państwowość taka w czasie wojny mogłaby powstawać tylko stopniowo, nie zaś być „nadana". Samodzielność trzeba zdobywać i to w konkretnych warunkach miejsca i czasu, to znaczy licząc się z możliwościami, z tym, co jest realne. U Polaków ta polityczna droga powstawania państwowości dopiero się budzi. Są pewne wskazówki na to, że Niemcy ze swej strony współdziałaliby temu chętnie i otwierali możliwości, które przecie od nich jako faktycznych okupantów zależą, ale bodajże ze strony Austrii przeszkody są największe. Czy rzecz pójdzie tak, jak chce Studnicki – że Niemcy [zechcą] otwierać możliwości i stwarzać precedensy w ramach własnej okupacji, nie oglądając się na Austrię i poniekąd formując ją w tym samym kierunku licytowaniem faktów dokonanych, czy rzecz na trwałe ugrzęźnie w zastoju dalszym bądź do końca wojny, jak to zdaje się przepowiadać i chcieć NKN, bądź do jakichś nowych ustosunkowań wojennych czy politycznych – trudno określić.
Nie wiem jeszcze, jak się rzecz wyklaruje z Piłsudskim i jakie będą tego konsekwencje, ale sądzę, że o ile coś mię niespodziewanego nie zaskoczy, wrócę jednak do Legionów na linię, mniej więcej w połowie września, po wizycie Maryńki. Bądź co bądź, to najkonkretniejsza rzecz – Legiony; najkonkretniejsza nie tylko *in statu quo*, ale i w tych swoich żywych tendencjach niepodległościowej idei, które z nich wciąż płyną. Życia mi nie żal. Tych szczątków jego, które mi zostały, konserwować nie trzeba. Użyć go trzeba pięknie i szlachetnie, a tylko o jedno dbać i jedno tylko w pismach – bo innych dróg nie mam – zastrzec, aby na wypadek śmierci jego użytek był dla mojej idei skuteczny, to znaczy aby poszło ono w ofierze istotnie sprawie Litwy. Żeby nie było pozornie życie moje zboczyło w swoich najwyższych ofiarniczych momentach z tej linii ludowej, po której iść zawsze usiłowało, jakem ja ją rozumiał i wierzył. Może się celu tej linii dziś nie osiągnę – niestety, domyślam się tego – ale linia będzie wskazana i cel zaznaczony. Czyżbym się co do samej linii mylił? Że moja wiara i miłość, mój ideał odbiega od ideału może nawet większości tych, którzy w Polsce kroczą po tej drodze, co ja – to wiem. Ale zdaje mi się, że nie ja się mylę i że nie ich ideałom, ale moim – ideałom sprawiedliwości i wolności Ludów i ludzi – dzieje na tych drogach przyszłość gotują. Litwo! Twoim ja wiernym synem do końca. Litwo! Twoim nie w imię „egoizmu narodowego" czy tam innych pogańskich bożyszcz, zwanych racjami stanu itp., ale w imię ludowych praw. I mam tę jeszcze satysfakcję, że ludowa sprawa litewska tak się

kojarzy i pociąga za sobą ludową łotewską, przez którą raz jeszcze z Aninką się bratam. A gdybym się nawet w wyborze linii pomylił, to płodność czynu mierzy się nie tyle może materialnymi jego skutkami, które dla jednostkowego czynu są nikłe, ile wzorem wiary i ideału, które są potęgą moralną nie strawioną w ofierze. Gdyby mi umrzeć przyszło, byle bez zmarnowania idealnej potęgi mego czynu, to nie byłoby mi żal życia. Nie dlatego, abym życia nie kochał. Życie kocham, bo byłem szczęśliwy jak niewielu ludzi, ale już je straciłem. Nie sarkam i nie złorzeczę życiu, przeciwnie – błogosławię je i mam dlań wdzięczność i wiarę. Bez niej nie miałbym ideału i byłbym obojętnym głazem.

21 sierpnia, rok 1916, poniedziałek
Widziałem się dziś z Prusem-Mitkiewiczem, który pozostał w Departamencie Wojskowym (jest to zresztą typowy karierowicz) i pełni obecnie służbę kuriera departamentowego; wraca on właśnie z frontu, z Komendy Legionów, dokąd był wysłany z papierami i w przejeździe bawił w Warszawie. Nie wspominałbym o tym, gdyby nie to, co on mi mówił o nastroju w Legionach na linii, a co jest tym niewiarygodniejsze, że opiera się na świadectwie bynajmniej nie piłsudczyka, ale najpospolitszego karierowicza departamentowego, który nawet nie jest ideowcem polityki departamentowej, jeno zwykłym kabotynem i łamistrajkiem dla wygody życiowej. Otóż powiada on, że w Legionach jest nastrój bardzo zły, żołnierze się burzą, nie chcą słuchać oficerów z Komendy, gotują się wewnętrznym buntem przeciwko sytuacji, jaką im Austria zgotowała. Zgadza się to zresztą w zupełności z moimi spostrzeżeniami i wnioskami. Poznałem żołnierzy w czasie mego pobytu na linii i przyjrzałem się raz jeszcze nastrojom w czasie krótkiej wizyty majowej w ich środowisku. Była tam głęboka depresja, poczucie zawodu i rosnącej coraz nieufności do Austrii oraz niewiary do dzieła, które czyn ich wyraża. Smutny to jest stan, pełny dramatu w idei i ofierze, której grozi jałowość. Przedłużanie się tego stanu, brak realnych faktów spełnienia się tej idei, martwy punkt Sprawy Polskiej, wreszcie nowe ciężkie walki i trudy, niedołęstwo i porażka Austrii, budzące w żołnierzu polskim pogardę – muszą depresję przetwarzać w duszach w ferment buntu. Buntu jeszcze nie ma, ale burzliwy ferment już jest. Zwolennicy LPP, austrofile, powiadają na to, że wszystkie wojska są w tym samym położeniu, bo wszystkie biją się już przeszło od dwóch lat i nie mają dotąd pewności zwycięstwa i spełnienia swej sprawy. Ale inne wojska składają się z pobranego przymusowo rekruta, który w masie swojej często nie bardzo wie, o co się bije i jest tylko na usługach rozkazu, rozkaz ma dla niego sankcję władzy, która ma sama przez się wielki urok dla przeciętnych dusz ludzkich, a zresztą jest świadomość, że władza wie, czego chce; ci zaś, którzy w wojskach państwowych są świadomi, czują za sobą ojczyznę zorganizowaną, czują rząd odpowiedzialny. Legiony zaś – to wojsko ochotnicze, którego większość złożona jest z ludzi świadomych ideału i celu swojej ofiary, podjętej na własne ryzyko, a nie popartej dotąd przez naród. Nie popiera jej nawet wyraźna wola narodu, a cóż dopiero władza ojczysta, której nie ma wcale. Walczą dzielnie, krwią opływają, są „bohaterami", ale nie widzą tego, o co walczą; zjawa ideału nie staje się zjawą faktu. Trzeci rok płynie, warunki możliwości spełnienia Polski – są, a Polski przecież nie ma. Politycy na hinterlandzie mogą się pocieszać kombinacjami jakichś zawiłych i subtelnych systemów, z których wbrew wszystkiemu Polska musi powstać, ale żołnierz w polu, który patrzy prosto, a subtelności politycznych przez mikroskopy dialektyki rozważać nie potrafi – tego nie widzi. Zresztą politycy, choć się kręcą w swych wysiłkach i kombinacjach jak wiewiórka w kole, męcząc nerwy i również depresją się karmiąc nieraz, są jednak w tej akcji wytwarzania Polski, choćby ta akcja była tylko pozorną, czynni; mają poczucie, że

wysiłkami swymi coś ewentualnie osiągną, że w każdym razie usiłować osiągnąć mogą – i kręcą się dalej, i mają ciągle jakąś podnietę nową i swój głaz Syzyfa znowu dźwignąć usiłują. Żołnierz tego nie ma. Pewne militarne ustępstwa Austrii na rzecz Legionów, bez aktów politycznych na rzecz sprawy polskiej, nie zadowolą i nie uspokoją całkowicie żołnierzy. Różne pogłoski o rychłym sprawy polskiej rozwiązaniu przez mocarstwa centralne, o utworzeniu się w Warszawie „Rady Narodowej“ (to niby tej sławetnej „Delegacji“), o mającym nastąpić tworzeniu armii narodowej i wycofaniu w tym celu Legionów z linii itp. – jeszcze bardziej żołnierzy denerwują, tym bardziej, gdy czas płynie i zadaje kłam wszelkim pogłoskom, a faktycznie nic się nie zmienia, a Legiony dalej stoją w ogniu moskiewskim za sprawę... Austrii, tej Austrii sromotnie bitej, niedołężnej, przez Niemców tylko utrzymywanej, a jednak tak względem Legionów i Sprawy Polskiej – zachłannej. A cóż dopiero, gdyby Piłsudski wniósł dymisję i gdyby dymisja jego została przyjęta, ten Piłsudski, w którym się wciela cała idea i wiara Legionów, ich wódz ukochany! Trzeba też wiedzieć, że coraz bardziej, dzięki wielu czynnikom, a w szczególności Konferencji Pułkowników, wszystkie Brygady Legionów dziś się już niemal stopiły, zbliżając żywiołowo do wzoru I Brygady i do jej wodza Piłsudskiego.

Wieczorem w CKN-ie omawiana była sprawa stosunku do dymisji Piłsudskiego. Okazało się jednak, że dotąd żadnych autentycznych wiadomości o podaniu się Piłsudskiego do dymisji CKN nie otrzymał. Tym niemniej, wobec bardzo uporczywych i zewsząd szerzących się o tym fakcie wieści, liczono się z jego możliwością. Nieliczna część zebranych, z Gustawem Daniłowskim na czele, będąc zdania, że dymisja Piłsudskiego jest klęską dla Legionów, których znaczenie dla Sprawy Polskiej bynajmniej jeszcze wyczerpanym nie jest, proponowała, aby CKN zwrócił się do Piłsudskiego z prośbą cofnięcia dymisji. Większość jednak CKN-u, z Czarkowskim na czele, gorąco zaoponowała przeciwko temu, powiadając, że Piłsudski jedynie sam najlepiej zdoła wyczuć i określić moment, kiedy i jak ma swoją osobą zagrać i rzucić ją na szalę, i że przeto niczego mu doradzać ani o nic prosić nie trzeba, jeno, gdyby się istotnie na dymisję zdecydował, całą siłą go poprzeć i wyciągnąć z tego całkowite konsekwencje polityczne, tym bardziej, że wszelka prośba CKN-u do Piłsudskiego o zmianę jakiegoś kroku lub, jak teraz, o cofnięcie dymisji, byłaby przez przeciwników tak tłumaczona, że oto nawet przyjaciele polityczni Piłsudskiego nie solidaryzują się z nim. To by osłabiło wagę i siłę tego największego atutu politycznego, jakim jest osoba Piłsudskiego i taki krok stanowczy z jego strony. CKN utrzymał się wiernie na stanowisku uznania Piłsudskiego za wodza Sprawy.

Ligowcy, jak Ludwik Abramowicz (nie on jeden, bo cały obóz Ligi i NKN-u), są źli na Piłsudskiego. Powiadają oni, że jeżeli w Legionach jest depresja, jeżeli żadne zdobycze na Austrii w stanowisku Legionów nie zadowalają żołnierzy, jeżeli w ogóle Legiony są jak kapryśne dziecko, niepowolne polityce NKN-u – to wina jest w tym Piłsudskiego, który zajmuje się frondą, zamiast być tylko dowódcą, i sieje ziarno rewolucyjnego rozpolitykowania w szeregi wojska, którego zadaniem jest bić się – a nie politykować. Jest to w najwyższym stopniu mylne. Piłsudski tylko w doskonałym stopniu wyraża to, co w żołnierzach kiełkuje i jest ich rzecznikiem. Dlatego właśnie tak go kochają i tak mu wierzą w Legionach. Dlatego w nim Legiony swoją ostoję widzą.

22 sierpnia, rok 1916, wtorek

Wrócił Hugo Kaufman z Brygady i już na stałe w Warszawie się osiedli. Powiada, że nic w Brygadzie o dymisji Piłsudskiego nie słyszał i że w papierach, które tu do Sławka przywiózł, także nic o tym nie ma. Zdaje się więc, że cała rzecz była przesadzona i że

dymisja Piłsudskiego, jeżeli nawet coś w tym duchu miało miejsce, nie jest w tej chwili czymś bezpośrednio na porządku dziennym stojącym.
Miałem dziś rozmowę z Erdmanem, członkiem CKN-u, ludowcem, który ma po żonie majątek w powiecie bielskim w obwodzie białostockim. Omawiałem z nim ewentualność mojej podróży do Wilna bez żadnej przepustki. Do Białegostoku tą drogą dojechać można, ale dalej ustalonej komunikacji nie ma; trzeba byłoby dopiero szukać stamtąd dróg przez ludzi tamecznych, jadąc od dworu do dworu, z jednych rąk w drugie. Niepewna to droga, która ewentualnie mogłaby raczej doprowadzić do obozu jeńców, niż do Wilna. Wątpię, abym się na nią zdecydował.
Przejdę teraz do zupełnie innej sfery tematów. Wszak bądź co bądź: „*homo sum*" i nie mogę się pozbyć ludzkich słabości. Czy to nawet słabością można nazwać, że mężczyzna pragnie kobiety, że jak wszystko, co żyje, szuka piękna i szuka instynktem niezbędnej dla siebie formy emanacji, więcej nawet – bo tego, co jest zarazem emanacją i chłonięciem, czynną wydajną energią i posiadaniem. Wszak ostatecznie w tym się całe życie wyraża, a najdoskonalszą tego postacią jest stosunek mężczyzny do kobiety, ten jedyny, tak odrębny od wszystkich innych stosunków, odtwarzających w sobie w skondensowanym, że się tak wyrażę, streszczeniu jak w mikrokosmosie cały świat zabiegów, prac, ruchów, działań, z których się życie składa, a które zawsze wytężone są w przyszłość. Dlatego też tylko w stosunku mężczyzny do kobiety, gdy jest on doskonały i całkowity, iści się szczęście, którego koroną, realizującą przyszłość, są dzieci. Nie każdy oczywiście z tych stosunków jest szczęściem; są między nimi wielkie i podłe, szlachetne i plugawe; dopiero gdy wszystkie elementy tego stosunku, to znaczy zarówno męskie, jak żeńskie, zarówno te, które dotyczą posiadania, jak te, które dotyczą oddania się, i to w całkowitej formie, ogarniającej całych dwoje ludzi w ich fizycznej i nie mniej psychicznej naturze, są obecne i doprowadzone do największego wyrazu, to znaczy gdy stosunek ten już się miłością staje, dopiero wtedy może być mowa o szczęściu. Dopiero wtedy jest ten wielki piękny cud, cud szczęścia, cud doskonałości, cud wypełnienia sobą świata w przenikaniu się wzajemnym i uzupełnieniu, cud, w którym ciężki cielesny człowiek staje się promienisty. Siła miłości i głąb szczęścia zależy też oczywiście w pierwszym rzędzie od samych jednostek ludzkich, od ich bogactwa naturalnego; nikt bowiem nie może dać więcej, niż ma. Dla mnie to już skończone. Miałem szczęście tak wielkie, ponad jakie większego wyśnić bym nie zdołał, i drugiego, innego zwłaszcza, szczęścia – nie pragnę zgoła. Gdyby mi wolno było błagać Boga – o jedno bym Go błagał: aby po śmierci doczesnej dał mi połączenie z Anną. Ale w ciele żywym, z czujących elementów złożonym, instynkt pragnienia nie wygasa. Szuka on kobiety, czepia się jej, aby choć fragmentów tej ekstazy zaznać, choć pozorami się upoić, znarkotyzować się złudą ubogich blasków, wątłych i nędznych odbić od tego wielkiego słońca, które człowiek w tęsknocie swojej, w tajemnicy przeczucia lub w świadomości pamięci nosi. Nędzne to – o, jakże dobrze wiem o tym! Ubogie i marne, nie sycące głodu dłużej, niż na jakiś jeden do dwóch dni zmęczenia, nie dające zresztą nic prawie poza stępieniem doraźnym tego, co jest najprostsze i najelementarniejsze, jak zmysły fizyczne, jak woń ciała, pieszczenie wzroku kształtem, drażnienie ucha dźwiękiem głosu, sycenie dotyku zwłaszcza tym najgłębszym aktem żywiołowego dzikiego posiadania fizycznego, w którym mężczyzna do obłędu już nie pieści, ale jak zwierz gwałci drżące pod nim ciało dziewczyny, okrutny i drapieżny, jak szał dzikich wichrów pustyni, łaknący męczarni ofiary, pojący się jej jękiem, kochający ją miłością orła, rozdzierającego krwawe ciało jagnięcia. Nędzne to, bo ubogie, bo bardzo jednostronne, bardzo dalekie od tęsknoty do szczęścia. Stosunek to sprzedajny, a jeżeli nawet nie sprzedajny, to tylko elementarny, zmysłowy, nie wyczerpujący najistotniejszej sfery człowieka – psychicznej, w której rozkosz

posiadania wespół z posiadaniem ciała – jest w stosunku mężczyzny do kobiety największą. Bo ciało z jego subtelnymi i pięknymi wyrazami barwy, zapachu, kształtu, dźwięku, całej plastyki fizycznej – to tylko kontur i ekspresja psychicznej natury. A większość żywego towaru kobiet do uciechy – to tylko ciało do nabycia. W tym ciele zgadywać należy duszę, szukać ją i domyślać się wiedzą doświadczenia, ale nieraz jej albo nie ma wcale, albo jest niezmiernie blada i wątła, zabita bestialskim życiem towaru, albo ukryta głęboko i niedostępna. I czy można się dziwić, że biedne istoty niewieście, męczennice rozpusty lub nędzy, nie mogą lub nie chcą dać siebie poza ciałem? Dają za dużo mimo woli, bo mężczyzna w takim stosunku przelotnym jest jej wrogiem podstępnym, który, kupując jej ciało, usiłuje wykraść jej cząstkę duszy i, jeżeli jest tylko biegły w sztuce, rzeczywiście prawie zawsze wykraść potrafi, choć na chwilkę i choć w cząstce, ale w takiej cząstce właśnie, która jest najbardziej głęboka i osobnicza, tajona serdecznie jak własność nie do sprzedania. I tracą duszę biedaczki po trochę, a mężczyzna, nasyciwszy głód chwilowy, jak złodziej, odchodzi. Dzikie są te stosunki, w których kryją się wzory najpierwotniejszych potwornych gwałtów z przedjaskiniowych czasów, gdy świat wrzał elementarną walką o byt. Okradane przez mężczyzn dziewczęta, rzucone na drogę żywego handlu, tracą duszę, o ile ją miały i ubożeją. Pod tym względem mam grzechy. Nie lubię stosunków doraźnych. Szukam przez czas jakiś, zamieniając osoby dziewcząt, aż natrafiam na takie, w których można się jeszcze ich ekspansją psychiczną pożywić. Przez długi czas, od wyjazdu z Wilna w maju roku ubiegłego, aż do maja tego roku, gdym bawił przelotnie w Lublinie, nie zaznałem kobiety. Jakoś w sobie zdołałem żądzę ugasić i nie myślałem o tym wcale. Sam nie rozumiem, jak się to stało, bo nigdy, od lat kilkunastu takiego okresu wstrzemięźliwości nie zachowałem. Ale za to, gdym w maju tę wstrzemięźliwość złamał, obudziła się we mnie żądza zdwojona. Nie umiem jej stłumić.

23 sierpnia, rok 1916, środa
Znowu przykrość. List od Maryńki, w którym pisze, że i jej Niemcy odmówili pozwolenia na przyjazd do Warszawy. Maryńka ponowi jeszcze starania, ale czy co z tego będzie? Inni otrzymują przepustki i jeżdżą: oto z samych znajomych moich był tu niedawno z Wilna Franciszek Hryniewicz, Jarocki, poprzednio nawet Wacław Studnicki i wielu innych, świeżo przyjechał aktor Wiślański, dyrektor Banku Handlowego w Wilnie Stanisław Kognowicki, do Wilna zaś stąd jeździła panna Bakunówna i różni inni, a tylko nam z Maryńką ani rusz. Co to za racja i na jakim tropie są Niemcy? Biedna Marynieczka jest strapiona bardzo, biedaczka. Skarży się, że wszystko jej tak się nie wiedzie, wszystko tak jak z kamienia idzie, że sama ma tylko zewsząd ciężary, iż tylko w dzieciach ma jedyne ukojenie. Kłopoty z domem Wołodkowiczów, ciągłe podatki, nakładane przez Niemców, z Bohdaniszek od Papy żadnej pociechy, niemożność mego przyjazdu ani dostania się do mnie! Maryńka znerwowana, strapiona, płacze ciągle. Powiada, że gdybyż to mieć pewność przynajmniej, że ten czyściec prowadzi do czegoś lepszego w przyszłości, ale i tej pociechy nie ma: nie wierzy, aby coś zaświtało po wojnie. O, jak rozumiem, jak im tam jest ciężko! Tu przynajmniej są jakieś perspektywy polityczne, jakiś wolności błysk – tam i tego nie ma: nic, prócz męczarni. Smutno myśleć o Wilnie.
Wieczorem poszedłem dziś z Helą Ochenkowską i Ludwikiem Abramowiczem do Małego Teatru na przedstawienie premiery Wilnianina, niejakiego Antoniego Millera, pt. „Murawjew", w której występowała po raz pierwszy w Warszawie panna Aldona Jasieńska, Wilnianka, siostra młodego adwokata wileńskiego, Jasieńskiego. Wybraliśmy się dla debiutantki. Nie lubię teatru, zwłaszcza dramatu, i nigdy prawie nie chodzę; toteż osobliwy tylko wyjątek tym razem zrobiłem i nie ubawiłem się wcale

zbytnio. Sztuka była znośna, zawierająca kilka prawdziwych anegdotek historycznych z rządów Murawjewa w Wilnie; nieznośny za to był prolog odczytowy autora Millera – jakiś rodzaj antologii z całej poezji i wierszoklectwa patriotycznego.
Wracam do tego, o czym wczoraj pisałem. Czy potrzebnie – sam nie wiem, ale chcę i w tej sferze siebie przedstawić. Stosunek do kobiety – to rzecz, która zajmowała u mnie zawsze dużo miejsca (nie w dzienniku, ale w praktyce). Nie jest to tylko erotyzm ani rozpusta, ani kochliwość szczególna. Jest to instynkt twórczości, szukanie ujścia dla własnej ekspansji oraz chłonięcie człowieka, a przez człowieka – natury. W stosunku mężczyzny do kobiety jest akt komunii ze światem, rodzaj misterium panteistycznego. Osobnik nie może być izolowany zawsze; głęboką potrzebą każdego osobnika jest stapianie się ze światem, odświeżanie się i zarazem odradzanie własnego indywidualizmu przez zlanie się i następnie odcięcie od natury. A kobieta realizuje dla mężczyzny świat natury; w jej kształtach i ruchach, w jej ciała zmysłowych elementach, jak oczy, głos, włosy, linie, zapach, barwy, utysiąckrotnione w szczegółach, w jej duszy wrażliwej – streszcza się cała żywa natura z jej pięknem, tutaj w małej kobiecie, jak w mikrokosmosie, skupionym. Posiadanie kobiety – jest posiadaniem natury, posiadaniem świata. Wprawdzie w miłości tylko realizuje się doskonałe posiadanie, ale tęsknota wciąż gna ku niemu mężczyznę, choćby wiedział, że się ono nie spełni. Szuka choć pozorów i ochłapów, a nie zadowalając się nimi w prostym akcie spółkowania, usiłuje z każdej okolicznościowej kobiety wyciągnąć *maximum* tego, co mu ona ze siebie dać może, nie wyłączając wykradania cząstek jej duszy. Im więcej tej duszy z niej wyssie, tym jest bliższy swego pragnienia, tym sytszy. W Piotrkowie zbliżyłem się tej wiosny do młodej Żydóweczki, Berty Markiewicz, dziewczyny, tryskającej wyrazem i temperamentem, ale za to przez jej oczy i zmysły płynęła cała jej mała zawartość psychiczna, którą można było chłonąć i posiadać. Paliła się jak zapałka. Wybuchała swoim ognikiem i spalała się. Tu w Warszawie inną mam dziewczynę – niejaką Stefcię lesicką, Mazurkę z Łomżyńskiego, młodą 17-letnią o czarnych kędzierzawych włoskach, które, rozplecione, pięknie jej twarzyczkę okalają, i blado-niebieskich oczach w ładnych młodzieńczych kształtach ciała. Ta jest mdła, cicha i smutna. Sierotą jest bez matki, a ojca ma, żonatego z macochą. Ma też siostrę zamężną, której mieszkanie porzuciła, by być wolniejszą i snuć dowolny wątek życia; prawdopodobnie z lenistwa do pracy, z braku energii i woli. Mieszka z koleżanką; obie są niezarejestrowane, choć właściwie już żyją z przygodnych stosunków z mężczyznami. Bronią się przeciwko tej potwornej rejestracji, która zwłaszcza teraz, w czasie wojny, pod rządami niemieckimi, jest zupełną niewolą dla biednej kobiety. Z tą Stefcią mam inną metodę, niż miałem z Bertą piotrkowską. Ta jest mdła i byłaby nudna i bezbarwna, gdyby jej nie znarkotyzować. Ale gdy jej dać wypić, budzą się w niej tęsknoty i żale, budzi się jakiś smutek dziewiczy równin mazowieckich, w jej niebiesko-szarych oczach streszczony, budzi się pamięć krzywd sierocych, ból niespełnionych młodej dziewczyny marzeń i miłości pragnień, budzi się strach przed tym życiem, na które lenistwo, płochość i brak opieki ją pchnęły. Chce wtedy pić coraz więcej, a im więcej pije, tym intensywniej czucie jej rośnie. Wtedy otaczam ją ramieniem jak dziecko i jak dziecku mówię bajki o wielkim życiu, o sile szczęścia i innych losach, tak dalekich od jej losu. Wtedy Stefcia płacze i płacze jak mała dziewczynka i chce być wielka, i chce być silna, a duszyczka jej rozwija się i wszystkich barw krasy dobywa, a ciało staje się podatne, wrażeniami i czuciem promieniejące, pożądliwe tej siły, która jej krzywdę i niemoc ukoi. I wtedy tę małą mazowiecką duszyczkę posiadam, a zła jej nie robię.

24 sierpnia, rok 1916, czwartek

Ostatecznie rad jestem, że opowiedziałem w dzienniku o moich stosunkach z kobietami. Nie chcę uchodzić za lepszego, niż jestem. Jakże nędzne, jak ubogie są te stosunki, z jak marnych ochłapów tego, co jest tęczą i pełnią ludzkiego życia, złożone! Wiem o tym. Kończą się one na syceniu żądz elementarnym, w którym tylko daleki refren złudzenia gdzieś na dnie wyobraźni mojej gra swoją pieść pozorną. Na usprawiedliwienie mogę jednak zastrzec to, że jednak biedaczkom tym, biorąc od nich syntezę ich ciała z małym, ile je stać, uszczkniętym skrawkiem ich duszy, nie płacę tylko pieniędzmi, ale daję też braterstwo. To im daję szczerze i serdecznie, a one to lubią i im to jest w ich nędzy potrzebne; pragną go i cieszą się nim. Ludzkość ich szlachetną stwierdzam i tę kocham, bez względu na wszystko inne; w ludzkości jestem im równym, jestem im bratem. Dziwny, pełny mistycznego cudu jest ten pociąg mężczyzny do kobiety. Niech będzie człowiek przeżyty, niech będzie miał życie za sobą, niech w perwersji i przesycie przez wszystkie stopnie przejdzie – a przecież wraca zawsze do tego elementarnego piękna, doskonałej natury. Wyjść poza nią niepodobna. Można używać najwyszukańszych sposobów rozkoszy, najwyuzdańszych rafinowań podniety, do krwi włącznie – a przecież zawsze pozostaje to w sferze możliwości, w kobiecie i w niej jednej streszczonych. Można nawet do jakichś seksualnych fantazji i chimer dochodzić, zwyrodniałe formy w dziwacznym szale krwi budować i pieścić, nawet w kształtach chłopięcych zmysły poić – a jednak zawsze kobiece elementy, nie zaś jakieś inne, są w podstawie tego, czego męskie pragnienie szuka. Ten pociąg do kobiety, ten ciągły do stosunku z nią powrót – kosztują mię drogo, w najpospolitszym słowa znaczeniu. Jestem oszczędny i do minimum potrzeby moje i wydatki, jak oto teraz, ograniczam. Nie umiem natomiast na kobiecie oszczędzać, nie umiem ani jej materialnie skrzywdzić, ani czegoś odmówić i oszczędzić, co może mi jej wydajność podnieść i moje posiadanie kobiety spotęgować. Tu staję się rozrzutny aż do marnotrawstwa. A gdy ostatecznie analizuję ową moją „słabość“ czy jak to tam nazwać – do kobiet, to, aby być szczerym, wyznaję: tak jest, o mój Boże: czy obrażę Aninkę, gdy powiem, że to, czego w kobietach szukam, za czym w tych wszystkich stosunkach i związkach gonię – to Ona! Tak jest. Wiem z zupełną ścisłością, że Jej nie znajdę, wiem, że źródła kobiety uschły dla mnie z Jej śmiercią, a jednak najgłębszym instynktem nie czego innego, jak Jej szukam i do Niej to tęsknię, za Nią gonię. Aninko! Przebacz mi! Przyjdę do Ciebie, Aninko, przyjdę w śmierci mojej i miłości naszej, bo nie masz dla mnie prócz Boga i Ciebie! W Tobie był mój świt, w Tobie nasze południe i jeszcze raz w Tobie nasza wieczysta noc! Ale noc to kochana, noc, w której nie ma świtania, noc w Bogu doskonała, święta, jedyna w nas dwojgu, czujna w sobie, a czarna i odcięta od świata. Noc ta – to życie nasze przyszłe, w którym nie ma obcych słońc ani ciał, ani barw, ani żadnych rzeczy – tylko my sobie. To niebyt – to wieczysty byt. Nie nirwana śmierci, ale doskonałość życia. Tego z Tobą wiekuistego życia, tej miłości jedynej jak noc, o jakże pragnę, Aninko, jak do niej tęsknię. I wierzę w nią, jak wierzę w Boga żywego. Nie egoizm, nie interes, nie zyski, ale miłość, tak wielka, przez Chrystusa głoszona – ona to zwycięży i ona nam da to nasze szczęście. Jak tu na Ziemi ona tylko jest dźwignią szczęścia i prawdy w stosunkach zarówno między poszczególnymi ludźmi, jak w łonie całej Ludzkości, tak w wiekuistym życiu w Bogu ona jedna jest szczęściem i doskonałości Królestwem.

Dziś otrzymałem znowu moją korespondencję przez Piotrków. Jest w niej zwłaszcza list od ob. Emila Czerniawskiego z Brygady i list Elwiry zza kordonu. List Czerniawskiego, jak zawsze, niezmiernie ciekawy, pełny treściwego i zarazem plastycznego opisu wypadków na linii, zarazem niezwykle długi, pisany aż na 8 arkusikach papieru pocztowego (32 strony!) drobnym pismem. Jest w tym liście szczegółowy opis całego okresu życia i czynów Brygady od czasu mojej ostatniej wizyty, to znaczy od początku

maja, i zwłaszcza znakomity, tętniący życiem, opis groźnych wypadków lipcowych, zakończonych cofnięciem się z linii Styru na linię Stochodu. W roku zeszłym, gdym był w szeregach, już bitwa pod Kostiuchnówką z dnia 2-3 października wydała mi się piekłem, a następnie wrażenie Jabłonki i Kukli jeszcze bardziej mię grozą przejęło. Wszakże to, co miało miejsce w lipcu, z tym ogniem huraganowym ciężkiej artylerii – to było dopiero piekło prawdziwe wojny, wobec którego tamto było tylko zabawką dziecinną. Z samego opisu wieje groza strasznego żywiołu wojny, a cóż dopiero w naturze! Zdaje się nigdy jeszcze Legiony takiej bitwy „*moderne*", z całą techniką wojenną po stronie przeciwnika, nie stoczyły. Byli to już nie ci prości Moskale, ale siła moskiewska, zorganizowana przez sztukę – *dernier cri de la science* – franko-anglo-japońsko-belgijską. Dłuższy urywek z listu Czerniawskiego może podam do druku w „Widnokręgu", jak to już raz w „Wiadomościach Polskich" zrobiłem. Sam Czerniawski, zachęcony debiutem w „Wiadomościach", prosi mię o podanie do druku.
Listek kochanej Elwiry pisany 11 czerwca (zdaje się – starego stylu). Martwi się siostrzyczka kochana; że nie otrzymuję jej listów, tylko listy Kotuni i że jej to wymawiam, kiedy ona ciągle, nie mniej od Kotuni, pisze. Ale od czasu, gdym jej to wymawiał, kilka już listów od niej otrzymałem. Pisze mi o sobie, o Wiązowcu itd., a najwięcej mię za serce bierze nie wieściami, nie opisami, ale serdeczną tęsknotą do mnie, miłością siostrzaną, tymi łzami wzruszenia, o których wspomina, że powitała nimi pismo moje. Ten związek serca, który w naszej wymianie listów może w tych czasach rozdziału znaleźć swój wyraz, jest droższy nad fakty i informacje. To jest ten promyk kochany, który nam świeci i biegnie w tej korespondencji osobliwej – od jednego do drugiego.
Słówko jeszcze z ostatniego listu Maryńki. Z przyjemnością dowiaduję się od niej, że ta „kucharka Apolonia", o której wpływach w Bohdaniszkach poprzednio mi Maryńka pisała, nie jest kochanką Papy, ale że jej Papa wierzy i słucha więcej niż swoich najbliższych, niż Komorowskich.

25 sierpnia, rok 1916, piątek
Zaniepokoiła mię dziś Maryńka swoją kartką. Poweselała już, bo znowu odzyskała nadzieję przyjazdu do Warszawy i widzenia się ze mną. Pisze, że jakiś ze znajomych jej oficerów niemieckich poradził jej motywować prośbę o wyjazd do Warszawy tym, że ja jestem legionistą i mogę zginąć na linii, wobec czego ona pragnie skorzystać z mojego pobytu w Warszawie, by się ze mną zobaczyć i zarazem omówić różne pilne sprawy spadkowe po śp. Mamie. Oficer napisał jej podanie, które ona następnie do odpowiedniego urzędu wniosła. Otóż to mię niepokoi. Urzędowo siedzę tu jako cywil, na podstawie paszportu niemieckiego, nie ujawniając bynajmniej mojej przynależności do Legionów. Ujawnienie tego może nie tylko zwrócić na mnie uwagę Niemców, ale jeszcze wywołać pytanie, na jakiej zasadzie tutaj przyjechałem i przebywam. Wszakże żadnych dokumentów ani zwolnienia z Legionów, ani superrewizji, ani urlopu – nie posiadam. Mogą się mnie Niemcy czepiać i nawet kto wie, czy nie aresztować. Maryńka i ten oficer niemiecki w Wilnie nie znają tych naszych stosunków i sytuacji i nie wątpią zapewne, że mój pobyt jako wojskowego w Warszawie – jest zupełnie formalny, bez ukrywania czegokolwiek od władz niemieckich. Ludwik Abramowicz radzi mi, abym nie przyznawał się, że byłem w Legionach, bo wtedy istotnie mogliby zażądać moich dokumentów wojskowych, jeno mówił, że postanowiłem wstąpić. Ale jeżeli tak odpowiem, to upada najważniejszy motyw dla pozwolenia na przyjazd Maryńki, bo co innego dopuścić siostrę do zobaczenia się z bratem żołnierzem, bawiącym na urlopie, a co innego – do widzenia się z tym, który „postanowił" wstąpić, ale może nawet wcale nie wstąpi. Takie „postanowienie" może być po prostu

zmyślonym wybiegiem dla wyłudzenia przyjazdu siostry. Rzecz staje się w każdym razie dość skomplikowana i niepokojąca. Osobiście mocno wątpię, aby już udało się Maryńce pozwolenie wyrobić, co do mnie zaś, to już postanowienie moje prawie że na amen zapadło: wrócić ± w połowie września do szeregów. Nic innego przed sobą nie widzę. Przekonałem się, że jakakolwiek akcja w sprawie Litwy jest przedwczesna. Nie przedwczesną byłaby ona tylko tam na miejscu – w Wilnie. Gdy zaś tam dojechać niepodobna – tu na dłuższą metę nie mam co w tej sprawie robić. Sprawa polska w najściślejszym jej znaczeniu, co do losów Królestwa Polskiego, jest jeszcze daleka, jak się okazuje, od jakiegoś przesądzenia i oparcia o fakty dokonane, a szczególnie w tej chwili zdaje się być w stadium przewlekłego zastoju – to cóż dopiero kwestia wiązania z nią Litwy! Dziś tutaj w Warszawie narzucać sprawę Litwy Polsce – to rzecz jest bardzo nieaktualna. Być zaś „ambasadorem Litwy" bez oparcia się o nią i nawet bez kontaktu z krajem – to rola śmieszna, nie mówiąc o tym, że jest jałowa. A zresztą, poza wszystkim innym, jest obowiązek dopełnienia ofiary. Uważam, że wstąpienie do Legionów obowiązuje. Trzeba konsekwencje czynu w całym ich ciężarze przyjąć i dźwignąć. Nie uważam, żeby względy polityczne, które określają stosunek Legionów do sprawy polskiej i idei wolności, doprowadziły do faktu bankructwa Legionów. Faktu tego nie ma. Że względy te nakazują zajęcie stanowiska antywerbunkowego, na które się godzę – to nic jeszcze o bankructwie samych Legionów nie mówi. Co innego – sprawa werbunku, a co innego – obowiązek tych, którzy już do Legionów należą. Ich obowiązkiem – dzielić losy czynnie Legionów do kresu, to znaczy bądź do śmierci, bądź do spełnienia ich dzieła, bądź do momentu ich rzeczywistego bankructwa, gdyby ono nastąpić miało i gdyby nawet na rozkaz Piłsudskiego przyszło to bankructwo jakimś dramatem buntu stwierdzić. Nie chcę być jednym z tych, którzy wstąpili do Legionów dla munduru i zaszczytu, aby mieć fotografię swoją na pamiątkę i tytuł oraz mundur legionisty – dla przekazania swoich „zasług" potomkom. Nie po to zaiste do Legionów wstąpiłem i nie tą myślą o pozorach powodowany byłem, gdy mi na Aninki grobie dojrzewał zamiar wstąpienia w ich szeregi. Że przez 1 ½ miesiąca byłem w linii i że zrządzeniem Boskim ocalałem – to nie dla uwieńczenia zamiaru. Koroną może być tylko spełnienie czynu do końca, jakimkolwiek by on był. Amen. Z tego, że jestem superarbitrowany i że mógłbym legalnie uniknąć powrotu na linię, korzystać nie chcę. Legalizm formalny nie odpowiada tutaj legalizmowi mojego sumienia. Czuję, że nie jestem ani tak słaby, ani tak chory na serce, abym rzeczywiście nie mógł podołać. Że mi jest ciężko w linii, może ciężej fizycznie, niż niejednemu innemu z żołnierzy – cóż z tego. Taka ofiara nie może być lekką ani li tylko przyjemną, a przecie ma ona i swoje przyjemne, swoje piękne i podniosłe strony, obok wielu ciężkich i bardzo smutnych. Że mi ciężko i że pod pewnymi względami nie mogę być doskonałym żołnierzem – to co? Czyż tysiące innych z tej młodzieży legionowej nie ciężej ponosi tę ofiarę od ciężaru mojego, jeżeli nie fizycznie, to o ileż bardziej moralnie, nie mówiąc o tym, że poświęca więcej niż ja, bo poświęca młodość i cały kwiat swojego życia, czego już ja nie poświęcam. Męczą się oni po roku i po dwa lata, a choć fizycznie są wytrwalsi, to czy przez to siłą brzemienia ich ofiary ma być lżejszą od mojej? Fizyczny ciężar nie jest najcięższy. Jedno by mię tylko mogło od Legionów uwolnić – to potrzeba akcji dla Litwy. Ale skoro nie mogę dostać się do Wilna i akcję tę wykonywać, to zostaje mi droga prosta: Legiony i linia. Tak mi dopomóż, Boże!

26 sierpnia, rok 1916, sobota
Cieszę się, że napisałem wczoraj w dzienniku o moim zamiarze powrotu do Legionów na linię. Jest to tak, jak żeby klamka zapadła: postanowienie sformowało się. A mam w mojej naturze dość siły i nawet uporu litewskiego, aby postanowienie w czyn

wprowadzić. I odkąd postanowienie powziąłem, jestem spokojniejszy i pewniejszy siebie. To jest właśnie dobra strona dziennika: moralna kontrola samego siebie i mus konsekwencji czynu; bo dziennik kształci odpowiedzialność i służy poniekąd do moralnej krystalizacji człowieka, materializując poniekąd sumienie. Przysłowie rosyjskie powiada: „Что написано перомъ, того не вырубишь топоромъ“ – i ma rację. Mało co przejdzie człowiekowi przez myśl, błyśnie w woli i zamiarze! Tymczasem gdy to zostało utrwalone w dzienniku, to już obowiązuje i woła o konsekwencje czynu. To przestaje być lotnym i nakłada odpowiedzialność. Jest wtedy sędzia-sumienie, mocno usadowione i zmaterializowane poza przelotnymi nastrojami. Nie zmusza to bynajmniej do niewolnictwa i do martwego posłuszeństwa: wolności to nie tyka, jeno odpowiedzialność ustala i obowiązek wytwarza. Można postanowienia dziennikowego nie spełnić, ale trzeba w takim razie poddać je rewizji i obalić. Człowiek odtąd kieruje swe kroki w ramach odpowiedzialności i pod obowiązków znakiem. Obecnie więc co do powrotu na linię – postanowiłem. Byle tylko owo podanie Maryńki z wykazaniem, że jestem legionistą, nie zamąciło toku moich zamiarów i nie wywołało jakichś nieprzewidzianych komplikacji.
Zacząłem dziś, na wypadek ewentualnej śmierci mojej na wojnie, list do córki mojej, który, o ile bym zginął, miałby być jej wręczony po ukończeniu przez nią 18 roku życia, kiedy już będzie panną dorosłą, to znaczy za lat 12. Oczywiście – nie każdy żołnierz umiera, ale ewentualność taka jest zawsze możliwa. Opiszę córce dzieje mego stosunku z jej matką, starając się być zupełnie bezstronnym i prawdziwym i unikając wszystkiego, co by cień jakiejś winy na jej matkę rzucało lub mogło mieć cechę spekulacji na rzecz wyidelizowania mojej osoby. Postaram się przedstawić istotny dramat tego stosunku w jego prostej rzeczowej formie, jakim on rzeczywiście był, poza wszelkimi „winami“ nas obojga. Sądzę, że oddanie prawdy tego stosunku córce mojej – winienem. Gdy ona dorośnie i stanie się czującym i myślącym człowiekiem, będzie musiała się zastanowić nad tragiczną zagadką, która jej rodziców połączyła i rozdzieliła. Dla dziewczyny będzie to ciężka i bolesna zagadka, jeżeli serce i sumienie mieć będzie. A przypuszczam, że córka moja i Reginy nie będzie pustą lalką; jeżeli nawet jej wychowanie i wykształcenie, jej kultura szwankować będzie pod Reginy pedagogicznym kierunkiem, to charakteru i głębi uczuć nie będzie jej brakło. Otóż nie mogę tak córki zostawić wobec tej zagadki. Dam jej bezpośrednio prawdę naszego stosunku tak, jak ją widzę i rozumiem w łańcuchu faktów i okoliczności, które mu towarzyszyły, a realizowały się w mojej i Reginy psychice. Być może, że w końcu tego listu do córki dam jej krótki zarys moich ideowych pobudek udziału w Legionach, mojego do Litwy stosunku i moich najgłębszych założeń ludowego ideału.
Władysław Studnicki projektuje wielką dyskusję litewską w Klubie Państwowców Polskich. Miał ją na dzień wczorajszy wyznaczyć, ale wyznaczył wreszcie na wtorek. Chce tej sprawie bodaj ze dwa wielkie wieczory, ze dwa szerokie posiedzenia Klubu poświęcić. Zaprosić myśli szerokie koła ludzi spoza Klubu, aby jak największe zainteresowanie obudzić i jak największą siłę sprawie nadać. Punktem wyjścia poniekąd był zgłoszony przeze mnie do zarządu Klubu projekt rezolucji. Ale Studnicki nie całkowicie się na ten projekt zgadza. Mianowicie w jego pojęciu Białoruś, przynajmniej Zachodnia, jest całkowicie i wyłącznie prowincją polską, jest terenem do kolonizacji i narodowej ekspansji polskiej, wobec której Białorusini są tylko materiałem do zasilania polskiej kultury domieszką odrębnych pierwiastków etnicznych. Wprawdzie ja w moim kompromisowym projekcie rezolucji ograniczam się dla Białej Rusi (Zachodniej, oderwanej od Rosji) propozycją tylko dzielnicowego samorządu kulturalnego i gospodarczego, na co się i Studnicki zgadza, ale w moim pojęciu chodzi o coś zgoła innego do zrealizowania w tym samorządzie – mianowicie o szkołę samorządności dla

ludu miejscowego i o etap, choćby na razie tylko taki, do dalszej ewolucji w kierunku usamodzielnienia tego kraju. Założenia nasze są więc tutaj głęboko różne i co do mnie nie wątpię, że gdyby się te formy zrealizowały, rozwój z konieczności poszedłby, może nawet po wielu tarciach, ale ostatecznie po linii mego, a nie Studnickiego, kierunku. Ale ponieważ we wnioskach tu nie ma między nami głębszej różnicy, to ten punkt by uszedł. Natomiast do Litwy etnograficznej i Kurlandii są między nami różnice nie tylko w założeniach, ale i wnioskach. Ja mianowicie łączę Litwę z Łotwą w osobną terytorialno-autonomiczną jednostkę. Takie łączenie i budowanie terytorialnej autonomii daje tam oparcie elementowi ludowemu, łotewsko-litewskiemu. Studnicki je rozdziela. Co do Łotwy (Kurlandii), zakreśla jej szeroki autonomizm na prawno-państwowych zasadach, ale z ideą oparcia się o Bałtów (Niemców nadbałtyckich) z oddaniem im na pożarcie Łotyszów, co dla mnie oczywiście z ludowego stanowiska jest niedopuszczalne. Co zaś do Litwy etnograficznej, Studnicki jest przeciwny terytorialnej autonomii prawno-państwowej, uważając na całym terenie Polski z Litwą jedynie polski element za państwowotwórczy, natomiast Litwinom chce uznać prawno-polityczną autonomię narodową i pozaterytorialną, polegającą np. na ustąpieniu im do ich rozporządzenia autonomicznego części budżetu w zakresie narodowo-kulturalnych potrzeb. Jest to rzecz b. słaba i niezadowalająca, nie odpowiadająca już dzisiejszemu stanowisku rozwojowemu Litwinów i nie realizująca żadnego zapoczątkowania prawno-państwowego. Jedną ma to tylko dla Litwinów korzyść, że tą drogą uniknęłoby się przesądzenia sprawy Wilna, co musiałoby być przesądzone przy wszelkich projektach prawno-państwowych i oczywiście byłoby w dzisiejszych stosunkach przesądzone na ich niekorzyść. Ale ja do tego ręki przyłożyć nie mogę. Studnickiego wnioski, które z jego stanowiska są *maximum* ustępstwa, nie dochodzą do tych krańców ustępstw, które ja z przeciwnego stanowiska na rzecz państwowo-polskich postulatów robię. I wreszcie rzecz główna: ja traktuję rzecz w ten sposób, że poza etnograficznie polskimi granicami państwo polskie powinno być budowane na zasadach związkowych, których forma spełnienia powinna być przedmiotem układu między Polską i Litwą, a wnioski konkretne w moim projekcie rezolucji są tylko propozycjami do porozumienia, stawianymi ze strony Polski, podczas gdy Studnicki o układzie i zasadzie związkowej nie chce słyszeć i buduje od razu stąd tezy państwowe polskie, rozciągające się na Litwę. Wobec tego do porozumienia między nami zasadniczo dojść nie może.

27 sierpnia, rok 1916, niedziela
Władysław Studnicki na referentów obrad litewskich w Klubie Państwowców Polskich zaprosił Wakara i Kamienieckiego. Pierwszy z nich jest pochodzenia na poły rosyjskiego. Rodzina jego jest właściwie litewska (Wakar – z litewskiego „Vakaras", co dosłownie znaczy: wieczór), ale dziad jego był żonaty z prawosławną, skąd już ojciec i stryj jego byli prawosławnymi, wychowani po rosyjsku i mieli się za Rosjan (stryj jego był prawowiedem i wysokim urzędnikiem rosyjskim). Sam młody Wakar, wychowany w Polsce, ni etylko że się spolonizował zewnętrznie, ale został gorącym patriotą polskim i nienawidzi Rosji. Był dawniej esdekiem, teraz jest narodowcem; jest sekretarzem „Tygodnika Polskiego", redagowanego przez Gustawa Simona i należy do LPP, choć jest ligowcem umiarkowanym. W szczególności zna się na statystyce i geografii polskiej i z tego to tytułu Studnicki go dla statystycznych uzasadnień przy omawianiu sprawy litewskiej powołał. O drugim, Kamienieckim, wiem mało. Wiem tyle tylko, że go tytułują profesorem i że pracuje w Warszawskim Towarzystwie Naukowym. Wiem, że bawił w czasie tej wojny przez dłuższy czas w Kownie czy pod Kownem i że po powrocie stamtąd napisał – do NKN-u, zdaje się – memoriał relacyjny o stosunkach politycznych tamże. Memoriał ten czytałem w Piotrkowie w biurze

prasowym Departamentu. Nie zawierał on zresztą nic szczególnego, a był pisany z wielkim i, dodam, bardzo powierzchownym – uprzedzeniem do Litwinów. Zdaje się, że obaj ci panowie, tak Wakar, zresztą ożywiony najlepszą chęcią i szczerą wolnościową ideą, jak Kamieniecki, mają słabe pojęcie o Litwie i w jej problemie nie orientują się. Władysław Studnicki chce im zresztą polecić tylko pewne pomocnicze referaty. Główny referat polityczny, programowy w sprawie Litwy – rezerwuje sobie i do tegoż, jako na współreferenta, chciał zaprosić i mnie. W tym celu we czwartek zwołał nas, to znaczy Wakara, Kamienieckiego i mnie, na naradę do lokalu Klubu przy ul. Marszałkowskiej pod nr138. Ja jednak, orientując się co do zasadniczej różnicy zdań, zachodzącej w sprawie stosunku do Litwy między mną a Studnickim, odmówiłem referatu z ramienia Klubu, zastrzegając sobie wolność zabrania głosu i uzasadniania tych tez, które są streszczone w moim projekcie rezolucji, ponieważ będę występował nie jako członek Klubu i nawet nie ze stanowiska państwowości polskiej, jeno jako rzecznik Litwy, jako Litwin (w znaczeniu obywatelskim), ze stanowiska Litwy i jej wolności postulatów, przemawiający do przedstawicieli państwowego kierunku polskiego. Urzędową rezolucję dla uchwały Klubu ma przedstawić sam Studnicki w myśl tych tez jego programu, o których wczoraj w dzienniku pisałem. Ja ich zaakceptować nie mogę i będę z nimi polemizował, ale sam od siebie, nie chcąc schodzić ze stanowiska rzecznika litewskiego, projektu rezolucji nie postawię. Uprzedziłem o tym tych panów, aby być wobec nich lojalnym. Zresztą rozstaliśmy się jak najlepiej. Studnicki i Wakar sądzą, zdaje się, że znajdziemy w dyskusji wspólną platformę wniosków, choćby były różnice w założeniach. Co do mnie – wątpię. Zresztą, jak się potoczy i do czego doprowadzi dyskusja, to będzie zależało od tego, jak członkowie Klubu sami reagować będą na zagadnienie. Mamy się jeszcze raz dla pomówienia we wtorek rano zebrać.
W CKN-ie ujawnia się od pewnego czasu bardzo wyraźny i charakterystyczny zwrot. Jest to reakcja przeciwko robieniu „wielkiej“ polityki w Warszawie, przeciwko tym Syzyfowym usiłowaniom konsolidacyjnych wszechpartyjnych kombinacji, przeciwko w ogóle spekulacjom politycznym „na gębę“ – i zwrot ku pracy organizacyjnej głębokiej u podstaw, w celu wytworzenia ścisłego podłoża ruchu. Organizowanie prowincji, partyjnych ludowych i robotniczych komórek ruchu społecznego z odpowiednim kierunkiem ideologii politycznej, szerzenie wpływów w głąb, organizowanie zawodów, jak nauczycielstwo, sięganie do mas, w ruchu militarnym zaś dalsza głęboka praca w P.O.W. (Polska Organizacja Wojskowa) itd. – oto są główne wytyczne tego nowego prądu, niewątpliwie dodatniego. Przekonano się, że jednak propagandą w głąb, wytwarzaniem ruchu na prowincji i akcją organizacyjną można dużo zrobić i że w niejednym miejscu grunt nie tylko że istnieje, ale jest podatny. Przekonano się też, że wielka polityka warszawska, robiona gadaniem i spekulacją, a operująca pustymi fikcjami bez poparcia żywym organizacyjnym ruchem – jest w skutkach jałowa. Po okresie iluzji i jaskrawych złudzeń, które z jednej strony podniecone były kompromisem wyborczym do Rady Miejskiej i widokami konsolidacji wszechpartyjnej, z drugiej – nadziejami na rychłe przystąpienie przez mocarstwa centralne do rozwiązywania kwestii polskiej – przyszło otrzeźwienie. I jedno, i drugie zawiodło. Sprawa Polska nie została przez mocarstwa centralne przesądzona w kierunku tworzenia faktów dokonanych; przeciwnie – coraz widoczniejszą się staje rezerwa, wywalczona w sprawie polskiej, jak się zdaje, przez Austrię na Niemcach; rezerwa życzliwa, oparta, być może, na pewnych zastrzeżonych tezach, jak niepodzielność Królestwa i jego państwowość oraz oderwanie od Rosji – ale po wojnie; na to są przynajmniej wskazówki, a tymczasem – rezerwa. Co zaś do wewnętrznej „konsolidacji“ Królestwa, to „Delegacja“ wszechpartyjna warszawska nie tylko że nie

spełniła oczekiwań optymistów *à la* Medard Downarowicz, ale zrobiła wielkie fiasko. O zajęciu przez nią frontu antyrosyjskiego i aktywizmie – nie ma zgoła mowy. Bezwładna prawica aż nadto zdaje sobie sprawę z tego, że aktywiści czy to z LPP, czy nawet z CKN-u za małą reprezentują siłę, aby trzeba było dla nich z bezwładu na aktywizm schodzić. I LPP, i CKN same się zresztą przyznały na zebraniach Delegacji do tego, że pchnąć Sprawy Polskiej z bezwładu na aktywizm o własnych siłach nie są w stanie, a gdyby się nie przyznały nawet, to prawica i bez ich przyznania wie, jak się rzeczy mają. Zresztą i użeranie się CKN-u z LPP, dwóch różnych odłamów i metod aktywizmu, czego widowisko miała prawica na ostatnim „Delegacji" posiedzeniu, a co zresztą poza tym w publikacjach obu grup do skandalicznych czasem dochodzi rozmiarów, nie mogło prawicy zbudować i do pójścia za którymkolwiek z tych kierunków skłonić. Zresztą nie życzy sobie ona tego bynajmniej i nie pójdzie, póki się zmuszona jakimś istotnym głębszym ruchem nie ujrzy. Dziś już nawet zebrać „Delegację" prawie że niepodobna. Prawica wysłuchała „spowiedzi" i „egzaminu" CKN-u i LPP i na tym poprzestała; sama się z własnym „egzaminem" nie kwapi. Po co jej to właściwie? Przyzwoitość i pozory niby to nakazują, ale śpieszyć się – zbyteczne. Im dłużej się zwlecze, tym dla wyznawców bezwładu lepiej, i oto już trzecia środa się zbliża, jak posiedzeń „Delegacji" nie ma i jak prawica wciąż swój egzamin „odkłada". Jedyny realny całej owej „konsolidacji" skutek – to była deklaracja niepodległościowa Rady Miejskiej w dniu jej otwarcia.

28 sierpnia, rok 1916, poniedziałek
Wielki nowy wszechświatowej wagi wypadek na wojnie: wystąpienie Rumunii! Wczoraj wieczór Rumunia wypowiedziała wojnę Austro-Węgrom. Pożar wojenny staje się coraz powszechniejszy, ogarnia coraz więcej jednostek państwowych. W trzecim roku wojny przybywa jeszcze zapaśników, a z dawnych nie ubył jeszcze formalnie nikt. Dziś więc stoją w ogniu wojny następujące państwa: z jednej strony Niemcy, Austro-Węgry, Turcja i Bułgaria, z drugiej – Anglia, Rosja, Francja, Włochy, Japonia, Belgia, Serbia, Czarnogóra, Portugalia, Rumunia. Zdaje się, że to już wszystko. Cała litania. Z jednej strony cztery, z drugiej – dziesięć, ogółem 14 państw w wojnie, w tej liczbie wszystkie wielkie mocarstwa, prócz Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Dzikie widowisko w dziejach świata. Wszak to w Europie pozostają neutralne już tylko: Szwecja, Norwegia, Dania, Holandia, Hiszpania, Szwajcaria i Grecja, nie licząc tytularnej Albanii, która bez własnego udziału jest terenem wojny, co zresztą i z Grecją już faktycznie ma miejsce. Państwa neutralne – to już tylko drobne oazy w Europie w porównaniu do olbrzymów dwóch wojujących bloków. Można przypuszczać, że skoro Rumunia weszła w grę, to i Grecja zostanie przez koalicję wciągnięta do kompletu, a kto wie, czy na dobre z czasem nie przyjdzie kolej i na Holandię, Danię, może Szwecję. Zaiste – świat się pali. Ludzkość dostała jakiegoś obłędu tępienia się i niszczenia owoców kultury. Spazm jakiś szarpie łonem Ludzkości, zadając kłam idei postępu i chrześcijańskiej kulturze miłości, a stawiając chciwość, mord i nienawiść, stawiając instynkt brutalny na ołtarzu dziejów. Jest w tej wojnie straszna pogańska bachanalia, jest potworna reakcja barbarzyństwa, coś, co zgrozą przejmuje i wszelką nadzieję dobra i sprawiedliwości podważa.
Wystąpienie Rumunii nie jest zupełną niespodzianką. Że tam się wulkan do wybuchu gotuje, o tym wiedziano dawno. Jeszcze w roku zeszłym, gdym bawił w Rumunii, wkrótce po wybuchu wojny włoskiej, zdawało mi się chwilami, że wojna już już w Rumunii wybuchnie. Zeszłoroczne powodzenie mocarstw centralnych w Rosji i na Bałkanach odroczyło chwilę. Tegoroczna ofensywa rosyjska i pochwycenie inicjatywy przez koalicję – przyśpieszyły decyzję Rumunii. Konszachty jej z koalicją, gorączka

wewnętrzna – rosły ciągle. Ważyło się to przez czas jakiś i już zdawało nawet łagodnieć, gdy oto wybuch nastąpił. Jaki obrót wezmą teraz wypadki? Najbliższa przyszłość przyniesie ciekawe fakty. Samo przez się wystąpienie Rumunii, acz nie może być bagatelizowane, nie byłoby jednak tak ważnym, gdyby nie stała za nią Rosja. Masy rosyjskie zgromadzone są od dawna nad granicą rumuńską w Besarabii. Runą one teraz przez Rumunię, ale czy na Siedmiogród, czy też na Bułgarię, by forsować drogę na Konstantynopol? I jak się zachowa czwórsojusz austro-niemiecko-bułgarsko-turecki? Czy bronić będzie biernie górskich granic Siedmiogrodu, czy uderzy sam na Wołoszczyznę, względnie z południa na Dobrudżę? Zdaje się, że wspaniały Mackensen wciąż jeszcze jest na Bałkanach; czy nie on obejmie tam dowództwo na tym nowym, tak niesłychanie ważnym terenie wojny, biegnącym przez Siedmiogród, Serbię, Dobrudżę, a jednocześnie z południowego zachodu ogarniający Macedonię grecką i Albanię? Co za bajeczna staje się teraz linia frontu wschodniego, od morza do morza – od Bałtyku do Morza Czarnego, poprzez Liflandię, Kurlandię, Litwę, Białoruś, Polesie, Wołyń, Galicję, Bukowinę, Siedmiogród, serbsko-wołoską granicę i Dobrudżę!
Ano, zobaczymy. Co za nowe wielkie otwierają się akty dramatu! Dotąd jest tylko wieść o wypowiedzeniu przez Rumunię wojny Austro-Węgrom. Czy natychmiast wybuchnie jednocześnie jej wojna z Bułgarią, Turcją i Niemcami – nie wiadomo. Chyba że tak. W Niemczech ogłoszono urzędowo o natychmiastowym zwołaniu Rady Związkowej Rzeszy. Jednocześnie dziś jest wiadomość o urzędowym wypowiedzeniu wojny przez Włochy Niemcom, co nie zmienia zasadniczo rzeczy; Włochy dotąd formalnie na stopie wojennej z Niemcami nie były, choć od czasu wojny włosko-austriackiej stosunki ich z Niemcami były zerwane.
Wystąpienie Rumunii po stronie koalicji przeciwko mocarstwom centralnym świadczy o trwałym jeszcze *préstige*'u koalicji w opinii światowej; świadczy też o wielkiej zaiste niepopularności mocarstw centralnych i zwłaszcza Niemiec, a może świadczy też o instynktach natury ludzkiej, która ma zawsze tendencję stawania po stronie przewagi liczebnej, mającej pozornie szanse zwycięstwa. Dużo jest, niestety, podłości w naturze ludzkiej, podłości, którą jej szlachetność przeważyć nie może. A zresztą – ta wojna jest osobliwością i łamigłówką nieobliczalną. Ilość, siła i stosunek wzajemny czynników gry przekracza wszelkie możności rachunku. W tej wojnie każdy wierzy w to, czego sam chce. To jest może jej najosobliwsza cecha. Koalicja ma siłę liczby, siłę może najbardziej hipnotyzującą, choć nie zawsze rozstrzygającą. Urokiem jej jest przede wszystkim – kupa; a kupy zawsze ludzie i wszelkie gromady ludzkie trzymać się lubią: w kupie – bezpieczeństwo, a przynajmniej prymitywna i najbardziej zmysłowa pewność siebie. Swoją drogą, wspaniałe są w swoim dramatycznym odosobnieniu Niemcy, dumne i wielkie, otoczone wrogim światem, nieugięte na śmierć i życie, walące gromem najdoskonalszej organizacji, twarde jak spiż, sobą sprzęgające szczupłą garstkę swych sojuszników, Niemcy ze swymi generałami ze stali i dyscyplinowaną obowiązkowością żołnierzy, ze swym wielkim Wilhelmem na czele. Zaiste cześć im! Czy szatanem są one, znienawidzonym światu, czy też wybrańcem prawdy, samotnie się od bestii broniącym?
Wystąpienie Rumunii zrobiło wielkie wrażenie. Moskalofile triumfują; radość ich kipi i szumnie się w minach i rozmowach wyraża. Są pewni „powrotu taty"; uważają to już teraz za kwestię tylko czasu. Swoją drogą – wystąpienie Rumunii i to, co ono wobec Rosji otwiera, odciąża front rosyjski na linii litewsko-wołyńsko-galicyjskiej, przenosząc punkt ciężkości na Bałkany. Tutaj więc raczej przewidzieć można nastanie zacisza. Szeregi niezdecydowanych – a tych jest w kołach inteligencji w Warszawie większość – są skonsternowane wystąpieniem Rumunii, bo to komplikuje sytuację, zwiększa niepewność i budzi przeto strach; bo wszelkie zmiany są dla chwiejnych elementów

przedmiotem obawy, a coraz więcej jest zresztą takich, którzy się tak lub inaczej zaangażowali w coś nielojalnego ze stanowiska rosyjsko-państwowego, narazili się i teraz po prostu drżą i boją: byle już „tata“ nie wracał! W kołach niepodległościowych różne nastroje: jedni lekceważą wystąpienie Rumunii, inni są zmartwieni i uważają to za rzecz niebezpieczną, są wreszcie i tacy, którzy uważają to za rzecz dla sprawy polskiej dodatnią, licząc, że im w trudniejszym położeniu będą mocarstwa centralne, tym bardziej zmuszone będą po prostu do rozwiązania sprawy polskiej dla przysporzenia sobie sił. Zdaje się jednak, że to mylna kombinacja, bo im słabsza będzie pozycja mocarstw centralnych, tym oporniejsza będzie postawa społeczeństwa polskiego do przyjęcia czegoś z ich rąk.

29 sierpnia, rok 1916, wtorek
Dziś wieczorem odbyło się wielkie posiedzenie Klubu Państwowców Polskich, poświęcone sprawie „kresów wschodnich“, jak Studnicki nazwał Litwę. Zebranie było liczne bardzo, ale składało się przeważnie z różnorodnej gromady ciekawych, których ściągnęła po prostu sensacja wielkiego publicznego zebrania oraz nowość tematu. Dla ogromnej większości sprawa Litwy była po prostu bajką o żelaznym wilku. Z ramienia Klubu wygłosili referaty: Kamieniecki, Wakar, dziekan uniwersytetu i poseł Parczewski, wreszcie Władysław Studnicki. Trzeba przyznać, że wszyscy mówili bez wielkiej znajomości tematu. Kamieniecki miał referat historyczny, w którym omawiał proces przenikania państwowości i kultury polskiej do Litwy, wyciągając stąd wnioski na rzecz unifikacji Litwy z Polską. Procesu demokratycznego, który dokonał formacji narodowej litewskiej i stworzył w tymże kierunku idące prądy białoruskie, nie uwzględnił wcale, przedstawiając ruchy litewski i białoruski jako produkt intrygi antypolskiej Rosji. Co do Litwinów, nie zwalczał wprawdzie faktu ich odrębności narodowej, ale żadnych stąd politycznych lub historycznych na przyszłość wniosków nie wyciągał, w ogólniku jeno równouprawnienia ten skomplikowany problem ujmując. Następny referent Wakar przedstawiał statystykę ludnościową Litwy, w której, w najlepszej zresztą wierze, bez pojęcia o istotnym stanie rzeczy, zasilał element polski elementem katolicko-białoruskim, z czego, na zasadzie swojej „statystyki“, doszedł do ujęcia terytorium etnograficznego polskiego na Litwie mniej więcej od Berezyny na wschodzie do rzeki Świętej na zachodzie, a na północ w głąb Inflant Polskich. Poseł Parczewski w gorącym przemówieniu, pełnym zresztą szczerości i żywych tonów sympatii dla całej Litwy, nie wyłączając elementu litewskiego i białoruskiego, kreślił swoje osobiste wrażenia o Litwie, oparte na spostrzeżeniach wycieczkowych w okolicach Landwarowa i gminie niemenczyńskiej, które uogólniał i zabarwiał sentymentem polskim; jego mowa, wolnościowa zresztą, nie zawierała żadnych politycznych wskazań, prócz uznania polskości za jedyną cywilizacyjną i humanitarną dźwignię dla ludu w Litwie i Białej Rusi. Z kurczenia się etnograficznego terytorium litewskiego na wschodnich narodowych kresach litewskich wyciągał horoskopy o fatalizmie zanikowym Litwinów, nad którym nawet bolał i którego forsowanie jak najszczerzej we wskazaniach na przyszłość się wypierał; co do elementu białoruskiego – to mówił o nim także z wielką sympatią, ale jego stanowisko utożsamiał ze stanowiskiem różnych ludowo-etnicznych lokalizmów, istniejących w innych narodach i państwach Zachodu, a nie tworzących przecież odrębnej narodowej formacji. Wypływało z jego mowy, wolnościowej zresztą i szczerą sympatią do Litwy i jej ludów tchnącej, że jedynie polskość ma w Litwie rolę państwową i polityczną oraz kulturalną i humanitarną do spełnienia, stając się tym wielkim cywilizacyjnym i narodowym morzem, do którego spłyną wszystkie piękne i dźwięczne kochane strumyki etniczne Litwy. Wreszcie główny referat polityczny wygłosił Władysław Studnicki w duchu

czysto aneksyjnym polskim, głosząc ekspansję narodową polską na wschód metodami prawno-politycznych, gospodarczych i kolonizacyjnych urządzeń. Po tych urzędowych referentach udzielony został głos mnie. Moim zadaniem było uwydatnić odrębną indywidualność Litwy, wykazać te procesy, które w rozwoju ludowym już doprowadziły i dalej prowadzić będą do potrzeby politycznej wolności i samorządności jej ludów oraz wykazać z tych innych, litewsko-indywidualistycznych założeń – solidarność, zachodzącą między sprawą państwową polską, budowaną na froncie antyrosyjskim, a wolnością i samorządnością Litwy, wreszcie wyciągnięcia stąd wniosków o rozszerzeniu na oderwane od Rosji ziemie Litwy państwa polskiego, budowanego wewnątrz na zasadach nie aneksyjnych, lecz związkowych. Rzeczy te podniosłem i uwydatniłem w moim przemówieniu, ale, niestety, nie zrobiłem tego dobrze. Moja mowa nie udała się technicznie. Szło mi jakoś tym razem jak po grudzie. Czułem sam, że mówię rozwlekle, blado, skomplikowanym językiem, zbyt długimi okresami, bez werwy. Zbrakło mi zapału, zbrakło tej wewnętrznej podniety, potrzebnej w słowie dla jego siły i promieniowania do głów i serc słuchaczy, a to stąd, że ogarnęła mię depresja, rosnąca w miarę świadomości nieudanego przemówienia. Często to bywa ze mną i to mi bardzo utrudnia mówienie. Jest to zbytnia wrażliwość. O, nie tak chciałem w tej sprawie przemówić! I żałuję niezmiernie, że nie zdołałem przez depresję utwierdzić w sobie tej swobody wewnętrznej, która jest niezbędną do dobrego przemówienia. Peszył mię też i tropił przewodniczący, p. Grzegorzewski, znany orientalista, który mi kilkakrotnie przerywał i czepiał się różnych szczegółów mego przemówienia. Właściwa dyskusja została odłożona na następne zebranie. Może wtedy uda mi się odchwycić i naprawić wady mego dzisiejszego przemówienia.

30 sierpnia, rok 1916, środa

Dzisiaj wreszcie, po 9 tygodniach przerwy, miało dojść do skutku posiedzenie plenum Delegacji wszechpartyjnej, na którym prawica powinna była złożyć swoje programowe streszczenie. Nie poszedłem jednak na posiedzenie, 1º dlatego, że nie będąc formalnie członkiem Delegacji, nie chciałem nadużywać przychodzenia, aby nie stwarzać dla CKN-u pozorów przekraczania praw swoich – już na przeszłym posiedzeniu było coś ze 23 CKN-owców, podczas gdy urzędowo CKN ma tylko 18 swoich delegatów w tym wszechpartyjnym ciele, i 2º dlatego, że ostatecznie nic ciekawego się nie zapowiadało. Z góry było wiadomo, że prawica bronić będzie stanowiska pasywizmu i rezerwy; liczyć na jej przekonanie jakimiś argumentami albo na wielkie agitacyjne na zewnątrz znaczenie przemówień aktywistów naturalnie że niepodobna. Poza tym, chwila obecna, kiedy sprawa polska weszła w stadium martwe i kiedy nowe komplikacje na wojnie utrudniają wszelkie przewidywania, a napełniają zwolenników Rosji i koalicji nowymi nadziejami, nie sprzyja propagandzie aktywizmu w kołach umiarkowanej i tchórzliwej prawicy. Przeciwnie – rezerwa staje się tam coraz większa. Widmo „powrotu taty" ożyło potężnie z wystąpieniem Rumunii; to wystąpienie większy nawet zrobiło efekt, niż letnia ofensywa rosyjska i niż pochwycenie przez koalicję inicjatywy wojennej. W wystąpieniu Rumunii dopatrują się nie tylko liczebnego wzmożenia sił koalicji, wydłużenia frontu obrony znękanej Austrii, groźnego otwarcia Moskalom dróg na Bałkany, ale też nade wszystko jakichś zakulisowych znaków o pewnikach zwycięstwa koalicji. Nikt dokładnie tych zakulisowych znaków określić nie jest w stanie, ale skoro ostrożna Rumunia zdecydowała się wystąpić, to już sprawa mocarstw centralnych musi stać źle. Bo o Rumunii wiedziano, że stanie ona do wojny w ostatniej chwili, gdy wnioski już będą przesądzone, i stanie mianowicie po stronie silniejszego, aby wziąć udział w korzyściach zwycięstwa z jak najmniejszym ryzykiem. Moskalofile i wrogowie Niemców się cieszą, a ci, którzy są niezdecydowani, boją się powrotu

Moskali i tym mniej są dziś skłonni do jakichś eksperymentów aktywistycznych; są oni przerażeni tym, co dotąd zrobili, czują ciężar grzechów wobec Rosji w obchodach różnych uroczystości narodowych, w przemówieniach niepodległościowych, w deklaracji Rady Miejskiej itd.; boją się dziś oni własnego cienia, a cóż dopiero jakichś nowych dalszych wystąpień. Nawet ta część prawicy, która, jak Stronnictwo Narodowe, skłonna jest do akcentowania faktów dokonanych, skądkolwiek by one szły, nie wyłączając Niemców, i do takiego przynajmniej aktywizmu, który by polegał na kooperacji z istniejącą władzą mocarstw centralnych, nie cofając się w bezwzględną i zasadniczą rezerwę – nawet ta część prawicy, politycznie najdojrzalsza, na ziemiaństwie się opierająca, dziś bardziej, niż przed paru miesiącami, jest daleka od aktywistycznych nastrojów: mocarstwa centralne w żadnym konkretnym zapoczątkowaniu do takiej kooperacji jakoś w tej chwili nie idą, a o aktywizmie zdobywanym na własną rękę, takim, jakiego by pragnął CKN lub w trochę innej formie Studnicki – wśród tych odłamów społecznych nie ma mowy; zresztą są one nie mniej od właściwych moskalofilów wrażliwe na ewentualność zwycięstwa i powrotu Moskwy.
Z uznaniem należy powitać zwrot w CKN-ie od „wielkiej polityki“ międzypartyjnej w Warszawie do akcji organizacyjnej i społeczno-politycznej u podstaw – na prowincji, w masach ludowych itp. Jest to zwrot dodatni. Kombinacjami międzypartyjnymi, mowami, szermierką dyskusyjną z prawicą, argumentami – nic się nie wskóra. Przeciwników się nie przekona, bo przyczyny, dzielące obozy, leżą głębiej, w przesłankach społecznych, nie zaś w braku zrozumienia tych czy innych argumentów. Toteż wielka spekulacyjna i słowna polityka jest w gruncie jałowa. Gdyby dopiero aktywiści mieli podłoże w ludzie, w jakimś ruchu realnym, siła ich tendencji stałaby się widoczna i nawet dla prawicy wymowniejsza od argumentów dialektycznych. Rzeczniczką tego zwrotu w CKN-ie stała się PPS, w której element robotniczy, w ogóle młody zaczął objawiać niezadowolenie z politykomanii swych wodzów w CKN-ie. Krytyka CKN-u, ostre zaatakowanie swych wodzów, wystawienie żądań ruchu społecznego, którego tylko wypływem powinny być postulaty polityczne – stały się punktem wyjścia nowego kierunku w samym CKN-ie. Zaiste – akcja polityczna bez społecznego oparcia jest utopią. Aktywistyczna linia CKN-u może być tylko wyrazem pewnych tez, pewnych prądów społecznych. Czy tylko głęboka ludowa akcja organizacyjna CKN-u nie jest spóźniona? Tego się boję. Akcja organizacyjna wyrasta dobrze tylko na ruchu społecznym, który właściwie latami się rozwija. Taki ruch PPS-owy, który był zresztą w międzyczasie od roku 1905 do 1914 bardzo podupadł, albo taki żywy chłopski ruch „zaraniarski“ – to były właściwe ruchy, tworzące lud obywatelski. Bo obywatelem może być tylko ten, kto jest świadom swych potrzeb, kto ma ukształconą wolę i dojrzałość czynu. Dlatego to na przykład, jak się coraz więcej przekonywam, chłop litewski jest daleko więcej uobywatelniony i patriotyczny od mas ludowych polskich. Tam bowiem silny był właściwy ruch ludowy, a zresztą nawet cały ruch narodowy miał ludowy charakter; nawet nacjonaliści i klerykali litewscy byli rzecznikami ludowej sprawy, bo tylko na ludzie się opierać uczyli; byli oni rzecznikami sprawy ludowej w większym nawet stopniu, niż nieraz „demokraci“ polscy. Toteż lud litewski czuł w ruchu narodowym swoją sprawę, czego lud polski nie czuł; dla ludu polskiego, poza ogniskami ruchu „zaraniarskiego” czy podobnych, sprawa Polski – to była sprawa pańska, sprawa społecznie mu obca, jeżeli nie wroga; i stąd ta straszna niechęć ciemniej masy polskiej do Państwa Polskiego, do polskich rządów itp., i tu straszna do władzy Rosji tęsknota, identyfikująca Rosję ze sprawą ludową! Wojna obnażyła tę straszną chorobę Polski, tę zupełną obcość ludu. Czy Polacy wyciągną z tego naukę, którą jest: tworzenie ruchu ludowego. Dziś w czasie wojny czy jest jeszcze

czas na to i czy się da coś większego tak pośpiesznie zrobić? Masy są znękane i głodne, są znerwowane i złe. Ale rzecznicy takiej akcji są usposobieni optymistycznie i wskazują, że w takich czasach wszelka praca ma swój sens .

31 sierpnia, rok 1916, czwartek
Dowiedziałem się od Ludwika Abramowicza z poufnych doniesień Wilhelma Feldmana z Berlina do NKN-u, że w sprawie Litwy toczą się jakieś konszachty między Litwinami a Niemcami. Z ramienia Litwinów do Berlina przyjechał i, zdaje się, ma tam przesiadywać Jerzy Šaulys. Nie wiem dokładnie, z jakimi sferami niemieckimi toczą się te konszachty, jakie są ściśle funkcje Šaulysa w Berlinie i jakie są omawiane formy konkretne rozwiązywania sprawy litewskiej. W każdym razie, z tego, co wnosić można z relacji Feldmana, przynajmniej o ile ją znam przez Abramowicza, chodzi czy to o państwo litewskie, czy, co jest prawdopodobniejsze, o jakąś autonomię Litwy, względnie o utworzenie z Litwy odrębnego kraju Rzeszy Niemieckiej – ale zawsze o pewną prawno-państwową formę jej bytu. Feldman naturalnie jest mocno zajęty zbadaniem tej sprawy. Z Šaulysem się Feldman komunikuje; wie od niego, że Litwini stoją na stanowisku przyznania Polakom w Litwie autonomii narodowo-kulturalnej pozaterytorialnej. Ciekawe jest to zestawienie: podczas gdy Władysław Studnicki w Klubie Państwowców Polskich, stając na aneksyjnym w stosunku do Litwy stanowisku, nie chce słyszeć o przyjęciu do programu zasady choćby tylko autonomii Litwy etnograficznej i co najwyżej, jako *maximum* ustępstwa, raczy łaskawie ofiarować Litwinom pozaterytorialną autonomię kulturalno-narodową, pozbawioną cech prawno-państwowych, uważając to za zupełnie wystarczającą i słodko brzmiącą dla Litwinów przynętę, Litwini, znajdując możność traktowania z Niemcami na gruncie pewnych prawno-państwowych zasad dla Litwy, ofiarują takąż kulturalną autonomię Polakom litewskim. Feldman komunikuje, że Šaulys oświadcza, iż Litwini w zakresie tych układanych kombinacji chętnie by weszli w porozumienie z Polakami litewskimi w Wilnie, ale że faktycznie jest to niewykonalne, bo po prostu nie mają tam z kim mówić. Polacy, zgrupowani w komitecie polskim o nieokreślonym obliczu orientacyjnym, grawitującym między moskalofilstwem a związkiem z Polską, zresztą unikającym programowych sformułowań, na ogół nie chcą wchodzić w żadne układy z Litwinami i trzymają się w zupełnym odosobnieniu; szczególnie zaś byliby niechętni sprawie jakichś układów Litwinów z Niemcami, do czego swej ręki przyłożyć by nie zechcieli. Šaulys uważa, że jedynym z Polaków litewskich, z którym i przez którego mogliby Litwini porozumiewać się z Polakami – jestem ja.
Ludwik Abramowicz namawia mię, abym się postarał pojechać do Berlina dla nawiązania tam rokowań z Šaulysem, a nawet uważa, że ewentualnie stamtąd mógłbym o wiele może łatwiej wystarać się o powrót do Wilna. Gdybym mógł otrzymać pozwolenie na wyjazd do Berlina, to bym może pojechał, ale przewiduję trudności. Pójdę zresztą jutro do Łempickiego, może on mi zdoła dopomóc w wyrobieniu pozwolenia na wyjazd, choć bardzo wątpię. A znów teraz w dalszym ciągu *ad infinitum* odkładać wszelką decyzję co do moich losów i znów tu siedzieć i robić wlokące się bez widoków i bez końca starania o wyjazd – nie chcę. Jeżeli w krótkim czasie osiągnąć tego nie można, nie będę dla tego przerywał mego postanowienia powrotu do Legionów.
Mam przeczucie, że tym razem w Legionach, jeżeli do nich wrócę, będę zabity. Nie mówię tego nikomu, ale w sobie to przeczucie mam. Sam nie wiem – dlaczego. I jestem dziwnie na tę myśl o śmierci obojętny, a nawet chwilami uważam to za upragnioną formę wyzwolenia. Śmierć sama przez się nie jest dla mnie straszna ani przykra; przykrym mógłby być tylko jej sposób, zależnie od tego, jakim by był. Mój Boże, ja,

który kiedyś tak kochałem życie i byłem takim jego entuzjastą! Nie mogę powiedzieć, abym go teraz nie kochał – tylko nie dla siebie. A gdybym jeszcze miał pewność spotkania się po śmierci w bezcielesnej sferze z duchem Aninki i Mamy – śmierć stałaby się dla mnie szczęścia odrodzeniem.

1 września, rok 1916, piątek
Byłem u Łempickiego, rozmawiałem o szansach wyjazdu do Berlina. Łempicki powiada, że gdybym się do niego był zgłosił przed dziewięciu dniami, byłby mi to z łatwością wyrobił, bo właśnie wyjeżdża sam jutro do Berlina w sprawie organizacji osobnych obozów dla jeńców wojennych – Polaków i zabiera ze sobą kilka osób, dla których wyrabiał przepustki do Berlina; mógł więc i mnie w ich liczbie umieścić. Teraz na razie nic w tym względnie dla mnie zrobić nie może, ale właśnie baron Ropp wrócił z Berlina i może on będzie mógł wystarać się dla mnie o to; Łempicki pomówi o tym z Roppem i ma mi jutro dać odpowiedź. Zresztą powiada, że za parę tygodni sam wróci z Berlina i wtedy będzie mógł się tym zająć. Nie wiem jednak, czy będę jeszcze tych parę tygodni czekać.
Kilka dni zaledwie upłynęło od wypowiedzenia wojny przez Rumunię, a już Austriacy zdążyli się „cofnąć" znad granicy rumuńskiej w Siedmiogrodzie. Kronsztadt (Brasso), jedno z większych miast siedmiogrodzkich – zajęte przez Rumunów. Naturalnie, że nie wiadomo jeszcze, czy to cofnięcie się znad granicy nie jest tylko aktem zajęcia właściwej strategicznej linii obronnej, jak to było nad granicą włoską na początku wojny włoskiej. Tymczasem jednak wrażenie jest przykre. Wiadomości o wypowiedzeniu wojny rumuńsko-bułgarskiej jeszcze nie ma, ale to jest chyba kwestią najbliższych dni. Depesze wspominają o przemarszu wojsk rosyjskich przez Rumunię do Dobrudży. Jak doniosły urzędowe depesze niemieckie, feldmarszałek Hindenburg mianowany został szefem niemieckiego sztabu naczelnego. Nominacja ta wskazuje na nadanie frontowi wschodniemu stanowczej przewagi. Hindenburg był przeciwnikiem akcji verduńskiej i włoskiej i stałym konsekwentnym rzecznikiem akcji czynnej na froncie rosyjskim. Teraz z wystąpieniem Rumunii punkt ciężkości wojny jeszcze bardziej się przeniósł na front wschodni z ciążeniem zwłaszcza na rzecz Bałkan. Jesteśmy dziś, zdaje się, bliscy kulminacyjnego punktu wojny.
Ta wojna światowa zadaje kłam wszystkim pojęciom o postępie, którymi żyła myśl ludzka w ostatnich kilkudziesięciu latach. Idea postępu była spopularyzowana i uchodziła niemal za aksjomat w mózgach inteligenckich. Rozumiano postęp jako doskonalenie się stopniowe człowieka, społeczeństw i ludzkości w kulturze. Tymczasem wojna obnażyła pierwotną dzikość i wszystkie poziome instynkty natury ludzkiej, obnażyła je w strasznej grozie rzeczywistości. Jak pojedynczy ludzie, tak narody, społeczeństwa i państwa na wojnie – stali się pospolitymi bandytami. Chciwość, rozbój, kult bezpośredniej brutalnej siły, dziki i z niczym, prócz siły i strachu, nie liczący się egoizm – stały się jedynymi motorami duchowymi ludzkości. Tak, postęp, ale tylko postęp techniczny, i ten na usługach dzikich namiętności, instynktów i chciwości bandyckiej. Straszny widok, ale wielka nauka. Wszystkie najpierwotniejsze elementarne instynkty i żądze, pod nazwami „interesu", „racji stanu" i tym podobnych pogańskich bożyszcz współczesnej ludzkości, odżyły w swojej niczym już nie maskowanej pełni i nagości, jak w każdym ze zwierząt, jeżeli nie w ohydniejszych jeszcze, bo bardziej rafinowanych, świadomych i „kulturalnych" kształtach. Żadne umowy, żadne zobowiązania, żadne zasady – już więcej nie wiążą. Państwa łamią wszystkie najuroczystsze związki, wszystkie obowiązujące pojęcia kultury i prawa w imię racji stanu, w imię „*Sacro Egoismo*", jak to najklasyczniej wyraziły Włochy. Brutalne instynkty i żądze, proste, z egoizmu płynące racje stanu –

podniesione zostały do godności „świętych“ rzeczy, rozgrzeszających wszystko, co w ich imieniu podjęte zostało. Nowe bogi postawiono na miejscu Jedynego Boga, Boga świata i ludzkości, Boga sprawiedliwości i miłości. Jakie widowisko, jaki przykład dają takie państwa i takie rządy ludom, przez nie rządzonym, przez nie w karby prawa, sądów, administracji, obowiązków obywatelskich, ba – nawet religii i kościołów ujętym! I jakie konsekwencje stąd ludy wyciągną, gdy wyciągać zechcą! Nie ma rozwiązań sprawiedliwości, słuszności, należności – jest tylko jedna rozwiązywania metoda: stosunek sił. I nie jedna tu tylko strona zawiniła, ale cały świat na tym stanął stosunku. Do tego doprowadził zwrot ku przyrodzie, ku naturalizmowi, ku naukom przyrodniczym, ku filozofii „pozytywizmu“, ku racjonalizmowi, ku zerwaniu z tradycjami Kościoła, ku proklamowaniu postępu bez religii w kulturze, ku pogaństwu wolnemu; Religię i Kościół zepchnięto na służebnicę pogańskiego państwa i w pogańskiej cywilizacji kultywowanego społeczeństwa. To jest dzieło – burżuazji, dzieło tej, co świat od feudalizmu wyzwoliła. Kościół – religią tłumów, uzdą na tęsknoty i mękę ludową, policją formalną bezpieczeństwa i samowoli panów, pętającą dusze i sumienia wydziedziczonych, ale nie krępującą rządów i państw. W tej wojnie – jeżeli coś się święci, to tylko bankructwo filozofii i kultury współczesnej, bankructwo metod organizacji społeczeństw, o ile to nie jest tylko spazm wielkiej choroby obłędu zbiorowego. Ale to nie jest tylko obłęd przygodny – to jego spazm logiczny, płynący ściśle z założeń państwowości i społeczności wieków XIX i XX.

2 września, rok 1916, sobota

Z przelotnego projektu mojej jazdy do Berlina i ewentualnie przez Berlin do Wilna – nic, zdaje się, nie będzie. Łempicki na podstawie słów Roppa twierdzi, że informacja Feldmana o przebywaniu Šaulysa w Berlinie odnosi się do czasu jeszcze sprzed kongresu uciśnionych narodów w Lozannie, kiedy Šaulys, jadąc na ten kongres, zatrzymał się przez czas nieco dłuższy w Berlinie. Wobec tego bezpośredni powód do wyjazdu mego do Berlina byłby odpadł. Ludwik Abramowicz jednak twierdzi, że informacja Feldmana pochodzą z sierpnia i że sprawa siedzenia Šaulysa w Berlinie jest faktem. Co zaś do Roppa, to ten powiedział Łempickiemu o mnie, żebym był cierpliwy, że on pamięta o ułatwieniu mi wyjazdu do Wilna i w stosownym czasie to załatwi; że jednak na razie zajęty jest sprawami polskimi i nie chce mieszać tych spraw z litewskimi. Krótko mówiąc – nic z tego nie będzie, a już i cierpliwości czekania mam do przesytu i więcej, toteż dość tego i o ile Legiony nie zostaną tylko z linii wycofane, wyjeżdżam do nich. Słyszałem dziś od Kunowskiego, że w tych dniach na odcinku Legionów zluzowali je w okopach Bawarczycy, ale nie wiadomo, czy to jest wstęp do wycofania Legionów, czy też tylko chwilowe wzmocnienie ich, względnie przeniesienie do rezerwy albo zarządzenie jakiejś translokacji odcinkowej. Dotąd rozkazów, dotyczących jakiejś zmiany, Legiony nie otrzymały.
Przychodził dziś do mnie rano urzędnik niemiecki w sprawie podania Maryńki, o przyjazd do Warszawy. Badał mię o motywach tego przyjazdu. Mam duże wątpliwości co do udzielenia jej pozwolenia przez Niemców. Maryńka podała w motywach: sprawy spadkowe po Mamie i chęć widzenia się ze mną jako legionistą, który może być na wojnie zabity. Co do pierwszego, to już mi dzisiejszy urzędnik wskazywał, że to mogłoby być załatwione drogą korespondencji bez koniecznej potrzeby przyjazdu Maryńki, na co ja wprawdzie odpowiedziałem, że to niemożliwe, bo u mnie są autentyczne dokumenty interesu spadkowego, ale nie wiem, czy to Niemców przekona, bo za mało wydaje się konkretnym, co zaś do Legionów, to nie mogłem przyznać się, że jestem legionistą, jeno powiedziałem, że postanowiłem wstąpić; wątpię, aby te

argumenty zostały uznane za wystarczające. Ha, co robić! W tych dniach kwestia jej przyjazdu się rozstrzygnie.
Na wojnie znowu nic pocieszającego. Austriacy znowu w paru miejscach w Siedmiogrodzie cofnęli się przed Rumunami. Paradne są nieraz wykręty i formuły dialektyczne, w jakie Austriacy ubierają w komunikatach terytorialny postęp wroga, by zamaskować swoje niepowodzenie. Tak oto dziś podają, że Rumuni na północy od Kronsztadtu (Brasso) posuwają się naprzód „ociągając się"! Ma to przekonać publiczność, że jednak Austriacy są silni i stoją dobrze, skoro Rumuni „ociągają się", to znaczy że się ich boją. Bułgaria i Turcja wypowiedziały wojnę Rumunii.
Niepewna sytuacja wojenna i zachwiane przez nią perspektywy polityczne – bo ostatecznie wszelkie polityczne wnioski mieszczą się w ramach rozwiązań wojennych na polach walk – działają na mnie przygnębiająco i drażnią nerwy. Smutno mi. Tym bardziej zaś smutno, że nie widać nic jaśniejszego ani na wojnie, ani w nastrojach i sercach ludzkich. Wszystko jest jakieś szare, niepewne, nerwowe, a nawet to, co jest wyrazistszego, pozbawione jest przeważnie szlachetniejszych motywów. To, co wczoraj pisałem w dzienniku, a o czym już dawno pomówić chciałem, jest bardzo niewesołe zaiste. Wojna demoralizuje ludzi i najszlachetniejsze w początkach, najaktywniejsze w wolnościowym kierunku elementy tracą pod jej wpływem idealistyczne pierwiastki i przejmują się jedyną ideologią – siły i gwałtu. Tylko wyjątki są inne, ale to są wyjątki. Pole działania i wpływ nie do nich należy. W szczególności taki na przykład stosunek do Litwy w kołach aktywistów niepodległościowych polskich jakże jest daleki od pojęć sprawiedliwości, humanizmu, solidaryzmu współżycia dziejowego! Zdawałoby się, że sprawa polska jest sama tak na zasadach sprawiedliwości i prawa oparta, że jej rzecznicy wolnościowi nie mogą się od tych zasad oderwać. Tymczasem tak nie jest. Upadając i sami się w prochu niewoli tarzając pod argumentami siły przeciwników, argumentami, które takim gwałtem na Polsce od lat 150 zaciążyły, umieją oni, za nielicznymi wyjątkami, tylko takimiż argumentami siły względem Litwy i jej ludów operować, gdy omawiają stosunek państwa polskiego do „kresów". Imperializm staje się ich bożyszczem. Ale zrozumiały jest jeszcze imperializm tych, którzy sami siłą istotną rozporządzają; natomiast śmieszny i nędzny zgoła jest imperializm tych, którzy siły nie mają, sami pod brzemieniem przemocy jęczą i powstać usiłują, wolność swą i prawo reklamując. Reklamują dla siebie, a odmawiają tym, których sami pochłonąć pragną. Wojna oduczyła ludzi szanować prawo i ciągłość głębokich procesów życiowych, wolności i solidaryzmu uczących. Znamiona siły i faktów zdają się im wystarczać do tworzenia rzeczy trwałych, gdy w istocie tworzą one tylko anarchię wulkanicznego układu. Coraz bardziej widzę, że tylko mocne oparcie się o podłoże ludowe, o społeczne czynniki nadaje politycznym dążeniom logiczną budowę. Tylko te grupy i ci ludzie, którzy są bądź z socjalistycznej, bądź z ludowej szkoły ruchu – chociaż nawet wśród nich nie wszystkie i nie wszyscy – umieją wyczuwać pojęcie sprawiedliwości i trwałego budownictwa politycznego. Inteligenckie zaś masy, z bezpośrednim ruchem ludowym nie związane, bawią się w spekulację polityczną, opartą na dzikich instynktach zaboru, egoizmu, „racji stanu" itp. Tylko w ludzie zachowała się busola etyki chrześcijańskiej i tylko w tych ruchach politycznych, które z ruchów społecznych wypływają, zwłaszcza zaś społeczno-ludowych, jest kryterium sprawiedliwości, harmonii i trwałości. Toteż wśród ludowców „zaraniarskiego" typu albo wśród PPS-owców znaleźć można, aczkolwiek i tam nie zawsze i nie u wszystkich, zrozumienie i uznanie dla wolnościowych układów polsko-litewskiego problemu.

3 września, rok 1916, niedziela

Odbył się dziś wielki wiec publiczny w Filharmonii, zwołany przez Klub Państwowców Polskich. Wiec był zwołany z okazji wystąpienia Rumunii, a właściwym jego celem było – danie wyrazu żądaniu armii narodowej i rządu narodowego jako podstaw państwa polskiego. Wystąpienie Rumunii i płynące stąd militarne konsekwencje dla mocarstw centralnych – miały służyć tylko za jeden jeszcze dodatkowy motyw do uzasadnienia międzynarodowej potrzeby samodzielnego państwa polskiego, posiadającego rząd i armię dla czynnego pełnienia zadań obrony na wschodzie i wojny z Rosją. Wiec ten miał być wielką manifestacją aktywizmu polskiego. Ponieważ jednak w licznych i popularnych kołach moskalofilów wystąpienie Rumunii jest traktowane właśnie wręcz przeciwnie, jako upragniony najwyższy atut na rzecz porażki mocarstw centralnych, i ponieważ nie ma nic bardziej znienawidzonego w tych kołach nad armię narodową z ramienia Niemców, przeznaczoną do wojny z Rosją „w obronie Niemiec" – jak to ci panowie ją rozumieją – więc należało się obawiać jakiejś kontrmanifestacji, jakichś usiłowań zerwania wiecu, jakichś zajść, paraliżujących demokrację aktywizmu. Z tych względów koła CKN-owe podały tym razem rękę Klubowi Państwowców dla wspólnego działania, a młodzież z P.O.W., o której hasła – armię narodową – miał się wiec manifestacyjnie upomnieć, podjęła się pełnić straż na wiecu. Wiec wywołał na mieście dość dużą sensację. W szerokich ciemnych masach miejskich, znękanych wojną i przepojonych nienawiścią Niemców, nie ma większego straszaka jak armia polska. Armia polska, pobór do wojska, wojna z Rosją, której powrotu dla wyzwolenia od Niemców masy te pragną, wojna pod egidą niemiecką? To jest to, czego się najwięcej te masy boją, to, dla czego one tak są samej Niepodległości niechętne. Bo gdyby tam niepodległość w tym tylko znaczeniu, żeby się Niemcy usunęli – to jeszcze by się z tym można pogodzić, mimo niewiary do „polskich rządów"! „Wrócą nasi", zamkną „polskie rządy" i będzie po tej „niepodległości". Ale pod niepodległością wyczuwają pobór do wojska i wojnę z Rosją – i tego się najbardziej boją. A tu wiec wprost, z całą otwartością, nie zadowalając się ogólnikiem o niepodległości, wyraźnie już o tej właśnie armii i wojnie mówi, proklamując wolę narodu i zwracając ją z żądaniem do mocarstw w centralnych. Dla endeków i moskalofilskich mas była to ohyda. Wiec był wyznaczony na południe. Przed Filharmonią gromadziły się tłumy. Wpuszczano za biletami, których mnóstwo rozdano. Wielka sala Filharmonii wypełniła się na parterze i na galeriach po brzegi. Kilka tysięcy ludzi wypełniło ją jak za czasów wielkich rewolucyjnych wieców z r. 1908. Był to pierwszy od tamtych czasów taki wielki wiec publiczny; był to wiec aktywizmu państwowego polskiego w roku wojny 1916-tym. Z pewnością prawie tyleż jeszcze publiczności pozostało na zewnątrz, nie mając biletów wejścia lub nie mogąc się docisnąć. I przez całe dwie godziny wiecu gromadki ciekawych kupiły się na ulicy przed Filharmonią, rozpraszane przez milicję miejską i policję niemiecką. Czekały one na wieści o uchwałach, a z pewnością liczyły może trochę i na jakieś zajścia wewnątrz, będąc żądne sensacji. Spora garść moskalofilów zdołała jednak przeniknąć do środka. Drugimi, aczkolwiek z innych motywów i mniej bezpośrednio groźnymi przeciwnikami wiecu – byli esdecy, którzy nawet jakieś kartki rozrzucali pośród tłumów, cisnących się u wejścia do Filharmonii. Kuluary Filharmonii i samo wnętrze sali było pilnie i sprężyście strzeżone przez młodzież z P.O.W., snującą się i rozstawioną wśród publiczności, aby do żadnej prowokacji endeckiej nie dopuścić. Ja osobiście miałem bilet na estradzie, toteż nie mogłem obserwować strażackiej akcji P.O.W., ale opowiadali mi potem ci, którzy siedzieli na sali, że młodzieńcy z P.O.W. pilnie obserwowali całą publiczność, zwłaszcza ludzi znanych z moskalofilstwa lub esdeckich przekonań oraz wszelkie grupki podejrzane i wykazywali skłonność energicznego tłumienia wszelkich ekscesów; był nawet wypadek, że tam kogoś, który na słowa przemówienia Studnickiego o armii narodowej i rządzie krzyknął „Precz!"

(nie wiadomo: precz z armią czy precz z Polską, czy też precz z mówcą), młodzież, pełniąca straż, natychmiast pochwyciła, wyniosła z sali i tam go nawet z lekka sprała, zanim wyrzuciła, a to wszystko odbyło się tak szybko, tak sprawnie, że ani się publiczność obejrzała i nie dostrzegła epizodu. Jedna tylko Liga Państwowości Polskiej spośród grup antyrosyjskiech nie uczestniczyła wcale w wiecu, manifestacyjnie go bojkotując, a przynajmniej rezerwę swą zaznaczając; Liga nie przyszła na ten wiec celowo, na podstawie uchwały; tylko dwaj ligowcy – Wasereng i Tarczyński, z których Wasereng przemawiał nawet – byli obecni, ale to są dwaj, którzy są jednocześnie członkami Klubu Państwowców i którzy w Lidze uchodzą obecnie za nieprawowiernych a, jak wiem od Ludwika Abramowicza, w najbliższym już czasie skazani będą na formalne zerwanie z Ligą. Liga nie brała udziału w wiecu dla przyczyn rzekomo rezerwy wobec pozorów prusofilstwa, ale w istocie niemniej z pewnością dlatego, że, wyznając austrofilskie sympatie i kojarząc je w ostatnich czasach z pewnymi koalicyjnymi elementami orientacji, jest ona instynktowo niechętna głośnemu podnoszeniu żądań armii narodowej i rządu polskiego w czasie trwania wojny, węsząc w tym upadek polsko-austriackiej koncepcji i uzależnienia Sprawy Polskiej od Niemiec. Rezerwa Ligi nie przeszkodziła jednak temu, że jeden z głównych reprezentacyjnych *leaderów* Ligi, Łempicki, który skądinąd jest w Lidze może najbardziej niepodległościowym, nie przestając się jej trzymać wiernie pod względem organizacyjnym, był współautorem ułożonego dla wiecu i następnie uchwalonego projektu rezolucji. O wiecu tym dopowiem jeszcze pod datą jutrzejszą.

4 września, rok 1916, poniedziałek
Jak doniosły dzisiejsze depesze – wojska bułgarsko-niemieckie weszły w Dobrudżę. Daj Boże, aby inicjatywa tam była w ich ręku i aby zdołały one oprzeć się moskiewskim masom, które tam podążają! Oby tam wielki Mackensen ze swego tajemniczego ukrycia wypłynął, gwiazdą swą zwycięstwo niosąc!
Z wystąpieniem Rumunii przerwała się dotychczasowa nasza droga korespondencji z Kotunią i Elwirą przez p. Żalplachtę przez Bukareszt. Ale Kunowski wskazał mi adres niejakiego p. Dzierżawskiego w Sztokholmie, przez którego można również korespondować. Napisałem dziś do Kotuńki i spróbuję utorować tę nową drogę korespondencji. Zbyt wielka i radosna to dla nas rzecz w tej rozłące rodzinnej – móc korespondować ze sobą, aby nie spróbować wszelkich możliwych dróg.
Przychodził dziś do mnie jakiś urzędnik z policji niemieckiej, nie zastał mię i zostawił kartkę, prosząc, abym się jutro na policję do niego zgłosił. Ciekaw jestem, czego on może chcieć ode mnie.
Wrócę jeszcze do wczorajszego wiecu w Filharmonii. Przemawiało na nim coś z dziesięciu mówców, wśród których byli niektórzy z Klubu (Studnicki, Tadeusz Grużewski, Wasereng), niektórzy z CKN-u (Tadeusz Szpotański, Wacław Sieroszewski), wreszcie ostatni, Tadeusz Hołówko, przemawiał ze stanowiska P.O.W. Wymieniam tylko wybitniejszych mówców. Lista mówców była ułożona z góry. Mówców przygodnych nie było, a zresztą nie byliby oni zapewne dopuszczeni do głosu w obawie niespodzianek moskalofilskich; chodziło bowiem nie o wiec dyskusyjny, ale wybitnie celowo-manifestacyjny; chodziło o ostrze aktywizmu w całej jego sile, nie zmąconej żadnym dysonansem szczerby. Z wygłoszonych mów wrażenie wyniosłem niezłe; pod tym względem wiec się udał. Wprawdzie dalsi mówcy, prócz Władysława Studnickiego i Grużewskiego, za mało łączyli żądania armii narodowej i państwa polskiego z sytuacją polityczno-wojenną i w szczególności z wystąpieniem Rumunii, jak to było zamierzone, ale może nawet wygrała na tym sprawa, bo tym bezpośredniej wypłynęło żądanie państwowe i tym głębiej się zaznaczył jako postulat zasadniczy

postulat już nie tylko polityki międzynarodowej, ale też sprawiedliwości i prawa. Pod tym względem najładniejszym i najszlachetniejszym w treści było przemówienie Wacława Sieroszewskiego, który mówił nie jako polityk tylko, ale też jak szlachetny idealista: zestawił tezę praw człowieka i obywatela, proklamowaną przez Rewolucję Francuską, z nową i głębszą tezą, która uzupełnia i wieńczy poprzednią, a którą ludzkość współczesna wystawać musi – tezą praw narodów i ludów; wykazał, jak ta wojna, poczęta w chciwości i zbrodni, musi w konsekwencjach swoich stać się kryzysem bezprawia, z którego ludy w niesłychanych ofiarach i męce tezę praw swoich wyciągną. Przemówienie Sieroszewskiego, ustępujące może pod względem formy niektórym innym, było właściwą perłą całego wiecu. W Sieroszewskim przemówił nie państwowiec tylko, operujący pojęciami sił i racji stanu, ale głęboki i prawy rycerz wolności, jakim on jest i był przez całe swoje piękne ofiarne życie. Inni mówcy nie stali na tych wyżynach. Władysław Studnicki mówił swoim zwykłym trybem, nie mogąc naturalnie nie wspomnieć o „linii Dźwiny i Berezyny", Litwy zaanektowaniu na rzecz państwa polskiego, o Polakach jako jedynym czynniku, zdolnym do państwowych rządów na ziemiach Rzeczypospolitej, o słabiźnie innych na tych ziemiach ludów itp., choć nie to było osią jego przemówienia. Grużewski rzeczowo analizował sprawę wystąpienia Rumunii, wykazywał w tym funkcje zagrania ostatniego atutu przez koalicję, przedstawił brak wolnej decyzji Rumunii w tym akcie i jej własną klęskę państwową w wypadku zwycięstwa i triumfu Rosji. Szpotański wylewał wulkan patosu, w którym mało było treści istotnej. Wasereng usiłował wznieść się na wyżyny wymowy formalnej i natchnienia wieszczego, mówiąc o Legionach, ale na mnie wrażenie sprawił jak najbardziej ujemne. Była w jego mowie poza i sztuka, nic poza tym. Zręczny to mistrz kunsztu, ale nie człowiek szczery. Gdy mówi o Legionach i Polsce charakterystyczny sensita, robiąc gest i ton Skargi, a sam w Legionach tych nie był i nie jest i to nie dla motywów, które ma P.O.W., ponieważ należy do Ligi i z P.O.W. nic wspólnego nie ma – to nie wiem, jak go mam rozumieć: boć jest młody. Gdy zaś wiem ponadto, że to człowiek, który zaczął karierę od propagandy wolnomyślicielstwa i racjonalistycznego zwalczania Boga wespół z Andrzejem Niemojewskim i szedł od etapów do etapów za modnymi kierunkami stopniowej ewolucji radykalizmu, mam wrażenie, że to mówi nie mistrz, nie natchniony nowy Skarga, nie człowiek, ale kabotyn. Nie mówię już o tym, że specjalizowanie Waserenga, Żyda, na różnych zebraniach w kierunku apoteozy Legionów nie oddaje wielkiej Legionom usługi. Inaczej ujmował sprawę Legionów w swej nie słabszej, ale za to szczerszej ich apoteozie Hołówko, wiążąc ich czyn z zadaniami P.O.W., głosząc Piłsudskiego narodowe przywództwo i istotę antywerbunkowego programu, skierowanego przez Piłsudskiego i P.O.W. do osiągnięcia armii narodowej. Mowa Hołówki była ładna, była przede wszystkim w swej szczerości głęboka i zyskała też oklask gorący. Tylko Władysław Studnicki był nią zgorszony, uważając ją za wysoce niepolityczny akt, szkodliwy wobec Niemców, kompromitujący i pozbawiający Legiony ich właściwego w sprawie polskiej politycznego znaczenia. Zresztą wszyscy mówcy byli oklaskiwani. Nieraz też zrywały się oklaski w pewnych momentach przemówień. Opozycja endecka była udaremniona i nie znalazła głośnego manifestacyjnego wyrazu, ale zdołała jednak efekt wiecu osłabić i zabarwić go swoim wyrazem. Pojedyncze wykrzykniki o Poznańskiem, tak charakterystyczne dla metody maksymalizmu niepodległościowego moskalofilów, chwila poruszeń endeków na sali, powstawania i wychodzenia jednostek nie sprawiały większych rozdźwięków. Wszystkie też uchwały – mianowicie rezolucja ostateczna i tekst depeszy, wysłanej przez wiec do prezesa ministrów węgierskich, Tiszy, przyjęte były oklaskami, nie zmąconymi dysonansem protestów. Ale była inna rzecz, w której się wyraziła opozycja, mianowicie w sposobie i cieniowaniu oklasków.

Że znaczna większość odpowiadała na wiecu intencjom jego organizatorów – to naturalnie; wszak zawsze bilety wejścia szerzą się przeważnie w kołach sympatyków. Jednak opozycja była liczna i sprawiła to, że duszy wiecu, że nastroju ścisłego zlania się masy wiecowej z mówcami – nie było. Masa wiecowa przez liczny udział opozycji miała swoje odrębne „ale", swoje zastrzeżenia, które wyrażała akcentowaniem oklasków. Oklaski niezupełnie odpowiadały intencjom mówców. Najbezpieczniejsze były w tych wszystkich momentach, które mogły mieć pozory antyniemieckie. Największa była burza oklasków na słowa jednego z mówców Paciorkowskiego: „Nie chcemy być zjedzeni ani przez wilka ze wschodu, ani przez wilka z zachodu". Wszystkie takie wstępy przemówień były najgoręcej witane. Dopiero na drugim miejscu był oklaskiwany Piłsudski przy wzmiankach o nim: Piłsudski i Legiony. A najrzadziej oklaskiwany – postulat armii narodowej i rządu. Wiec tymi oklaskami jakby polemizował z mówcami, zastrzegał swoje „ale" i nie stapiał się z mówcami w jedną równą entuzjastyczną masę.

5 września, rok 1916, wtorek
Zdaje się, że nastąpił zwrot pomyślny w sprawie przyjazdu Maryńki. Jeżeli to nastąpi, to dzięki tylko przypadkowi. Otrzymawszy wczoraj wezwanie do policji, poszedłem dziś o godz. 3. Na kartce z wezwaniem podpisany był niejaki Gawel. Okazał się on tym samym urzędnikiem, który przed kilku dniami był u mnie w sprawie przyjazdu Maryńki. Oświadczył, że są dla mnie jakieś wiadomości od kogoś z mojej rodziny czy przyjaciół, który jest jeńcem wojennym w Niemczech. Nie wiedziałem, od kogo to może być, bo zresztą mam dużo krewnych w wojsku rosyjskim, z których ktoś mógł być do niewoli wziętym. Domyśliłem się jednak, że chodzi tu o mego Litwina, Bykowskiego, do którego przed paru tygodniami do obozu jeńców pisałem. Urzędnik Gawel zaczął szukać w papierach odnośnego papieru, ale nie mógł znaleźć. Przetrząsał swoją tekę, szukał w różnych plikach, pytał innych, ale papieru potrzebnego nie znalazł. Wkrótce wyszedł, po chwili wrócił znowu. Papieru nie było i wobec tego nic właściwie nie miał mi do zakomunikowania. To go peszyło; był widocznie zdetonowany, że mię tak bez sensu pofatygował. Aby to pokryć, zaczął mi mówić o podaniu Maryni. Powiedział, że chętnie by nie stawiał przeszkód jej przyjazdowi, gdyby istotnie w podaniu były wskazane jakieś rzeczowe motywy. Ale ta sprawa interesów spadkowych po Mamie, na które się Marynia w motywach powołuje, nie ma poważniejszego uzasadnienia; boć przecie skoro realność spadkowa, Wiązowiec, położona jest za kordonem wojennym, na rosyjskiej stronie, to ani tam pojechać, ani nic zarządzić, ani w ogóle cokolwiek w tej sprawie zrobić nie możemy; a jeżeli chcemy tylko sprawę tę omówić, to przecie między Wilnem a Warszawą funkcjonuje poczta i możemy to listownie zrobić; że więc nie ma motywów do udzielenia Maryni pozwolenia na przyjazd. Na to ja mu przedstawiłem potrzebę tak, że spadek po Mamie już jest faktycznie zlikwidowany i że realność wzięła na własność druga siostra nasza, Mieczkowska, która została za kordonem, Marynia zaś wzięła spłatę pieniędzmi, które już jej wypłaciłem; że teraz chodzi o to, aby Marynia sporządziła akt notarialny, potwierdzający odbiór spłaty i zrzeczenie się praw spadkowych do realności; sporządzenie tego aktu może być dokonane tylko tu w Warszawie, ponieważ u mnie są potrzebne dla takiego aktu dokumenty; ponieważ zaś ja do Wilna dojechać nie mogę, a wkrótce Warszawę opuszczam, więc niezbędny jest Maryni przyjazd. Na to on odrzekł, że tak właśnie trzeba było w podaniu rzecz wyłuszczyć, bo na ogólnikową wzmiankę o jakichś interesach władze nie mogą zezwoleń na przyjazd udzielać; oświadczył, że trzeba, żebym napisał do siostry, jak ma swoje podanie formułować. Gdym go spytał, czy istotnie mam to jej teraz napisać, powiedział, że już tym razem nie trzeba, ale na

przyszłość żebym jej to powiedział. Zrozumiałem z tego, że tym razem już będzie dobrze i że pozwolenia udzielą. Podziękowałem mu, on zaś mię przeprosił za fatygowanie mię. Wyszedłem ucieszony. Miałem wrażenie, że on tym kosztem usługi zechciał poniekąd wynagrodzić mię za to, że mię tak na próżno wezwał. Jeżeli się tylko nie mylę, to zaiste za tę usługę, za pozwolenie przyjazdu Maryni o wiele większą bym zniósł niedogodność, niż przespacerowanie się do lokalu policji. Teraz jednak, gdy się nad tym zastanawiam, zaczynam wątpić. Może za optymistycznie wziąłem jego słowa; nie chciałem wtedy na niego nalegać i nie spytałem kategorycznie, czy zgody na przyjazd Maryni udzielą. Zadowoliłem się tymi jego słowami, w których wyczułem zgodę. Gdybyż tak istotnie było! Mój Boże, cóż to byłaby za radość!
Wieczorem byłem na posiedzeniu CKN-u. Dyskutowana była sprawa stosunku do usiłowań władz okupacyjnych niemieckich skłonienia grupy finansistów i banków do emitowania specjalnych „rubli polskich" jako znaków kredytowych pieniężnych do obiegu wewnętrznego. Referowali w tej sprawie Stanisław Kempner i Tennenbaum, ten ostatni zwłaszcza bardzo dzielnie. Była to prawdziwie rzeczowa dyskusja. Ta misja „rubli polskich" – to oczywisty nonsens ze stanowiska gospodarczego polskiego. Znaki te nie byłyby właściwie niczym kryte. Właściwej monetarnej waluty złotej, jako rezerwy do krycia znaków, nie miałyby. Władze okupacyjne mówią coś wprawdzie ogólnikiem o zabezpieczeniu skarbem państwowym, ale jakim? Gdyby Niemcy mieli z Polski ustąpić, ich skarb z pewnością odpowiedzialności by nie zechciał zachować, Rosja by też na siebie „rubli polskich", bez jej udziału i wiedzy wydanych, nie przyjęła, skarbu polskiego dotąd nie ma, a gdyby miał powstać, to po co go dziś z góry obciążać bez korzyści dla narodu; generał-gubernatorstwo warszawskie jest tylko okupacyjną instytucją, nie posiadającą własnego skarbu i pozbawioną zresztą cech państwowych. Takie „ruble polskie" byłyby fikcją i byłyby zdeprecjonowane w gwałtownym tempie spadku kursu. W wysnuwanych przez Niemców projektach „ruble polskie" mogłyby być puszczane w ruch pod zastaw kwitów rekwizycyjnych; kwity rekwizycyjne, które bądź co bądź pewną *in spe* wartość posiadają, byłyby tą drogą wycofane i skupione w ręku finansjery, a ludność w zamian za nie miałaby bezwartościowe papierki. Dla kraju jest to zbyteczne, bo znaków obiegowych jest w Królestwie aż nadto, więcej nawet, niż trzeba, zwłaszcza w stosunku do zastoju handlowo-przemysłowego. Zwiększanie zaś znaków mogłoby na razie posłużyć bodźcem konsumpcji, co nie jest w obecnych warunkach gospodarczych pożądane. Niemcom może chodzić o te „ruble polskie" dla wycofania z obiegu wartościowych rubli rosyjskich i oszczędności w markach; Niemcy dokonywałyby wypłat rekwizycyjnych w „rublach polskich" i je by puszczały w obieg w Polsce. Byłby to rodzaj pożyczki, zaciągniętej w Polsce i narzuconej jej. Uznano konieczność przeciwdziałaniu i bojkotu.

6 września, rok 1916, środa
Z wielką niecierpliwością czekać będę wyjaśnienia kwestii przyjazdu Maryńki. Daj Boże! Od tego urzędnika Niemca dowiedziałem się wczoraj, że Maryńka prosiła w podaniu o pozwolenie na 10 dni pobytu w Warszawie, a na zapytanie jego, skierowane do mnie, czy koniecznie potrzebne jest 10 dni, odrzekłem, że w ostateczności i 5 dni by wystarczyło. Jeżeli więc Maryńka przyjedzie, to na jakieś 5-10 dni. Nie opóźni to zbytnio mego powrotu do Legionów, który nie sądzę, aby na skutek przyjazdu Maryńki został w postanowieniu moim odwołany. Wszakże wyjazd do Legionów nie jest rzeczą tak prostą; chcę bowiem jechać tylko prosto do Brygady; drogi na Departament Wojskowy i Kozienice – nie chcę. Mam tutaj mundur i całe wyekwipowanie, tylko trzeba znaleźć kogoś jadącego z oficerów, kto by mógł mię stąd na marszrutę swoją, przynajmniej do Lublina, zabrać; o to jest obecnie dość trudno, bo marszruty elastyczne

na większą ilość ludzi do zabrania są utrudnione. Będzie z tym kłopot, ale jakoś da się radę. W ostateczności mógłbym postarać się o cywilną przepustkę do Lublina, skąd już łatwiej o okazję wyjazdu do Brygady, ale to by miało tę niedogodność, że nie mógłbym ze sobą zabrać munduru i miałbym tam nowy kłopot z umundurowaniem się. W jednym tylko wypadku zawahałbym się z powrotem do Legionów: mianowicie gdyby faktem się stało to, o czym od dawna dużo mówię i ku czemu skierowane są różne usiłowania – żeby Legiony zostały wycofane z frontu i to nie do rezerwy, ale w głąb Królestwa. Wstyd byłoby wracać wtedy do szeregów, gdy się nie było w szeregach w czasie najistotniejszych walk lipcowych. Słychać, że I Brygada jest w tej chwili z odcinka linii wycofana, ale zdaje się, że tylko do rezerwy. Ci jednak legioniści, którzy przyjeżdżają z linii, mówią, że nastrój wśród żołnierzy jest tak ciężki, przemęczenie nerwowe takie robi ujmy, tylu ubywa z szeregów przez choroby, że pułki topnieją w gwałtownym tempie i że wycofanie stanie się wprost koniecznością.
Zdawać się może nielogicznym, że dotąd tak wytrwale stoję na stanowisku sprawy polskiej, i to nie tylko stanowisku czysto żołnierskim, do czego ostatecznie obowiązuje mię fakt należenia do Legionów, ale też politycznym, choć się bynajmniej nie łudzę, co do tendencji imperialistycznych, które w aktywizmie polskim rosną i zaiste dalekie są od tych wolnościowych przesłanek sprawiedliwości i prawa ludów, jak ja je wyznaję i rozumiem w stosunku Polski do Litwy. Jednak pomimo wszystko – istotnie na tym stanowisku stoję, i to właśnie z założeń Litwy i jej sprawy ludowej wychodząc. Wierzę bardziej w logikę dziejową, w czynniki obiektywne, płynące z pewnych stanów i sytuacji, niż w nastroje i intencje polityków, którzy dziś wnioski usiłują formułować i którzy dają wyraz jeno subiektywnych własnych koncepcji, utworzonych niezależnie od przyszłych warunków państwa polskiego. Polska, budowana w kierunku ziem litewsko-białoruskich, zmuszona będzie mieć front antyrosyjski i przez to samo, wcześniej czy później, choćby po pewnych eksperymentach nacjonalistycznych, skądinąd może bardzo ciężkich, oprzeć się na wolności ludów Litwy, to znaczy nie tylko Polaków litewskich, ale też Litwinów i Białorusinów. W samej sytuacji geograficznej i międzynarodowej tkwi źródło solidaryzmu Polski z wolnością Litwy i Białej Rusi. Ale nie tylko na tym opieram moje przewidywania. Liczyć tylko na zwycięstwo logiki dziejowej w narodzie polskim – to za mało. Czasem właśnie absurd bierze górę nad logiką, a zdarzają się nawet samobójcze nastroje społeczeństw, przeczące ich logice i potrzebie, staczające je w przepaść. Kruche i zbyteczne byłyby wszelkie moje „litewskie” założenia, gdybym przyszły los Litwy zasadzał tylko na łasce czy przewidywaniach sprawiedliwości sił obcych. Gdybym w samej Litwie nie dostrzegał mocy wewnętrznej i żywotności, nie warto byłoby się nią zajmować. Otóż moc tę dostrzegam; wiem, że ona jest, wiem, że się ludy Litwy, tak Litwini, jak Białorusini i Polacy litewscy ostoją i wolność swą zrealizują. Dla mnie to jest pewnik ponad wszelką wątpliwość. Widzę tam głęboką narastającą siłę życia, której nic skruszyć nie zdoła, bo płynie ona z najgłębszego rdzenia ludu, z jego woli i rosnącej świadomości, realizujących kulturę własnego bytu. Nie w łasce i sprawiedliwości Polski lub kogoś innego, ale w samym łonie Litwy – jej przyszłość. Nie obawiam się żadnych imperializmów i nacjonalizmów państwowych; to znaczy, że obawiam się ich tylko o tyle, o ile mogą one wypaczać bieg rozwoju i energię Litwy zużywać na tarcia odporne zbytecznie, i z tego względu nie życzę ich oczywiście, ale nie wątpię, że zmóc żywotności ludowej Litwy nie zdołają nigdy. Chodzi mi jednak o to, aby tym siłom wewnętrznym Litwy stworzyć takie polityczne i państwowe warunki bytu, które by względnie były dla nich najdogodniejsze. Najdogodniejsze byłyby warunki własnej jej państwowości, ale skoro tego przewidzieć niepodobna w dzisiejszych perspektywach obecnego kryzysu europejskiego, wolę i za dogodniejszą uważam dla Litwy formę

państwową polską od rosyjskiej czy niemieckiej. W Polsce ludy Litwy łatwiej się uporają z nacjonalizmem państwowym, gdyby on nawet miał wybuchnąć, niż w Rosji lub w Niemczech, a poza tym – obiektywne warunki państwa polskiego będą je pchały w kierunku solidaryzmu z Litwą do kompromisu wolnościowego. Nawet więc aneksja nie jest mi straszna, choć nie jej pragnę.

7 września, rok 1916, czwartek
Ofensywa rosyjska, choć bardzo powoli, robi jednak ciągle po trochę postępy w Galicji Wschodniej i na karpackich kresach Bukowiny. Prawie co dzień na tym froncie to tu, to ówdzie – cofnie się gdzieś jakiś lokalny odcinek austro-niemiecki. Dziś z komunikatów wnosić można o pewnym znaczniejszym sukcesie rosyjskim pod Haliczem. Obrona jest widocznie uporczywa, ale nacisk ciągle trwa w wielkiej sile. Wprawdzie posuwając się w tym tempie i mogąc przy tak zorganizowanej obronie liczyć tylko na kampanię letnią, Moskale musieliby stracić co najmniej kilka lat, zanim by doszli do Warszawy, a do Lwowa weszliby mniej więcej w połowie przyszłego lata, jednak bądź co bądź wrażenie ich sukcesu – jest. Na froncie francuskim rozgorzały znowu wielkie walki nad Somme'ą – w stylu zachodnim, to znaczy z literalnym oraniem ziemi ogniem artylerii; punkt ciężkości jednak leży nie we Francji, nie na zachodzie, lecz na południowym wschodzie węgiersko-bałkańskim. W Siedmiogrodzie ustąpiony został przez Austriaków Rumunom Hermanstadt, drugie większe miasto siedmiogrodzkie. W Dobrudży południowej postęp bułgarsko-niemiecki trwa, idąc ku linii Dunaju. W Macedonii greckiej wielkich aktów wojennych na razie nie ma, ale za to Grecja cała stoi w ogniu wielkiego politycznego przesilenia, strzelającego rewolucją pod forsownym naciskiem koalicji; zdaje się, że zgwałcenie decyzji greckiej na rzecz wojny jest już tylko kwestią bardzo krótkiego czasu.
Ciekawym zjawiskiem w Polsce są fakty szukania przez sfery ziemiańskie – w pewnej mierze przez Radę Główną Opiekuńczą – pewnego oparcia się o ludowców na wsi. Zaiste co za ironia losu w dzisiejszych stosunkach. Ci ludowcy, ci chłopi w Polsce, którzy byli ogarnięci ruchem „zaraniarskim", ruchem, wyklinanym przez kler, odsądzanym od czci przez ziemian, pomawianym o wichrzenie, o szerzenie antyspołecznej anarchii, o rozbijanie jedności i zgody narodowej, ci dzisiaj są w masach ludu chłopskiego jedynym elementem patriotycznym, świadomym chwili dziejowej, obywatelskim, ofiarnym i czynnym. Nie dość tego: są oni jedynym elementem, który się przeciwstawia głuchym nastrojom i pomrukom rzezi i pogromów, nastrojom roku 1846! Są oni ostoją nie tylko niepodległości, ale też ładu społecznego. Bo nie trzeba się łudzić: moskalofilstwo ciemnych mas chłopskich w Królestwie ma w sobie głębsze instynkty i tendencje, niż jakaś tylko polityczna „orientacja"; jest to nie żadna orientacja w znaczeniu inteligenckim, ale głęboka nienawiść do „panów" i ciemny przesąd – że „Polska – to pańska rzecz". I gdyby wrócili i zechcieliby rzucić zarzewie ruchawki w ciemną masę, mógłby się powtórzyć w Królestwie galicyjski rok 1846. Jedyną siłą odporną w masie chłopskiej byłyby te elementy, które były ogarnięte ruchem ludowym i zwłaszcza jego najczynniejszą, najbardziej samodzielną formą – ruchem „zaraniarskim". Bo ruch ten, opierając się na zasadzie „sami sobie" i ucząc brać swoje sprawy we własne ręce, rozwijając w chłopie świadomość i samodzielność, kształcąc go do świadomego i czynnego, a zarazem systematycznego i planowego działania, zarówno gospodarczego, jak społecznego, tworzył z chłopa – obywatela; i dla niego dziś Polska, to nie – „pańska rzecz", ale jego własna, w której on urabiać będzie dolę swoją. Dla ciemnej zaś masy, która nie zna własnego zbiorowego czynu, jest tylko ślepa nienawiść do panów, wiara w opiekę komisarza rządowego (rosyjskiego) i umiejętność żywiołowych odruchów. Czują to dziś sami ziemianie, czują nawet moskalofile z

„Dwugroszówki” („Gazeta Poranna 2 grosze”) i boją się owoców własnej pracy, boją się dziś skutków tego, w czym sami ręce maczali, tępiąc społeczną ludową pracę „Zarania” i starając się utrzymać lud w bezwładzie i mrokach. Widzą i zaczynają wyczuwać dziś, czym jest ciemny nieuspołeczniony lud i oby tylko nie poczuli tego namacalniej! Taki lud, zamiast być czynnikiem obywatelskim w narodzie, staje się narzędziem obcej ręki w narodowej sprawie. Dobre to było za czasów starej szlachecko-poddańczej organizacji społeczeństwa, ale nie dziś, gdy formalnie lud jest usamowolniony, faktycznie zaś pozbawiony własnego planowego czynu; czuje on i posiada instynkt własnych potrzeb i własnej gromady, ale nie zna dróg i metod działania.
Opowiadał mi dziś dużo Ludwik Abramowicz z tego, co im nagadał w Lidze szef Departamentu Wojskowego, pułkownik Sikorski. Sikorski był na linii w Legionach i z Puchalskim jeździł do Głównej Kwatery (Ob. Ost.), do księcia Leopolda Bawarskiego, który teraz, po objęciu przez Hindenburga stanowiska szefa generalnego sztabu, stoi na czele całego frontu wschodniego od Bałtyku w głąb Galicji. Sikorski, jak to ze wszystkich swoich „podróży” i „wycieczek”, przywozi naturalnie całe góry sensacyjnych nowin, kombinacji i perspektyw, połapanych z różnych rozmów, zaprawionych jego własnym optymizmem i zabarwionych odpowiednio do jego życzeń. Wśród tych rzeczy są niektóre ciekawe i rzeczywiście charakterystyczne, jeżeli nawet nie sensacyjne, które byłyby warte zanotowania w dzienniku, gdyby nie to, że pochodzą od... Sikorskiego. Znam Sikorskiego na wylot i znam cenę jego oświadczeń i rewelacji. Wielu z obozu Piłsudskiego uważa Sikorskiego za karierowicza i intryganta; Sieroszewski nawet go Zajączkiem nazywa. Zdaje się jednak, że w podstawie tandetnej polityki Sikorskiego jest właściwie tylko dziecinny naiwny optymizm i lekkomyślność oraz brak politycznego wykształcenia, połączone z dużą zarozumiałością i rosnącą bujnie ambicją. W gruncie nie ma on złych intencji i poczucia szkodliwości jego linii akcji. Jest to raczej parweniusz, którego siła rzeczy pcha dziś w kierunku intryganctwa, ale nie właściwy intrygant i nie zbrodniarz narodowy.

8 września, rok 1916, piątek
Bułgarzy osiągnęli poważny sukces: zdobyli Tutrakan, silny ufortyfikowany przyczółek mostowy nad Dunajem w Dobrudży. Wzięli przy tym przeszło 20 000 jeńca i piękną zdobycz w działach i materiałach wojennych.
Wczoraj i dziś – spędziłem sporo czasu w towarzystwie małej Stefci Ślesickiej. Żal mi było tej dziewczyny, poniewieranej w nędznych miłostkach. Jest tak młoda, ma lat dopiero 17, niepraktyczna i życiowo głupia! Przed kilku dniami, 2 września, odwiedziłem ją rano. Był to dzień jej imienin. Wieczorem tego dnia spodziewała się odwiedzin rodziny. Jej koleżanka, z którą mieszka, namawiała ją do przyjęcia mię w charakterze „gościa” i spędzenia ze mną dnia do wieczora. Stefcia jednak wahała się i ja nie tylko nie nalegałem, ale wyszedłem. Żal mi się jej wtedy zrobiło. Poczułem, że nie powinienem brać tego dziecka jako towar i że gdybym miał jej „płacić”, gdyby ona dla uciechy mojej ze mną dzień spędziła, to nie należy ją tych pieniędzy pozbawiać za to że odruchowo postąpiła szczerze i nie chciała tego dnia się oddawać. Posłałem jej więc 10 rubli z listem, w którym serdecznie wyraziłem jej moją sympatię za ten właśnie prosty ludzki odruch. Postanowiłem nadal też zaniechać towarowego jej traktowania, choć się teraz spostrzegam, że może ją przeceniam i że może jest prościej i właściwiej traktować ją istotnie za narzędzie rozkoszy. Jest w niej dusza ludzka, ale kto wie, czy ta dusza właśnie nie wymaga tego, aby, biorąc pieniądze i pomoc, dawać w zamian to, co ma do dania – swoje ciało i swoją zmysłową rozkosz. To dziś znowu zaczynam rozumieć, ale w tych dniach naszego spotkania zdawało mi się inaczej. Chciałem jej dawać rozrywki

szlachetniejsze i traktować ją tylko za miłą towarzyszkę. Zaprowadziłem ją wczoraj do teatru Rozmaitości na sztukę „Młody las", a stamtąd na kolację do restauracji. Byłem zdecydowany nie korzystać z jej ciała. Na kolacji po kilku kieliszkach wódki dziewczyna się upiła, choć innymi razy piła dużo i nie upijała się tak jednak. Dotrzymałem też mojego postanowienia i odwiozłem ją nietkniętą, choć pijaną, do jej domu i pożegnałem. Dziś znowu byłem u nich na zaimprowizowanej przekąsce domowej w towarzystwie Stefci, jej koleżanki Andzi i jakiejś ich znajomej manicurzystki. Widzę jednak, że ten stosunek fizycznego nietykania Stefci ma w sobie jakiś ton fałszywy. Zresztą długo już w Warszawie nie będę i cały ten stosunek nie ma przyszłości, więc obojętne jest takie czy inne jego traktowanie. Ale, swoją drogą, o Stefci chcę pomówić, bo mi ona obojętna nie jest i bo w niej jest ten dramacik, który tyle młodych dziewcząt łamie i który biedną duszę ludzką na torturę męki wydaje. Jest w mężczyznach jakaś krwiożerczość, która węszy dramaty i w nich znajduje jakąś szczególną męczącą satysfakcję. Gdyby taka Stefcia była zwykłą dziewczyną upadłą, bez żadnego w sobie dramatu, nie budziłaby ona tej jakiejś tęsknoty do siebie, którą teraz budzi. Jest ona w szponach jakiegoś Niemca, brutala, który ją terroryzuje i wyzyskuje. To jej alfons, choć alfons innego typu; nie pcha on jej na drogę sprzedaży siebie, by z niej zysk materialny ciągnąć, nie. Przeciwnie – jest zazdrosny, śledzi ją, przeszkadza jej w stosunkach z mężczyznami. Ale uczepił się jej jak pijawka i dla siebie ją przywłaszcza; nie płaci jej prawie nic, bo zresztą niewiele sam ma. Nie może też zapewnić jej losu ani obiecywać małżeństwa, bo jest żonaty. Trzyma ją jednak dla siebie, ma w niej młodą i zdrową kochankę, ładną i powabną, pełną sił i barwy, które spija z egoizmem brutalnym. Wieczorami krąży koło jej domu, by śledzić, czy ktoś do niej nie przyjdzie, a gdy jej nie ma i gdy ona potem wraca, robi jej sceny gwałtowne zazdrości i grozi, że zadenuncjuje ją policji i jej książeczkę prostytutki wyrobi. Tą groźbą trzyma ją w szachu i włada nią. Dziewczyna niczego się bardziej nie boi, jak tej książeczki, która stanie się pieczęcią jej upadku i śmiercią moralną. Terroryzm Niemca jest dla niej straszny; traci ona zdrowie, jest znerwowana i bezbronna. Musi chodzić z nim wieczorami, wysiadywać z nim w kawiarni, iść do jego mieszkania, oddawać mu się do jego woli i syta, biorąc za to czasem po 2 marki, jak ostatnia i najnędzniejsza z ulicznic. Nie potrafi zaś wyciągać zeń pieniędzy, bo jest dumna i nieśmiała. Daje mu wszystko, a nie ma prawie nic za to, prócz męki. Gdybyż umiała przynajmniej wyzyskać go, jak na to zasługuje i bezczelnie, brutalnie, jak on, ciągnąć zeń, ile się da. Bezczelność wyzysku jest w tym wypadku odwetem sprawiedliwości i szlachetną mściwością dziewczyny. Bo zemsta bywa szlachetną i sprawiedliwą i to właśnie w swej najdzikszej, chciwej postaci. Żeby go jeszcze kochała! Skarży się na niego i bieduje, ale ulega mu. Jest to człowiek już przeszło 30-letni, brutal, brudas, typ gruboskóry! Nie może jednak być, aby coś w nim jej nie ciągnęło. Nie kocha go, ale musi mieć do niego jakiś fizyczny ciąg, jakieś osobliwe łaknienie sprzężenia młodości i barwy dziewczęcej z siłą bestialską brutalnego samca.

9 września, rok 1916, sobota
Napiszę jeszcze o Stefci Ślesickiej. Ten jej Niemiec jak pająk ssie z niej rozkosz dla siebie. Gwałtem, awanturami, terroryzując ją pogróżkami denuncjacji i widmem opatentowania jako prostytutki, zmusza ją do uległości sobie. Dziewczyna staje się jego niewolnicą, w zamian nie otrzymując żadnych perspektyw na przyszłość ani istotnego dostatku, powiedzmy wprost – pieniędzy w teraźniejszości. Młodością swoją, zdrowiem, ciałem, nerwami, ba – nawet duszą, bo jednak dziewczyna młoda bądź co bądź, oddając się mężczyźnie, i cząstki duszy swej zatraca, karmi chucie swojego tyrana. Posiadanie jej uważa on za swoje prawo, bo tak mu się podoba. Z namiętności

swojej, bez innych motywów, wywodzi on prawo do niej, a prawo te wykonywa, wzmacniając go sankcją egzekutywy w postaci groźby denuncjacji. Jaka to jednak podłość siedzi w ludziach i jaki brutalny egoizm barbarzyńcy! Że mu się dziewczyna podoba, że zazdrości o nią, że przeto powoduje się uczuciem – to cóż stąd. Są to uczucia najpierwotniejsze, ujęte w najelementarniejszą formę spółkowania, to znaczy bezpośredniego sycenia się dziewczyną. Cóż jej może ofiarować w najlepszym razie? Oto wspomina jej o chęci zabrania jej ze sobą do Berlina, napomyka o tym, że żona jego jest stara i że z pewnością rychło umrze. Ale zanim umrze, dziewczyna postarzeje i przestanie budzić w nim te „uczucia”, którymi obecnie do niej pała. W najlepszym razie – a dla niej bodaj że w najgorszym – może być to, że ją istotnie zabierze ze sobą do Berlina i w obcym dla niej mieście zrobi z niej do czasu swoją najpokorniejszą służebnicę-kochankę, zwłaszcza przy jej usposobieniu nieśmiałym i nie umiejącym walczyć, aż z niej cały smak młodości wyciśnie i jak śmieć porzuci. Że jednak i ona jest głupia! Żeby się nie bała tej książeczki prostytutki, pozbawiłaby go głównego atutu terroryzmu. A zwłaszcza żeby była bardziej bezczelna i umiała ciągnąć zeń pieniądze, ile się da. Oj, miałaby ona atuty swoje wobec niego, byle je zagrać umiała. Wtedy byłaby wolną, bo on z pewnością by ją porzucił ostatecznie i poszukał innej, gdyby mu była za drogą. On chce ją mieć, ale chce tanią. Pomimo że się odgraża, iż ją zastrzeli, jeżeli z mężczyzną przyłapie, nie przypuszczam tego: to manewr terroryzmu. Człowiek taki, który potrafi być alfonsem, wyzyskującym niedolę dziewczyny, niekoniecznie potrafi być rycerzem, krwią zdradę kochanki zmywającym. Jaka to jednak straszna jest niedola i jakie poniżenie tych biednych dziewcząt! Reglamentacja prostytucji – to jedna z największych plam współczesnej cywilizacji obyczajowej. A jednak dopóki ona jest, to zarejestrowanie dziewczyny na prostytutkę może w pewnej mierze nawet służyć jej za narzędzie obrony. Wprawdzie to nakłada na nią piętno i jarzmo, z którego już trudno wyjść, ale przynajmniej wobec tych swoich „gości” mężczyzn zyskuje większą odporność. Gdyby Stefcia miała książeczkę prostytutki, nie byłaby tak od tego Niemca zależna. Prostytutka bowiem nie boi się denuncjacji i nikt sobie do niej praw rościć nie może. Jest ona przedmiotem prawa każdego mężczyzny, towarem publicznym, który ma swoją cenę i może się o nią upominać, ale już przynajmniej nie własnością wyłączną jednego. Może się oddać komuś na własność, ale gdy sama tego zechce i gdy odpowiednie gwarancje otrzyma. Tej firmy wyzysku, jakiej Stefcia ulega, książeczka prostytutki by jej nie dała. I cóż z tego, że dziś się dziewczyna opiera tej hańbie! Płaci za to za drogo męką ciągłą i nerwami, a ostatecznie z pewnością i ta książeczka jej nie minie. Bo o własnych siłach dźwignąć się nie potrafi, a im dalej, tym bardziej się wykoleja takim życiem i tym trudniejszym jest potem powrót do równowagi i pracy. Chyba żeby się zakochała i była kochaną. Cała natura zresztą w takim życiu się wyprzęga ze wszelkich karbów i już potem bez podniet, bez odurzania zmysłów i nerwów się nie obejdzie. Przyjdzie więc kiedyś i książeczka, ale już tymczasem i sił, i zdrowia ubędzie. Kiepska to droga i marny los. Nazywa się to teraz, że to na czas wojny, dopóki o pracę trudno i dopóki wszystko jakoś idzie na wspak, ale tymczasem tryb życia kazi duszę, a po wojnie także nie będą same gołąbki pieczone do ust latać; trzeba je będzie pracą zdobywać i piec, a im dłużej takie życie, tym potem to trudniej. I jeszcze jedno Stefcia głupio robi. Gdy już poszła na tę drogę, powinna się nauczyć bezwzględności w zdobywaniu i forsowaniu życia, choćby brutalnością, bo to jest jedyna takiej dziewczyny obrona. Tymczasem ona o nic prosić nie umie, a sama daje wszystko. Jej siostrze zamężnej, posiadającej mleczarenkę, źle się powodzi. Szwagier na Stefcię się gniewa, ale siostra wyłudza od niej pieniądze. I Stefcia daje i daje. Ode mnie samego z pewnością już koło 100 rubli przez 1 ½ miesiąca miała, a dla siebie nie ma nic. Nawet jedną jedyną ma letnią sukienkę, choć już się jesień zbliża. Teraz

wszystko daje i nic nie ma; dopóki daje, siostra jest dla niej dobra, ale niech zachoruje i pójdzie do szpitala, o co w takim życiu nietrudno, siostra nie pomyśli o niej i ze zgorszeniem, przez posłuszeństwo dla męża, opuści ją; gdyby zaś teraz nie oddawała wszystkiego, siostra, czując w jej ręku pieniądze, zawsze by o niej pamiętała. Ha, co o takim głupiutkim biednym stworzeniu gadać! Tyle się ich marnuje. Chciałem być względem niej ludzki, wspierać ją pieniężnie, dawać ewentualnie rozrywki takie jak teatr i nie zażywać z nią wcale stosunku płciowego. Ale widzę, że nic z tego. Pieniądze wychodzą do rąk siostry, a Niemiec w dalszym ciągu ją sobie przywłaszcza. Biedaczka, jak jest ze mną, wzrusza się i płacze, ale cóż z tego. Po co mam grać tę komedię i pozbawiać siebie rozkoszy, gdy jej nic z tego. A może nawet taka łaskawość opiekuńcza jest dla niej upokorzeniem?

10 września, rok 1916, niedziela
Wybrałem się dziś w okolice Warszawy – do Umiastowa – odwiedzić mieszkających tam pp. Mieczkowskich starych i pp. Starzyńskich. Folwark Umiastów, położony przy stacji Ożarów Kolei Kaliskiej, dzierżawi p. Jan Starzyński, żonaty z p. Michaliną Mieczkowską, siostrą mego szwagra Stefana. Mieszkają też u nich oboje rodzice Stefana. Byłbym ich już dawno odwiedził, gdyby nie to, żem się dopiero niedawno dowiedział, że oni tam są. Choć właściwego pokrewieństwa między nami nie ma, ale przez Stefana i przez pamięć miłych z nimi stosunków są oni dla mnie tak prawie jak krewni. Szczególnie teraz, gdym od rodziny od tak dawna odcięty, miło mi się spotkać z kimś tak bliskim i tak przez wspólne związki rodzinne spowinowaconym. Zresztą gdyby mi nawet nie było miło, zrobiłbym to ze względu na Stefana. W szczególności do pani Michaliny Starzyńskiej zachowałem feblik przez pamięć jeszcze panieńskich jej czasów, kiedy mi się ona mocno podobała i kiedy nawet króciutko przelotnie koperczaki do niej paliłem. Było to za dobrych wesołych czasów w Bohdaniszkach i Rakiszeczkach (Zaborowie) z początku roku 1908! Teraz zaś przybył jeszcze nowy motyw zbliżenia się mego z rodziną Stefana przez jego brata Ludwika Mieczkowskiego, który, jak ja, jest w Legionach; i nie dość tego, że obaj jesteśmy, względnie byliśmy – w Legionach: trzeba jeszcze takiego trafu, że byłem w tym samym plutonie, w którym poprzednio, na początku wojny, był p. Ludwik. Za mnie już on tam nie był, bo w grudniu r. 1914 był lekko ranny w głowę i odszedł do szpitala, a potem gdzieś się obijał na tyłach; dopiero znacznie później wrócił na linię, ale już nie do piechoty, jeno do artylerii.
Wczoraj wystarałem się o przepustkę i dziś rano o godz. 11, razem z panią Mieczkowską, wyjechałem z Dworca Kaliskiego. Wkrótce przybyliśmy na miejsce. Na ogół – spędziłem dzień przyjemnie. Nie powiem, abym się nadzwyczajnie bawił, ale – dzień zeszedł mile. Wolałbym, aby samego gospodarza, p. Starzyńskiego, nie było, bo on najmniej miły z całego domu, zresztą najbardziej mi obcy. Nie jest to zły człowiek, ale zarozumiały, trochę blagier, samolub. P. Michalina jest o wiele więcej warta jako człowiek niż on i milsza, gdy go nie ma; ale jest w nim widocznie zakochana i nie ona nad nim, ale on nad nią panuje; ona mu ulega, stara się doń zastosować, on zaś – panuje i ma świadomość swojego nad nią władztwa; zresztą – kobiety to lubią, a może nawet potrzebują tego, by być szczęśliwe; może tam w duszy się przeciwko temu buntują, a może p. Michalina nie jest tak zupełnie szczęśliwa, jak sobie może ongi to szczęście wyobrażała, ale pod twardą ręką jest przynajmniej spokojna – ma przed sobą drogę prostą i wyraźną. Ze strony to nie jest bardzo piękne do oglądania i szkoda trochę kobiety, która jest głębsza od niego, że sile ulega, ale kto wie, czy nie tym lepiej. P.P. Mieczkowscy starzy za to nie czują się tam dobrze. Zięć się nimi rozporządza i jego twarda ręka mocno im ciąży; czują, że są u niego na łasce i on istotnie za mało robi, aby

to im ukryć; stary p. Mieczkowski jest u zięcia rządcą płatnym, ale stosunek teścia do zięcia ze stosunkiem rządcy do pana trudno się pogodzić daje: stary czuje się i jest sługą. P. Michalina, zdaje się, umyślnie zachowuje w tym stosunku bierność, aby męża nie zrażać, a za to jest tam jakaś starsza ciotka Starzyńskiego, która mu podchlebia i manifestacyjnie dogadza, poniżając widocznie starych Mieczkowskich. Toteż starzy Mieczkowscy mają dość siedzenia w Umiastowie: p. Mieczkowska ma objąć posadę ochroniarki gdzieś w przasnyskim powiecie i p. Mieczkowski też ma tam za żoną podążyć. A starzy kochają się jednak między sobą i są ze sobą solidarni. Jest to ładne. Bądź co bądź, naturalniejsze i słuszniejsze jest, gdy stosunek małżeństwa między sobą mocniejszym jest od stosunku do dzieci dorosłych.
Umiastów ma ładny ogród w rodzaju parku, chociaż niewielki. To mu dodaje uroku; zresztą i „pałacyk" mieszkalny jest gustowny, pełny stylu. Wewnątrz ładnie go zdobi kolekcja rogów i ptaków wypchanych p. Starzyńskiego jako trofeów myśliwskich. Dzień był słoneczny, ciepły i piękny, bez chmurki, jak w pełni lata. Wieczorem siedzieliśmy na ganku od strony ogrodu, korzystając z pogody i pełni księżyca. Zupełny bowiem brak nafty robi wieczory w pokoju przy sztucznym świetle – prawie że niemożliwym, a w każdym razie – zbytkiem. Tak mi zeszedł ten dzień wiejski.

11 września, rok 1916, poniedziałek
Pośpieszyłem powrócić z Umiastowa do Warszawy, bo czekam wciąż albo wieści, albo nawet samego przyjazdu Maryńki. Zastałem od niej w Warszawie dwie kartki i jeden list: nic jeszcze o pozwoleniu na przyjazd lub odmowie nie wie; czeka i bardzo tęskni, by móc mię uścisnąć. Kochana Maryńka! Zresztą ostatnia kartka datowana 7 września; może już odtąd przyszło pozwolenie i może lada dzień, co daj Boże, zawita. A może nie pozwolenie, ale już odmowę dostała.
W depeszach gazet dzisiejszych wyczytałem radosną nowinę o zdobyciu Sylistrii przez Bułgarów. Bułgarska więc ofensywa w Dobrudży dobrze się posuwa. Zdaje się, że z upadkiem Sylistrii cała już ta część Dobrudży, która w r. 1913 została przez Rumunów zrabowana na Bułgarii, obecnie jest w posiadaniu Bułgarów. Oby im się i dalej szczęściło!
Po wiecu urządzonym, ubiegłej niedzieli (3/IX) w Filharmonii, o którym referowałem w dzienniku, w kołach prawicy rozpoczęto kontragitację przeciwko powziętej tam uchwale, żądającej armii narodowej i rządu narodowego. Ułożona została deklaracja protestująca, stwierdzająca, że naród sobie tego nie życzy i że uchwała ta jest tylko dziełem znikomej garstki nieodpowiedzialnych agitatorów. Ponieważ uchwała tamta była powzięta w ścisłym związku z faktem wypowiedzenia wojny przez Rumunię i zwracała się o kreację armii narodowej i rządu, a więc państwa polskiego do mocarstw centralnych i jednocześnie kategorycznie określała zadanie tej armii – dla walki z Rosją jeszcze w toku wojny obecnej – przeto poruszyła ona przeciwko sobie nie tylko moskalofilów, ale i neutralistów, przeciwników wszelkiego aktywizmu tego wiążącego Polskę z mocarstwami centralnymi. W zorganizowaniu tego protestu najczynniejszym był nie jakiś moskalofil, ale adwokat Zbrowski, wyrastający na jednego z macherów politycznych Stronnictwa Narodowego, ten sam Zbrowski, który przed wojną był gorącym zwolennikiem ruchu strzeleckiego i należał, a bodajże był nawet jednym z założycieli Związku Patriotów, i który teraz jest najkategoryczniejszym przeciwnikiem aktywizmu, ba – nawet staje się wyrazicielem całej prawicy, głównym filarem bezwładu. Deklarację z protestem podpisały: Narodowa Demokracja, Stronnictwo Polityki Realnej, Stronnictwo Narodowe, Polska Partia Postępowa. Jednak z grup i stronnictw, należących do organizacji prawicy – Koła Międzypartyjnego – nie podpisały deklaracji nie tylko Grupa Pracy Narodowej, ale nawet Zjednoczenie

Postępowe; chociaż i one nie solidaryzują się z aktywizmem, wiązanym ściśle z mocarstwami centralnymi, jednak z pewnością uważały taki protest za rzecz mogącą posłużyć moskalofilstwu, a więc ze stanowiska niepodległościowego niepożądaną. Deklaracja ta była drukowana w „Kurierze Warszawskim" (sam jej nie czytałem) i podobno była przez ks. Zdzisława Lubomirskiego prezentowana generał-gubernatowi Beselerowi z motywacją taką, że rzeczone stronnictwa uważają to za swój obowiązek nie tylko własnego interesu, ale i lojalizmu względem okupantów, by ich ostrzec o opinii kraju, aby się nie mogli łudzić takimi uchwałami wieców Studnickiego; na to miał Beseler podobno odpowiedzieć, że się nie łudzi i że jest aż nadto dobrze poinformowany o nastrojach w społeczeństwie. Otóż wczoraj Klub Państwowców wystąpił z wielkim zebraniem publicznym w „Palais de Glace", by poprzeć uchwałę wiecu z dnia 3/IX i zaprotestować przeciwko kontragitacji prawicy moskalofilów i neutralistów. Z powodu wyjazdu do Umiastowa nie mogłem być na tym zebraniu. Naturalnie, że na zebranie przenikła opozycja moskalofilska i że były z jej strony usiłowania rozbicia zebrania, a przynajmniej głośnego protestu, ale, prócz krótkiego zamętu, nie zdołała ona zebrania rozbić ani planowemu jego przebiegowi przeszkodzić. Głównym tego zebrania punktem był „odczyt", to znaczy programowa mowa Władysława Studnickiego, motywująca na uchwałę z d. 3/IX. Był to odczyt i zebranie agitacyjne, ale bez wiecowego charakteru, a więc bez uchwał. Na zebraniu tym wystąpił też Medard Downarowicz, który imieniem CKN-u oświadczył o solidaryzowaniu się z uchwałą z d. 3/IX wszystkich stronnictw i grup, wyliczonych przezeń z imienia, ogarniętych organizacją CKN-u. Było to więc przeciwstawienie stronnictw w lewicy narodowej protestującym stronnictwom prawicy i stwierdzenie zarazem, iż program uchwały 3/IX nie jest wyrazem tylko garstki nieodpowiedzialnych agitatorów społeczno-politycznych.
Dziś w Klubie Państwowców Polskich odbył się dalszy ciąg posiedzenia sprzed dwóch tygodni na temat „kresów północno-wschodnich". Brak mi miejsca do streszczenia tej dyskusji. Postaram się zrobić to jutro. Klub Państwowców staje się w ogóle bardzo ruchliwym. Co parę dni, jeżeli nie co dzień, odbywa bądź posiedzenia dyskusyjne, bądź odczyty, bądź podnosi inicjatywę jakichś publicznych wystąpień. W ostatnich czasach zaznacza się coraz większe garnięcie się Klubu młodzieży z P.O.W.

12 września, rok 1916, wtorek
Zachodził dziś do mnie Mitkiewicz (Prus), legionista, który jest kurierem departamentowym i podróżuje ciągle między Piotrkowem, Lublinem, Warszawą, a nieraz i frontem Legionów. Wspomniałem mu w rozmowie, czy nie mógłby mię zabrać na swoją marszrutę i przewieźć do Lublina, gdy się na linię będę wybierał. Odpowiedział mi, że na przyszłość będzie miał w marszrucie dopisek „mit 1 Mann" na zapas, dla możności zabierania ze sobą kogoś w miarę potrzeby i że w ten sposób będzie mógł mię zabrać; właśnie za dwa tygodnie będzie znowu przejeżdżać tędy do Lublina i wtedy mię zabierze. Nie powie o tym nikomu w Departamencie, bo tam mogliby mu zabronić przewiezienia mię, bojąc się, abym może nie jechał do Brygady z jakąś specjalną misją przeciwko Departamentowi. Byle się to tylko udało! Z Lublina już dalej sam sobie łatwo dam radę. Prawdziwie – Bóg mi go zesłał tak w porę. Za dwa tygodnie już będę mógł jechać. Wtedy sprawa przyjazdu Maryni będzie już zakończona: albo będzie już po odmowie, albo po przyjeździe.
W Klubie Państwowców Polskich odbył się wczoraj dalszy ciąg dyskusji w sprawie tzw. „kresów północno-wschodnich", to znaczy Litwy i Białej Rusi. Zagaił Władysław Studnicki, streszczając dość tendencyjnie przemówienia referentów poprzedniego zebrania. Wszystko się w tym streszczeniu ściągało do tego, by wywołać u słuchaczy

wrażenie, że Litwa jest właściwie krajem polskim, w którym nie tylko dominuje i jest jedyną żywotną kultura polska, ale też znaczna część ludu jest etnograficznie polską lub dąży bądź żywiołowo, bądź świadomie do polonizacji, drobne zaś etnograficzne odłamki krajowców, o ile są, nie są zdolne do twórczych państwowych procesów: można im, przynajmniej właściwym Litwinom, zostawić prawa językowe dla zasady, chociaż przekonania do ich żywotności się nie ma wcale; co zaś do Białorusinów, to nie mają oni zgoła cech narodowych, jeno są materiałem etnicznym, stanem przejściowym ku wyższej formie narodowej, która może być tylko polską; polonizacja jest więc nie jakimś zaborem, ale dobrodziejstwem dla ludów Litwy. Dyskusja toczona była chaotycznie. Dłuższą i rzeczową mowę wygłosił tylko prof. Sujkowski, geograf. Mówił w kierunku państwowego związku ziem Litwy i Rusi z Polską, ale wypełniał to treścią szczerze wolnościową, chociaż unikał konkretyzowania form współżycia. Zastrzegał się przeciwko takim tendencjom, jak kolonizacja polska Litwy, prowadzona środkami państwowymi, prostował takie twierdzenia quasi-historyczne, jak to, że rzekomo Polska krwią swoją broniła Litwy, z czego, przy przemilczeniu o wzajemności obrony i solidarności interesów obu krajów, wyciągane bywają wnioski o jakichś szczególnych historycznych „prawach" Polski do Litwy i o największym z obowiązków Litwy – obowiązku jednostronnej wdzięczności i uległości na rzecz Polski. Większą część swojego bardzo treściwego i ładnego przemówienia poświęcił Sujkowski głębokiej analizie geograficznej kompleksu ziem, tworzących Polskę, Litwę i Ruś, tak w ich wzajemnym stosunku, jak w zetknięciu, względnie wyodrębnieniu – od otaczających je innych formacji terytorialnych. Z analizy tej wyciągnął wnioski polityczne, wykazujące, że cały ten blok terytorialny przeznaczony jest do tworzenia kompleksu państwowego. Blok ten posiada swoje naturalne i zdatne do obrony granice, które na zachodzie sięgają zaodrzańskiego działu wodnego i Krainy Łużyckiej, na południowym zachodzie zamknięte są Karpatami i rozszerzają się na całą dolinę dolnego Dunaju, ogarniając więc Rumunię dzisiejszą aż gdzieś po Dobrudżę, z południa i północy ogarnięte morzami Czarnym i Bałtykiem, działem wodnym zadźwińskim, ogarniającym Inflanty i dolnym Dnieprem, a otwarte jeno i pozbawione cech swoistych w kierunku tzw. Bramy Smoleńskiej, która była zawsze piętą Achillesa i służyła w stosunku między Polską, względnie Litwą i Rusią – a Moskwą punktem sporu i ekspansji bądź jednej, bądź drugiej ze stron. Ten kompleks terytorialny nazywa Sujkowski Polską nie dlatego, by jakieś aneksyjne i szowinistyczne wyrażać zamiary, lecz dlatego, że trzeba mu nazwę jakąś nadać, a właśnie ta nazwa jest najstosowniejszą, bo w całym tym kompleksie Polska jest, znowuż z natury warunków geograficznych, wiązadłem i ogniwem. Litwa (włącznie z Białorusią) jest od Rusi odseparowana bagnami Polesia, które nie łączą, jeno dzielą; w tym miejscu – od Dniepru aż po Bug – kompleks ten jest przez Polesie przecięty. Polska jest tą klamrą, która Litwę z Rusią łączy; temu też służy Wisła, która dorzeczem swym zbliża się tak do dorzecza Dniestru i nawet Dniepru, jak do dorzecza Niemna. Na tym terenie istotnie powstał ongi kompleks państwowy z ośrodkiem Polską i złączonymi z nią Litwą i Rusią, kompleks, do którego ciążyły i z którym się stosunkami wasalnymi wiązały dalekie jego ogniwa kresowe – Prusy, Inflanty, Multany. Sujkowski kreślił tylko wielką państwowo-geograficzną koncepcję, nie przesądzając wewnętrznego ustosunkowania Polski z Litwą, które, jego zdaniem, może być tylko wolnościowym. Może scharakteryzuję jutro resztę tej dyskusji, bardzo jałowej zresztą.

13 września, rok 1916, środa

Pomimo że poza przemówieniem Sujkowskiego nic istotnie godnego uwagi nie było powiedziane na pozawczorajszym posiedzeniu Klubu Państwowców Polskich w

sprawie „kresów północno-wschodnich”, jednak ponieważ tu chodziło o Litwę, więc dla scharakteryzowania nastroju mówców politycznego zebrania polskiego w tej sprawie zatrzymam się trochę na tym. Po Sujkowskim nikt już zbyt skwapliwie nie spieszył na mównicę. Studnicki jednak, widocznie dla nadania większego splendoru dyskusyjnego postulatowi aneksji Litwy do państwa polskiego, gorąco nawoływał zebranych do zapisywania się do głosu. I istotnie kilku się jeszcze wyłoniło „mówców” – żeby ich bogi kochały takich politycznych rajców od siedmiu boleści! Cóż znaleźli oni mądrego do oświadczenia w sprawie tak skomplikowanej i trudnej? Dwóch z nich mówiło niby o Litwie, trzeci – rozwinął nieoczekiwanie całkiem nowy program polityczny dla Polski – własnego pomysłu. Ciekawe jest wyrabianie się typów mówieckich na dyskusjach politycznych w Warszawie. Plotą, co im ślina na język przyniesie, chyba po to, aby opatentować prawem publiczności oryginalny wynalazek swego politycznego pomysłu. Odnosi się to zwłaszcza do ostatniego z tych mówców. I gdy wypowiedzą taką mowę, która, jak u ostatniego mówcy, niejakiego Haneckiego, trwała dobrą godzinę, nie wiążąc się na domiar wcale z przedmiotem obrad, są pełni dumy i poczucia zasług, są bowiem głęboko przekonani, iż spełnili czyn w Sprawie Polskiej, choć nic, prócz zamętu, nie dokonali. Ta niepłodna gadatliwość polityczna – to jedna z plag mównictwa warszawskiego.
Oto więc pierwszy z tych mówców, mówiący o Litwie (nigdy jej zapewne nie widział), twierdził, że ponieważ Białorusini katolicy w gub. wileńskiej, względnie grodzieńskiej, są właściwie wynarodowionymi Litwinami, bynajmniej zaś nie Białorusinami; jak widzimy – mówca posługuje się tu argumentem aż nadto dobrze na Litwie znanym, używanym tam zwykle przez nacjonalistów litewskich, z tą różnicą, że ci ostatni wyciągają zeń wniosek logiczniejszy – mianowicie ten, że Polacy litewscy i częściowo Białorusini (takie powiaty, jak lidzki, oszmiański, wileński) powinni przestać być Polakami i Białorusinami i wrócić na łono narodowe litewskie. Tymczasem mówca Klubu Państwowców, operując tym argumentem, doszedł do wniosku, że polonizowanie tych Białorusinów, którzy przecie nie są Białorusinami, nie jest aktem zaboru ani wynarodowienia, bo oni narodowości nie posiadają; można więc bez żadnych skrupułów wszelką akcję polonizacyjną tam stosować, nie wyłączając środków presji państwowej. Białorusini właściwi nie mogą mieć za to żadnego uzasadnionego powodu do żalu i oburzenia. Nie zastanawiało mówcę bynajmniej to, że taka argumentacja rozgrzesza każdego faktycznego władcę Litwy w nawracaniu na swoją narodowość już nie tylko tych Białorusinów, ale zarówno i Polaków litewskich, którzy przecie też w przeważającej masie swojej, tak szlacheckiej, jak tym bardziej ludowej, są spolonizowanymi Litwinami, względnie Białorusinami, o ile ich pochodzenie ma kasować ich obecną polskość. A więc wolno było Moskalom moskwiczyć tychże Białorusinów katolików, boć zasada argumentacji jest ta sama i nie można się oburzać, żeby Moskale, w razie powrotu, zechcieli rusyfikować także Polaków tamecznych jako „nie-Polaków”.
Następny mówca, którego znam osobiście, ale nazwiska nie wiem (jakiś pracownik z ramienia Ligi Państwowości Polskiej czy też Departamentu Wojskowego), człowiek młody i pochodzący z Litwy, który sam za swoich czasów studenckich uważał się za Białorusina i w białoruskich kółkach młodzieży brał udział, a następnie, jak większość polsko-białoruskiej inteligenckiej młodzieży, po wejściu w okres praktyczny życiu, porzucił młodzieńczą białoruską szatę i stał się gorliwym Polakiem, wywodził, że z Litwinami liczyć się istotnie należy, bo stanowią oni realną siłę, natomiast Białorusinów jako narodu nie ma wcale, a to, co się mieni ruchem narodowym białoruskim, żadnego oparcia w ludzie nie ma i jest dętym przedsięwzięciem garstki inteligentów, na domiar Polaków, którzy w tej akcji powodują się przeważnie względami ambicji osobistej,

stwarzając dla siebie teren dogodny, aby grać jakąś rolę. Widzimy, jakie to „mądre" i „łatwe": problemu narodowego białoruskiego nie ma wcale! Skąd jednak „ambicja" jednostek mogłaby dojść do stworzenia sobie terenu nieistniejącego, dlaczego właśnie tworzy ona i to tam – fikcje białoruskie, a nie jakieś chińskie, również tam nieistniejące, dlaczego na tych samych zasadach ambicja jednostek w Polsce nie tworzyłaby takichże fikcji narodowych mazowieckich, kurpiowskich, kujawskich itp., gdyby żadnego podłoża poza ambicją i jałową spekulacją nie było – to są pytania, które się same nasuwają. Można wątpić w skuteczność ruchu białoruskiego, nie wierzyć w spełnienie jego celów i w siły po temu i w takim razie trzeba argumentować, ale uprościć rzecz do tego stopnia, aby powiedzieć, że to jest fikcja nieistniejąca, która nie ma żadnych podstaw źródłowych – to zanadto łatwo i nieodpowiedzialnie. Poza tym, co do określenia ruchu białoruskiego jako „inteligenckiej" spekulacji – to nieprawdziwe. Fakty przeczą temu. Właśnie w ruchu białoruskim jest olbrzymi brak sił inteligenckich. Wszyscy inteligenci zeń uciekają, a są w nim tylko dopóty, dopóki są w szkołach. Dlaczego? Dlatego, że on nic im jeszcze dać nie może i że nie stanowi dla ich interesu żadnej siły atrakcyjnej. Cały ten ruch dźwiga się mrówczymi wysiłkami elementów półinteligenckich i prozelitów z samego ludu. Ruch ten nie jest masowy w ludzie, tak jak jest nim ruch litewski, ale właśnie w ludzie ma swoje zawiązki ognisk czynu i propagandy.
Mówca Hanecki, trzeci z kolei, wystąpił jak Filip z konopi. Ten o Litwie nie mówił nic. Dzięki mu i za to. Przeciwnie, stał w swoich do opatentowania pomysłach politycznych na gruncie etnograficznej Polski. Nawoływał do przyjęcia w Polsce postulatu zaanektowania się Polski do Niemiec jako państwa Rzeszy Niemieckiej. Uważa to bowiem za bardziej dogadzające zarówno Niemcom, jak Polsce. Odrębna, całkiem niepodległa buforowa Polska stałaby się bowiem narzędziem w ręku Rosji przeciwko Niemcom w celu odzyskania Poznańskiego. Taka Polska jest więc dla Niemiec niebezpieczna i sama będzie igraszką obcą, a nie zdoła też spełnić postulatu poznańskiego. Natomiast Polska w Rzeszy Niemieckiej wcześniej czy później w drodze pokojowej Poznańskie odzyszcze i będzie się opierała na zasadach współżycia i współpracy w imperializmie niemieckim, który zdegraduje obecny nacjonalizm niemiecki, tak barbarzyński i tak w stosunkach polsko-niemieckich szkodliwy.

14 września, rok 1916, czwartek
Na zakończenie o poniedziałkowej „dyskusji" w Klubie Państwowców Polskich w kwestii „kresów północno-wschodnich" wspomnę o rezolucji, która uchwalona została. Nie głosowano wcale ani mojego projektu rezolucji, który chociaż na pierwszym zebraniu odczytałem i złożyłem do prezydium, jednak z zastrzeżeniem, że formalnie to za projekt rezolucji nie podaję, jeno za tezy dyskusyjne, ani też projektu rezolucji Studnickiego, odczytanego również na poprzednim posiedzeniu. Widocznie Studnicki doszedł do przekonania, że obszerny motywowany projekt rezolucji w tej kwestii jest zbyteczny, a może nawet niepożądany, aby nie robić wrażenia, że się do sięgania po Litwę potrzebuje szczególnej motywacji. Uważa on to za rzecz tak naturalną, tak w sprawie polskiej zrozumiałą i integralną, że woli zapewne argumentację zastąpić prostym stwierdzeniem woli. Toteż w zakończeniu poniedziałkowego zebrania zaimprowizował króciutką rezolucję, którą naturalnie oklaskami zaakceptowano. Dosłownie jej tekstu nie pamiętam, ale treść jest taka: zebrani w Klubie itd. – uważają za niezbędne osiągnięcie przez państwo polskie ziem Wileńskiej, Grodzieńskiej i Kowieńskiej (zdaje się, że wymienione zostały te trzy „ziemie"), ku czemu należy dążyć „nie szczędząc mienia i życia". Studnicki zrobił to ustępstwo, że nie użył słowa „kresy"; powiedział wpierw „kresy", następnie się poprawił na „gubernie", a gdy

zakrzyczano, że słowo „gubernie" jest złe, zmienił na „ziemie"; nie nazwał więc w rezolucji tych ziem „kresami", ale uniknął też terminu „Litwa" lub „Białoruś", co mogłoby tchnąć niepożądanym dla niego prawno-państwowym duchem tych ziem; w ogóle z ziem tych, nazywając je od miast, starł wszelką litewsko-białoruską ich indywidualność. Jest sprytny, ale prawdy życiowej tym nie uśpi. Zabawnie brzmi owo „nie szczędząc mienia i życia" w uchwale Klubu Państwowców, którzy, prócz kilku może jednostek, ani tego mienia, ani tego życia swego nigdy nie narażają. Gdyby im przyszło tak rzeczywiście z życia i mienia ofiarę zrobić dla „osiągnięcia" Litwy, przypuszczam, że by się poważnie zawahali. Ale uchwalić na słowach – cóż im to szkodzi.
Wieczór wczorajszy i noc spędziłem znów ze Stefcią Ślesicką wraz z jej nową towarzyszką i przyjaciółką, niejaką Marylą. Ta Stefcia ukazuje mi się pod coraz nowymi postaciami. Kobietę nieraz trudno od razu poznać – tak jest zmienna jak woda płynąca i dopiero stopniowo ukazuje się nam całe jej oblicze w różnych fazach i falowaniu, z których dopiero zarysowuje się właściwa indywidualność. Myliłem się, zdaje się, głęboko, gdym tę Stefcię za cichą i łagodną, smutną i stropioną dziewczynkę uważał. Jest to rzeczywiście „cicha woda", która „brzegi rwie". Już to dawniej uważałem, że ma temperament, choć pozornie ukryty, ale potężny i głęboki. Teraz poznałem, że jest z gruntu drapieżna i daleka od sentymentalizmu. Widzę, że furdą jest dla niej owa zależność od pająka-Niemca. Poniekąd trzyma on ją strachem, ale już się ona uczy buntować przeciw niemu i wyzwalać. Ma ona swój spryt, ma swoją niezależność, większą, niż sądziłem. Jakże byłem naiwny i daleki od zrozumienia jej, gdym chciał wobec niej grać „szlachetną" rolę bezinteresownego przyjaciela, udzielającego rad i wskazówek oraz czystych rozrywek, a nawet zabawy i subsydiów pieniężnych – bez fizycznego jej używania. Nie rozumiała ona tego, brała, ale głowę sobie łamała, co to jest. Uważała to za jakiś gatunek „dobroci" mojej czy kaprys dziwaczny, ale to jej nie bawiło i poniekąd onieśmielało, a bodaj nawet w pewnym stopniu zrażało do mnie. Już poprzednio, gdym się dowiedział o historii z jej Niemcem, postanowiłem dać spokój takiemu „bezinteresownemu" traktowaniu jej. U takiej dziewczyny jakieś niby „braterskie" czy „koleżeńskie" jej traktowanie – nie imponuje jej wcale: przeciwnie – w pewnej mierze obraża jej dumę i upokarza, bo stawia ją w pozycji jakiejś jałmużnę przyjmującej, podczas gdy ona, zwłaszcza gdy jest tak młoda, ma w zwykłym stosunku z mężczyzną poczucie nie żebraczki, ale towarzyszki i wspólniczki zabawy, w której, jeżeli ona bierze od mężczyzny pieniądze, to jeszcze hojniej mu sama płaci z krwi i zdrowia własnego rozkoszą, którą mu daje. Zagniewa się, ale prędzej zrozumie, gdy ona mężczyźnie da siebie, a on jej nie zapłaci, niż gdy on jej zapłaci, ale jej nie bierze. O jakimże tu bowiem „braterstwie" może być mowa między nią a przygodnym mężczyzną. Braterstwo i wsparcie bez upokorzenia rozumie ona od krewnych lub od kogoś, z kim ją jakiś szczególny stosunek łączy. Jeszcze żeby był mężczyzna młody i piękny, jak ona, to w stosunku ich byłaby równowaga, bo ona nie tylko pieniędzy, ale i jego pożąda. Z mężczyzną starszym taka Stefcia przywykła czuć swoją własną hojność, większą od hojności pieniężnej jego. Za upokorzenie jej przez zapłatę bez korzystania z jej fizycznej rozkoszy w głębi serca gniewa się na niego i przez odwet pogardza nim. Od pogardy ma on u takiej dziewczyny jedno tylko wyjście – by dał jej przynajmniej dziki szał zmysłowy, by jej chciwie pożądał i miał potężnie zażyć, tak, aby i ją po nerwach i zmysłach uderzył. „Braterstwo", „bezinteresowność" – to fałszywy ton. Stefcię teraz poznałem lepiej. Ciekawy to i barwny okazik dziewczyny. Dumna jest i umie być hojną, ale nie znosi spekulacji. Sama jest jeszcze chciwa na rozkosz, na zmysłowe barwy płciowego stosunku; można o niej powiedzieć, że przeżywa miodowe miesiące prostytucji, kiedy się jeszcze nie tyle sprzedaje, ile bawi

namiętnie, gorąco, fantastycznie. Jest jakąś pogańską kapłanką zmysłów, zarówno daleką od jakichś szlachetności czy tam chrześcijańskich, czy jakichś innych moralnych nakazów i skrupułów, jak od nędznego prostytucyjnego zarobkowania. Dziś jest ona tylko zmysłowym dzikim wolnym zwierzątkiem, samiczką żywą i rozkoszy chciwą – i w tym jej piękno. Jest samolubna, samowolna i nieokiełzana, ale znowu ma kogoś, kto przy niej siedzi. Pierwiej jedna przyjaciółka, potem Niemiec, teraz druga przyjaciółka, której ona wierzy i z którą się bawi, ale która, jak mi się zdaje, zmierza też do jej usamodzielnienia.

Michał Römer
14 września roku 1916
Warszawa